

Jack London



Bellew Zawierucha

Tytuł oryginału: *Smoke Bellew Tales*

Przekład: Kazimierz Piotrowski

ISKRY, Warszawa 1957

Pierwsze sześć rozdziałów wydawano w Polsce pod tytułem „Wyga”.

Tekst oryginału angielskiego *Smoke Bellew Tales* dostępny na:

http://en.wikisource.org/wiki/Smoke_Bellew

SMAK MIĘSA

Na początku nazywał się Christopher Bellew. Potem, w czasie studiów, został Chrisem Bellew. Następnie znany był wśród cyganerii San Francisco jako Kit Bellew. Wreszcie nikt nie zwał go inaczej niż Bellew Zawierucha. Te dzieje ewolucji imienia i nazwiska są zarazem historią osobistego rozwoju Kita. Wszystko jednak inaczej by się ułożyło, gdyby nie miał czulej matki, gdyby jego stryj nie był człowiekiem żelaznego hartu i gdyby on sam nie otrzymał z Paryża listu od Gilleta Bellamy'ego.

„Właśnie przejrzałem numer *Fali* — pisał Gillet. — Nie wątpię, że O'Hara coś z tego pisma zrobi. Ale o pewnych rzeczach facet nie ma pojęcia. (Tu następowały rady, jak podnieść poziom tygodnika literackiego, który puszczał dopiero pierwsze pędy). Pogadaj z nim. Tylko mnie nie wydaj, niech mu się zdaje, że to są twoje własne rady. Jeśli się wygadasz, O'Hara zaraz mnie zrobi swoim paryskim korespondentem, a na to mnie nie stać. Za to, co piszę do wielkich magazynów, płacą mi w brzęczącej monecie. Przed wszystkim każ mu wylać bubka, który pisze w *Fali* o muzyce i sztukach plastycznych. Po drugie, San Francisco zawsze miało swą własną literaturę, a dziś nie ma. Powiedz mu, żeby się rozejrzał i znalazł gościa, który by mógł co tydzień machnąć soczysty obrazek z bujnego, pełnego uroku i koloru życia w San Francisco”.

Kit Bellew poszedł więc do redakcji *Fali*. O'Hara słuchał. O'Hara się spierał. O'Hara ustąpił. O'Hara spławił bałwana, który robił krytykę artystyczną. A potem O'Hara przysadził się do Kita, tak właśnie, jak się tego obawiał w dalekim Paryżu Gillet. A gdy O'Hara czegoś chciał, żaden przyjaciel nie potrafił mu się oprzeć. Nalegał łagodnie, ale z żelazną konsekwencją. Nim Kit Bellew zdołał umknąć z redakcji, został zastępcą naczelnego, zgodził się wypełniać co tydzień parę kolumn krytyki artystycznej, póki nie znajdzie się pióro bardziej do tego powołane, i wziął na siebie ciężar napisania dziesięciu tysięcy słów do każdego numeru — miały to być owe opowiadania z życia San Francisco. A wszystko za darmo. O'Hara wytłumaczył mu, że *Fala* na razie nie płaci, i tak samo niezbitnie przekonał go, że w całym mieście jeden tylko człowiek może pisać „na odcinek”, a tym człowiekiem jest Kit Bellew.

— O Boże, jestem niezastąpiony! — jęknął Kit, zstępując po wąskich schodach. W ten sposób został niewolnikiem O'Hary i nienasyconych kolumn *Fali*. Tydzień po tygodniu spędzał w redakcyjnym fotelu, odprawiał z kwitkiem wierzycieli, użerał się z drukarzami i wypisywał o czym się tylko dało po dwadzieścia pięć tysięcy słów tygodniowo. A pracy nie ubywało. *Fala* była ambitna. Pokusiła się o ilustracje, co znacznie zwiększyło koszty. Na honoraria Kita Bellew stale brakowało pieniędzy, tym bardziej więc nie ulegało wątpliwości, że tygodnik nie może sobie pozwolić na powiększenie składu redakcji. Na szczęście Kit miał z czego żyć. Ale wciąż był bez forsy, bo *Fala* nigdy nie mogła związać końca z końcem i eksploatowała nie tylko jego mózg, lecz i kieszeń. Co jakiś czas odmawiali współpracy ilustratorzy, to znów rzucali robotę drukarze, a nawet chłopak redakcyjny nierzadko się buntował. W takich chwilach O'Hara spozierał tylko na Kita, a ten już załatwiał resztę.

Kiedy w lipcu przybył z Alaski parowiec „Excelsior”, przywożąc wieść o odkryciu w Klondike bogatych złóż złota, wskutek czego cały kraj postradał zmysły, Kit puścił się na całkiem niepoważną propozycję.

— Słuchaj, O’Hara — powiedział. — Ta gorączka złota kroi się na nie byle co. Powtarza się historia z czterdziestego dziewiątego roku. A może bym tam pojechał jako korespondent *Fali*? Na własny koszt.

O’Hara potrząsnął głową.

— Nie mogę się obejść bez ciebie w redakcji, Kit. A poza tym nie dalej jak godzinę temu widziałem się z Jacksonem. Jutro rusza do Klondike. Zgodził się przysłać nam co tydzień korespondencję i zdjęcia. Inaczej nie byłbym go puścił. Miło pomyśleć, że nic nas to nie będzie kosztowało.

Po raz drugi Kit usłyszał o Klondike, gdy tego samego dnia po południu zapędził się do klubu i we wnęce biblioteki odnalazł swego stryja.

— Kłaniam się stryjaskowi! — powiedział, osuwając się w skórzany fotel i wyciągając nogi. — Pozwolisz, że się przysiadę?

— Co się z tobą dzieje? — zapytał stryj. — Jesteś blady. Wyglądasz na ruinę człowieka.

Kit tylko jęknął za całą odpowiedź.

— Już widzę, że przypadnie mi przemiły obowiązek sprawienia ci pogrzebu.

John Bellew pochodził ze starego szczepu, twardego i krzepkiego, który w latach tysiąc osiemset pięćdziesiątych przemierzył prerie wozami zaprzężonymi w woły. Odziedziczył więc po przodkach żelazne zdrowie, zahartowane w dzieciństwie, spędzonym na ujarzmianiu nowej ziemi.

— Źle żyjesz, Krzysztofie. Wstyd mi za ciebie.

— Kwietne drogi rozkoszy*, co? — zachichotał Kit.

Starszy pan wzruszył ramionami.

— Nie strząsaj ku mnie tak groźnie swymi skrwawionymi włosy*, o stryju! Chciałbym, żeby to były kwietne drogi rozkoszy. Ale nic z tego. Czasu brak.

— No, to co cię zjada?

— Jestem przepracowany.

John Bellew zaśmiał się nieprzyjemnie na znak, że nie wierzy.

— Przepracowany! W całym życiu nie zarobiłeś złamanego centa.

— A właśnie, że zarobiłem, tylko nie wypłacili. Wyciągam teraz pięćset dolarów tygodniowo i tyram za czterech.

— Malujesz obrazy, których nikt nie chce kupić? Albo inne — jakże im? — hocki klocki, ręczne robótki uprawiasz? A pływać umiesz?

— Kiedyś pływałem.

— Konno jeździsz?

— Próbowałem i tej emocji.

John Bellew aż prychnął z obrzydzenia.

— Bogu dziękować, że twój ojciec nie dożył tej chwili i nie ujrzał, jak nisko się stoczyłeś — oświadczył. — Rodzic twój był mężczyzną, mężczyzną w każdym calu. Kijem wyгнаłby z ciebie wszystkie te fanaberie.

— Cóż począć! Takie marne czasy — westchnął Kit.

* Kit cytuje *Hamleta* Szekspira (akt 1, scena 2).

* Kit cytuje tym razem *Makbeta* Szekspira (akt III, scena 4).

— Rozumiałbym jeszcze, przez palce bym na to patrzył — ciągnął stryj — gdyby ci się powiodło. Ale jak żyjesz, centaś nie zarobił i nie wiesz, co znaczy kawał porządnej roboty. Cóż ty wart? Niegłupi jesteś, ale w piłkę nożną nawet na uniwersytecie nie grałeś. Nie wiosłowałeś. Nie...

— Trochę boksowałem i uprawiałem szermierkę.

— Kiedy boksowałeś ostatni raz?

— W czasie studiów, ale wszyscy uważali, że mam świetne wyczucie czasu i odległości. Tylko... tego...

— No, co?

— Mówili, że jestem nierówny.

— To znaczy leń.

— Zawsze mi się zdawało, że określają to zbyt delikatnie.

— Mój ojciec, łaskawco, a twój dziadek, stary Izaak Bellew, jednym uderzeniem pięści zabił człowieka, kiedy miał sześćdziesiąt dziewięć lat.

— Tamten miał?

— Nie, bezczelny łobuzie! A ty, jak będziesz miał sześćdziesiąt dziewięć lat, nie ubijesz komara.

— Czasy się zmieniły, proszę stryja. Dziś zabójców sadzają do kryminału.

— Twój ojciec przejechał sto osiemdziesiąt pięć mil bez zmruczenia oka i padły pod nim trzy konie.

— Gdyby żył dziś, przechrapałby tę drogę w pulmanie.

Starszy pan omal nie udławił się z gniewu.

— Ile masz lat?

— Wszystko wskazywałoby na to, że...

— Wiem. Dwadzieścia siedem. Miałeś dwadzieścia dwa, gdyś skończył studia. Przez pięć lat smarowałeś obrazy, zbijałeś baki i kroiliś dandysa. I czymże jesteś przed Bogiem i ludźmi? W twoim wieku miałem tylko jedną koszulę. Na koniu strzegłem bydła w Coluso. Byłem twardy jak skała i sypiałem na gołym kamieniu. Żywiłem się suszoną wołowiną i niedźwiedzim mięsem. Dziś jeszcze jestem w lepszej formie od ciebie. Wążysz około stu sześćdziesięciu pięciu funtów. A ja cię tu zaraz położę na obie łopatki lub wymłócę pięściami.

— Nie trzeba dokazywać cudów siły, gdy się sący cocktaile i popija herbatkę — mruknął Kit. — Czy stryjcio nie zauważył, że czasy się zmieniły? A poza tym nie wychowywano mnie jak należy. Moja kochana, zwariowana mama...

John Bellew zachnął się.

— To twoje własne słowa..., była za dobra dla mnie. Gdybym jednak za miodu spędzał czasem wakacje w równie męski sposób jak ty... czemuś nigdy nie zabrał mnie ze sobą? Przecież z Halem i Robbiem przemierzyłeś całe Sierras i wzięłeś ich na wycieczkę do Meksyku.

— Tyś za bardzo mi przypominał małego lorda Fauntleroya*.

— To twoja wina, stryjaszku, i mej kochanej mamy. Jakże mogłem poznać trudy życia? Przecież byłem słodkim dzieckiem. Cóż mi pozostało prócz akwafort, obrazów i wachlarzy? Czy moja to wina, że nie pracowałem nigdy w pocie czoła?

Starszy pan patrzył na swego bratanka z nie ukrywanym obrzydzeniem.

— Dobrze. Właśnie wybieram się znowu na „męskie” wakacje. Co byś powiedział, gdybym cię zaprosił?

* *Maty lord* (1886) — tytuł powieści mieszkającej w USA pisarki angielskiej Frances Hodgson Burnett (1849-1924). Bohater to amerykański chłopiec, który dziedziczy dobra ziemskie w Anglii i staje się paniczem.

— Muszę stwierdzić, że zaproszenie przyszło nieco późno. Dokąd się stryj wybiera?

— Hal i Robert jadą do Klondike. Chcę przeprowić się z nimi przez przełęcz i dotrzeć do jezior, a potem wrócić...

Nie zdążył skończyć. Młody człowiek zerwał się i chwycił go za rękę.

— Mój zbawco!

John Bellew natychmiast nabrał podejrzeń. Nawet do głowy mu nie przyszło, że jego zaproszenie zostanie przyjęte.

— Żartujesz chyba? — powiedział.

— Kiedy wyruszamy?

— To ciężka przeprawa. Będziesz zawadzał.

— Ani trochę. Będę pracował. Nauczyłem się pracować, gdy przystałem do *Fali*.

— Każdy musi wziąć żywności na cały rok. Zwali się taka ciżba ludzi, że indiańscy tragarze nie dadzą rady wszystkich obsłużyć. Hal i Robert będą musieli targać swój ekwipunek sami. Dlatego właśnie wybieram się z nimi — żeby im pomóc. Jeśli zabierzesz się z nami, przyjdzie ci robić to samo.

— Zobaczysz, że dam sobie radę.

— Nie umiesz dźwigać ciężarów.

— Kiedy ruszamy?

— Jutro.

— Tylko nie wyobrażaj sobie, że to sprawiło twoje kazanie o twardym życiu — powiedział na pożegnanie Kit. — Musiałem się stąd wyrwać, wszystko jedno dokąd, byle uciec przed O'Hara.

— Co to za O'Hara? Japończyk?

— Nie, Irlandczyk, poganiacz niewolników i mój najserdeczniejszy przyjaciel.

Redaktor, właściciel i w ogóle alfa i omega *Fali*. Nikt mu się nie oprze. Na jego zaklęcie duch by mu przyniósł forszę w zębach.

Tego samego wieczoru Kit pisał do O'Hary: „To tylko parę tygodni wakacji. Będziesz musiał znaleźć sobie gościa, który zakręci się koło dalszego ciągu odcinka. Nie gniewaj się, stary, mój stan zdrowia tego wymaga. Gdy wrócę, podwoję wysiłki”.

Kiedy Kit Bellew wylądował w zatoce Dyea, na brzegu zawałonym bagażem (po tysiąc funtów na osobę) tłoczyły się wśród szalonego rwetesu tysiące ludzi. Olbrzymia masa sprzętu i żywności, wyrzucona przez statki i parowce i spiętrzona na brzegu, kropla po kropli przeciekała w dolinę Dyea i dalej, przez przełęcz Chilkoot. Odległość dwudziestu ośmiu mil bagaż mógł przebyć jedynie na ludzkich plecach. Choć indiańscy tragarze wyśrubowali cenę z ośmiu centów na czterdzieści od funta, roboty mieli po uszy i jasne było, że zima zaskoczy z tej strony działu wód większą część bagażu.

Największym patałachem pośród patałachów był Kit. Jak setki innych, dźwigał wielki rewolwer przytroczony do pasa z nabojami. Maczał w tym palce jego stryj, pomny dawnych dni bezprawia. Kit miał usposobienie romantyczne. Urzekał go widok spienionego, wartkiego nurtu złotej gorączki, okiem artysty patrzył na kipiące wokół życie. Ale nie brał tej gonitwy na serio. Jak mówił na statku, przyjechał tu tylko na wakacje i miał zamiar spojrzeć ze szczytu Chilkoot na widok po tamtej stronie, po czym wrócić do domu.

Zostawił na plaży swych towarzyszy, którzy czekali na wylądowanie bagażu ze statku, i wolnym krokiem ruszył w stronę faktorii. Sam nie udawał zucha, ale zauważył, że wielu facetów przy rewolwerach ma nad wyraz tęgie miny. Indiański tragarz, wielkie chłopisko, minął go, dźwigając olbrzymi ładunek. Kit szedł krok w krok za nim i podziwiał wdzięk i swobodę, z jaką człowiek ten niósł swoje brzemie. Indianin złożył ciężar na wadze przed faktorią. Kit przyłączył się do otaczającej tragarza gromadki zachwyconych poszukiwaczy złota. Bagaż ważył sto dwadzieścia pięć funtów. Fakt ten podawano sobie z ust do ust ze

zgrozą. Kit wątpił, czy mógłby w ogóle dźwignąć taki ciężar, a cóż dopiero ponieść go na plecach.

— Idziesz z tym do Jeziora Lindermana?

Indianin mruknął potwierdzająco.

— Ile zarabiasz na tym bagażu?

— Pięćdziesiąt dolarów.

Na tym rozmowa się urwała. Oko Kita padło bowiem na kobietę, która stanęła w drzwiach faktorii. Była młoda i ładna. Urocza twarzyczka okraszona rumieńcami przykuła jego wzrok. Patrzył na nią tak długo i natarczywie, aż ją to zirytowało. Ciemne ślepki spod długich rzęs zajrzały mu w oczy chłodno i przenikliwie. Potem jej wzrok z wyraźną uciechą powędrował do rewolwerzyska zwisającego Kitowi u biodra. I znów popatrzyła mu w oczy z pogardliwym uśmieszkiem. Kit czuł się, jakby dostał w gębę. Dziewczyna odwróciła się do stojącego obok mężczyzny i pokazała mu Kita. Mężczyzna zmierzył go wzrokiem z tym samym pogardliwym uśmieszkiem.

— *Cheechako** — powiedziała.

Mężczyzna (w lichych spodniach i wytartej wełnianej kurtce wyglądał na włóczęgę) uśmiechnął się sucho. Kitowi zrobiło się głupio. Mimo wszystko, patrząc za odchodzącą parą, przyznał w duchu, że dziewczyna jest niezwykle ładna. Szczególne wrażenie zrobił na nim jej chód.

— Widział pan tego mężczyznę z dziewczyną? — zapytał go sąsiad, wyraźnie przejęty tym spotkaniem. — Czy wie pan, kto to jest?

Kit potrząsnął głową.

— Karibu Charley. Właśnie przed chwilą mi go pokazali. Odkrył złotą żyłę w Klondike. Stary pionier. Dwanaście lat spędził nad Jukonem. Dopiero co stamtąd przyjechał.

— A co to znaczy *cheechako*?

— Pan jesteś *cheechako*, ja też — brzmiała odpowiedź.

— Może i jestem, ale co to znaczy?

— Frajer.

Wracając na brzeg, Kit przez cały czas przeżuwał to słowo. Bolało go, że padło pod jego adresem z ust kobiety. Wszedł do kąta zawalonego bagażem. Prześladowała go wizja tamtego Indianina z potwornym ciężarem na grzbiecie. Postanowił spróbować własnych sił. Wybrał ważący równe sto funtów wór mąki. Stanął nad nim okraciem, schylił się i spróbował zarzucić go na plecy. Najpierw doszedł do wniosku, że sto funtów to nie byle co. Potem, że sam jest słaby w krzyżu. A po trzecie — zaklął szpetnie, gdy po pięciu minutach daremnych trudów runął na ciężar, z którym się pasował. Ocierając pot z czoła, ujrzał za górą worków Johna Bellew. Stryj spozierał na niego z zimnym jak lód uśmieszkiem w oczach.

— Mój Boże! Z naszych lędźwi wylęgło się pokolenie słabeuszy. Kiedy miałem szesnaście lat, bawiłem się takim drobiazgiem.

— Zapominasz, stryjku — odparował Kit — że mnie nie karmiono niedźwiedzim mięsem.

— I będę podrzucał taki woreczek, gdy stuknie mi sześćdziesiątka.

— Pokaż, proszę, jak ty to robisz.

John Bellew pokazał. Miał czterdzieści osiem lat, ale to nic nie znaczyło. Pochylił się nad workiem, uniósł go, zbalansował ciężar w ręku, szarpnął i już stał wyprostowany z workiem na plecach.

* *Cheechako* (wymawiaj: „cziczeko”), słowo pochodzenia indiańskiego, dosłownie: „przybysz”. Przewisko, nadawane na Alasce nowicjuszom („fryc”, „frajer”, „naiwniak”, a także „żółtodziób”, „maminsynek”, itp.)

— Chwyć, mój chłopcze, chwyć i krzyże.

Kit uchylił z szacunkiem kapelusza.

— Sztukmistrz jesteś, stryju, sztukmistrz nie lada. Czy ja mogę nauczyć się tego chwytu?

John Bellew wzruszył ramionami.

— Będiesz zmykał do domu, zanim ruszymy w drogę.

— Nie ma strachu — jęknął Kit. — Tam jest O'Hara, lew ryczący. Nie wrócę, chyba że bym musiał.

Pierwszy etap Kit odbył szczęśliwie. Udało im się najać Indian do przeniesienia ważącego dwa tysiące funtów bagażu aż do Rozdroża Finnegana. Dalej musieli dźwigać wszystko na własnych grzbietach. Obliczyli, że trzeba posuwać się naprzód z szybkością jednej mili na dzień. Było to zadanie łatwe — na papierze. John Bellew siedział w obozie i zajmował się kuchnią, toteż na szlaku niewielki był z niego pożytek. W tej sytuacji każdy z trzech młodzieńców musiał przenieść co dzień osiemset funtów na odległość miii. Gdyby się brało pięćdziesiąt funtów na raz, trzeba by zrobić szesnaście mil dziennie z obciążeniem i piętnaście mil po bagaż. Ładunek osiemdziesięciofuntowy oznaczał dziewiętnaście mil drogi dziennie, a stufuntowy — tylko piętnaście.

— Nie lubię chodzić — oznajmił Kit. — Dlatego będę brał po sto funtów na raz.

Zauważył, że stryj uśmiecha się z niedowierzaniem, szybko więc dodał:

— Oczywiście dojdę do tego pomału. Trzeba się otrzaskać z robotą. Zacznę od pięćdziesięciu funtów.

Jak powiedział, tak zrobił i rażno ruszył w drogę. Rzucił worek na miejscu następnego postoju i pomaszerował z powrotem. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Ale dwie mile drogi starły zewnętrzną warstwę siły, obnażając ukrytą pod spodem słabość. Następna porcja ważyła sześćdziesiąt pięć funtów. Zadanie było trudniejsze, krok stał się ciężki. Co jakiś czas, idąc wzorem innych tragarzy, siadał na ziemi i opierał tobił o skałę lub pień. Za trzecim razem śmiało sobie począł. Przytroczył do ramion ważący dziewięćdziesiąt pięć funtów worek fasoli i ruszył w drogę. Ale po stu jardach zrobiło mu się słabo. Czym prędzej usiadł i otarł pot z twarzy.

— Krótkie etapy i krótkie odpoczynki — mruknął do siebie. — W tym rzecz. Chwilami nie mógł ująć nawet stu jardów, a gdy z trudem dźwigał się na nogi, tobił za każdym razem jawnie przybierał na wadze. Dyszał ciężko, pot lal się z niego strumieniami. Nim zrobił ćwierć mili, ściągnął z siebie wełnianą koszulę i powiesił na drzewie. Krótco potem porzucił kapelusz. Wpół drogi zrozumiał, że się wykończył. Po raz pierwszy w życiu zdobył się na taki wysiłek. Wiedział, że dalej nie pociągnie. Gdy tak siedział i łapał z trudem powietrze, wzrok jego padł na wielki rewolwer i ciężką ładownicę.

— Dziesięć funtów śmiecia” — zaśmiał się szyderczo. Odpiął pas i cisnął go w krzaki. Nieprzerwanym sznurem przeciągali koło niego tragarze, szli i wracali. Zauważył, że inni nowicjusze też sieją po drodze śmiercionośnym żelastwem.

Jego krótkie etapy jeszcze się skróciły. Bywało, że już po stu stopach, przebytych chwiejnym krokiem, serce łomotało tak złowieszczo, puls walił w bębenkach uszu, a omdlałe kolana tak drżały, że musiał odpocząć. A odpoczywał coraz dłużej. Ale umysł Kita pracował bez wytchnienia. Miał przed sobą dwadzieścia osiem mil drogi i tyleż dni, zewsząd zaś słyszał, że początek trasy jest najłatwiejszy.

— To wszystko nic w porównaniu z Chilkoot — mówili inni w czasie pogawędki na postojach. — Tam na czworakach będziesz pan laził.

— Zadnego Chilkoot nie zobaczę — odpowiadał. — To nie dla mnie. Znacznie wcześniej będę pod mchem spoczywał w pokoju.

Pośliznął się i tylko dzięki akrobatycznym łamańcom odzyskał równowagę. Ogarnęło go przerażenie. Czuł, że wszystko się w nim przewróciło.

— Jak upadnę z tym worem na plecach, to cześć! — powiedział do towarzysza drogi.

— To jeszcze nic — odparł tamten. — Zobaczysz, jak dojdiesz do Kanionu. Będziesz musiał przeleźć nad rwącym górskim potokiem po sosnowym pniu, sześćdziesiąt stóp długości. Żadnej liny, nie ma się czego trzymać, a pod stopami kipiel. Jeśli upadniesz z worem na plecach, nie wyplądziesz się z rzemieni. Nie ruszysz się z miejsca i utoniesz.

— Bogu dziękować — odrzekł. — Był tak beznadziejnie wyczerpany, że powiedział to nieomal szczerze.

— Tonie tam trzech, czterech ludzi dziennie — zapewniał go rozmówca.

— A to dobrze — rzekł Kit. Wstał z trudem i powłókł się dalej.

On i jego wór fasoli stali się chodzącym nieszczęściem. Przypominało mu to staruszka, który siedział na karku Sindbada.

— I to mają być wakacje! — myślał sobie. W porównaniu z jego obecnym losem niewola u O'Hary była słodka. Raz po raz kusiło go, żeby zostawić w krzakach wór z fasolą, okrążyć obóz, zakraść się na brzeg i wsiąść na statek powracający do cywilizowanego świata. Ale nie uciekł. Gdzieś w głębi tkwił w nim popęd do życia pełnego trudów, bez końca powtarzał więc sobie, że co inni mogą, potrafi i on. Ten refren prześladował Kita jak nocna zmora. Do każdego, kto mijał go na szlaku, mruczał te słowa. Kiedy indziej znów, siedząc przy ścieżce, spozierał zawistnie na powolnych Indian, stąpających cierpliwie jak muły pod znacznie cięższym brzemieniem. Zdawać się mogło, że nie odpoczywają nigdy. Szli i szli uporczywie pewnym krokiem. Widok ten napawał go zgrozą.

Siedział, klął i walczył z pokusą ucieczki do San Francisco. Zanim skończyła się mila, przestał kląć i zaczął płakać. Były to łzy niemocy i pogardy dla samego siebie. Jeśli człowiek może obrócić się we własną ruinę, zdarzyło się to Kitowi. Gdy ujrzał koniec etapu, zdobył się na rozpaczliwy wysiłek, doznał do miejsca postoju i runął na twarz z workiem fasoli na plecach. Nie zabił się, lecz leżał jak martwy przez piętnaście minut, nim zebrał tyle sił, ile trzeba było na uwolnienie się z rzemieni. Zrobiło mu się okropnie niedobrze. Tak zastał go Robbie, którego nawiedziła ta sama przypadłość. Widok choroby krewniaka dodał Kitowi ducha.

— Co mogą inni, my też potrafimy — powiedział Robbiemu, choć w głębi duszy nie był pewny, czy nie są to czcze przechwałki.

— Mam dwadzieścia siedem lat i jestem mężczyzną — powtarzał sobie w duchu Kit w ciągu następnych dni.

Bardzo potrzebna była mu ta zachęta. Po upływie tygodnia prznosił wprawdzie osiemset funtów dziennie na odległość mili, ale postradał piętnaście funtów własnej wagi. Policzki mu zapadły, ciało oklapło, duch osowiał do reszty. Już nie szedł, lecz się włókł. Wracając, ciągnął nogi za sobą z takim niemal wysiłkiem, jak wówczas, gdy dźwigał brzemię. Stał się jucznym bydlęciem. Zasympiał nad jedzeniem. Sen miał ciężki, zwierzęcy. Przerzywały go tylko kurcze w nogach, zrywał się wtedy i jęczał z bólu. Bolało go wszystko. Podeszwy pokryły się ropiejącymi pęcherzami. Ale nawet to okazało się jeszcze znośne. Prawdziwych katuszy zaznał, gdy poobijał sobie nogi na zalanych wodą głazach koryta rzeki Dyea, którym szlak prowadził na przestrzeni dwóch mil. Owe dwie mile oznaczały trzydzieści osiem mil wędrówki tam i z powrotem. Plecy i piersi, odparzone od rzemieni, przypominały mu konie, jakie widywał na ulicach miasta. Po raz pierwszy w życiu myślał o nich ze współczuciem. Kiedy przenieśli bagaż przez kładki nad Ujściem Kanionu, zmienili plan. Przez Przełęcz przyszła wieść, że nad Jeziorem Lindermana wycinają właśnie ostatnie drzewa na łódki. Dwaj kuzyni, z narzędziami, piłą kocami i niezbędnym prowiantem na plecach ruszyli naprzód, dalszy transport bagażu pozostawiając Kitowi i stryjowi, którzy teraz gotowali na spółkę i ramię w ramię dźwigali ciężary. Czas uciekał, na szczytach zabielił się pierwszy śnieg. Kto dałby się złapać po tej stronie Przełęcz, straciłby prawie cały rok. Starszy pan wpakował sto funtów na swój żelazny grzbiet. Kit zaciął zęby i wziął na ramię tyle samo. Ciężar

boleśnie przygniatał mu plecy, lecz już się trochę wprawił w sztuce dźwigania, a ciało, pozbywszy się miękkiego tłuszczu, twardniało od mięśni, chudych, lecz odpornych. Poza tym Kit obserwował innych i wyciągał wnioski. Zobaczył, że Indianie zakładają rzemienie na głowę. Dopasował sobie takie rzemienie i używał ich jako uzupełnienia skórzanych szelek, na których dźwigał bagaż. To ułatwiało zadanie, kładł wiec na wierzch jeszcze jakiś lekki, a nieporęczny kawałek. W ten sposób mógł niebawem maszerować ze stu funtami w szelkach, piętnastu lub dwudziestu funtami rzuconymi na wierzch i wspartymi o kark, przy czym w jednej ręce trzymał siekierę lub parę wiosł, a w drugiej niósł powtykane jeden w drugi obozowe kociołki.

Choć jednak pracowali coraz sprawniej, szło im coraz ciężiej. Szlak nieustannie się pogarszał, bagaż jakby przybierał na wadze. Z każdym dniem niżej opuszczała się linia śniegu w górach, a stawka za funt bagażu skoczyła na sześćdziesiąt centów. Od kuzynów nie mieli żadnych wiadomości. Widocznie bracia już wzięli się do roboty, to znaczy wyrąbywali drzewa i cięli deski na łódź. John Bellew zaczął się niepokoić. Spotkał gromadkę Indian wracających znad Jeziora Lindermana i namówił ich, by wzięli część bagażu. Za drogę na szczyt Chilkoot zażądali po trzydzieści centów od funta, co stryja nieomal zrujnowało. Wyprawił Kita z Indianami, a sam został z czterystu funtami, które miał w pojedynkę taszczyć za nimi. Umówili się, że Kit, dotarwszy do szczytu, będzie pomału prznosił bagaż dalej, czekając, aż stryj go dogoni.

Kit kroczył szlakiem wraz z indiańskimi tragarzami. Trasa była długa i prowadziła na sam szczyt Chilkoot, dlatego Kit wziął tylko osiemdziesiąt funtów. Indianie uginali się pod ciężarem, ale szli raźniej niż Kit, gdy maszerował sam. Nie było mu to straszne, bo uważał, że Indianinowi nie ustępuje już w niczym.

Po ćwierć mili chciał odpocząć. Indianie jednak szli dalej. Dotrzymywał im kroku. Gdy przeszli pół mili, był pewny, że nie zrobi ani kroku więcej, ale zacisnął zęby i szedł dalej na swoim miejscu, a gdy zrobili milę, dziwił się bardzo, że jeszcze żyje. Potem w jakiś dziwny sposób przyszło to, co się nazywa drugim oddechem, i następna mila wydała się łatwiejsza od pierwszej. Na trzeciej miii omal nie padł trupem. Był na wpół przytomny z bólu i zmęczenia, nie skarżył się jednak. Gdy zaś poczuł, że lada chwila zemdleje, nastąpił odpoczynek. Zamiast siedzieć z bagażem na plecach, jak to było zwyczajem białych tragarzy, Indianie odpięli rzemienie z pleców i głów, położyli się wygodnie, rozmawiali i palili. Minęło dobre pół godziny, nim ruszyli dalej. Kit ze zdziwieniem stwierdził, że nabrał nowych sił. Odtąd jego nowe hasło brzmiało: „długie etapy, długie odpoczynki”.

Szczyt Chilkoot okazał się właśnie taki, jak go Kitowi malowano. Nie brakło sposobności do wspinania się na czworakach. Ale gdy stanął na grzbiecie działu wodnego, wśród szalejącej zamieci, znalazł się tam obok swych Indian i w głębi duszy doznał uczucia durny, że dotrzymał im kroku, ani razu się nie poskarżył, nigdy nie został w tyle. Jego nową ambicją było dorównać Indianinowi.

Kiedy zapłacił i odprawił tragarzy, zapadł mrok wśród śnieżnej zamieci. Został sam, tysiąc stóp ponad strefą lasów, na górkim grzbiecie. Przemoczony do pasa, zgłodniały i wyczerpany, oddałby cały swój roczny dochód za ogień i filiżankę kawy. Musiał się jednak zadowolić pół tuzinem zimnych placków, po czym rozwinął kawałek namiotu i otulił się brezentem. Zасыpiając, zdążył jeszcze wspomnieć przelotnie stryja i z satysfakcją uśmiechnąć się na myśl o tym, jak w ciągu najbliższych dni John Bellew będzie dawał dowody męskiego hartu, taszcząc czterysta funtów bagażu na szczyt Chilkoot. Sam miał wprawdzie dwa tysiące funtów, ale droga prowadziła teraz w dół.

Rano, zeszytniały ze zmęczenia i przemarznięty, wytoczył się spod brezentu, zjadł dwa funty surowego bekonu, założył rzemienie na stufuntowy worek i ruszył w dół po skalistym zboczku. Paręset jardów niżej droga wiodła przez niewielki lodowiec, a dalej prowadziła do Jeziora Krateru. Inni przeprawiali się z bagażem przez lodowiec. Kit jednak cały dzień znosił

swe wory na górny skraj lodowca, a że odległość była nieduża, brał po sto pięćdziesiąt funtów, za każdym razem ogromnie zdziwiony swą sprawnością. Za dwa dolary kupił od jakiegoś Indianina trzy morskie suchary, twarde jak podeszwa. Suchary, podmurowane okazałymi kawałami surowego bekonu, wystarczyły mu na kilka posiłków. Brudny, zamrznięty, w ubraniu mokrym od potu, przespał następną noc pod brezentem.

Wczesnym rankiem rozpostarł brezentową płachtę na lodzie, załadował na nią trzy czwarte tony i zaczął ciągnąć. Łagodny zrazu spadek lodowca w pewnym miejscu się zaostrzył. Ładunek przyśpieszył, najechał na Kita, zagarnął go na wierzch i pomknął w dół. Stu uginających się pod ciężarem tragarzy przystanęło i patrzyło. Kit jak opętany wrzeszczał: „Z drogi!”, wszyscy uskakiwali w bok. W dole, na skraju lodowca, przycupnął mały namiot. Kitowi zdawało się w pędzie, że namiocik leci mu na spotkanie. Na zakręcie Kit zjechał z ubitego szlaku i sunął prosto przed siebie po świeżym śniegu. Biała chmura okryła jeźdźca, śnieg przyhamował pęd jego pojazdu. Kit po raz wtóry ujrzał namiot dopiero w chwili, gdy się na niego wpakował, wyrwał z ziemi narożne kołki, odrzucił na bok przednie płótna i wylądował w środku, siedząc na górze swych worków. Namiot zatoczył się jak pijany i pośród mroźnej mgły Kit znalazł się twarzą w twarz z osłupiałą młodą kobietą, siedzącą na kocach — tą samą, która w Dyea nazwała go *cheechaquo*.

— Widziała pani tę zawieruchę? — spytał wesoło.

— Jaką zawieruchę? — spojrzała nań z wyraźną niechęcią.

— I co tu gadać o latających dywanach! — dodał.

Jej chłód był wyzywający.

— Całe szczęście, że nie przewrócił pan piecyka — powiedziała.

Idąc za jej spojrzeniem ujrzał blaszany piecyk, a na nim imbryk z kawą kolo którego krzątała się młoda *squaw*. Wciągnął w nozdrza aromat kawy i znów popatrzył na dziewczynę.

— Jestem wciąż *cheechaquo*, ale już posiłem swoje mordercze żelastwo.

Dopiero teraz go poznała i oczy jej błysnęły.

— Do głowy by mi nie przyszło, że zawędruje pan tak daleko.

Znów chciwie wciągnął w nozdrza powietrze.

— Słowo daję, kawa! Zrobię, co pani zechce, jeśli dostanę filiżankę z tego garnka!

Przy kawie przedstawił się. Dziewczyna nazywała się Joy Gastell. Powiedziała mu również, że od dawna przebywa na Północy. Urodziła się w faktorii nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym. Jako dziecko przekroczyła z ojcem Góry Skaliste i zesłała w dolinę Jukonu. Wracala teraz do domu z ojcem. Interesy zatrzymały go w Seattle. Potem wsiadł na pokład nieszczęsnego statku „Chanter”, który się rozbił. Parowiec przybyły na ratunek odwiózł ojca do Puget Sound.

Wobec tego, że dziewczyna jeszcze nie wstała i siedziała owinięta w koce, Kit nie chciał przedłużać rozmowy, heroicznie wymówił się od drugiej filiżanki kawy i wycofał z namiotu własną osobę oraz górę swego bagażu. Wyniósł też stamtąd parę wniosków. Dziewczyna ma urocze imię i śliczne oczy. Nie może liczyć sobie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia jeden, najwyżej dwadzieścia dwa lata. Jej ojciec jest na pewno Francuzem. Córka urnie postawić na swoim i ma gorący temperament. Kształciła się w każdym razie nie na pograniczu.

Po skałach, wygładzonych przez lodowce, ponad strefą lasów, szlak prowadził wokół Jeziora Krateru, a potem skalistym wąwozem zmierzał do Szczęśliwego Obozu i pierwszych karłowatych sosenek. Przeniesienie ciężkiego bagażu tą okrężną drogą zabrałoby Kitowi kilka dni okrutnej mordęgi. Bagaż przez jezioro przewoziła żaglówka. Za dwoma nawrotami Kit mógł wraz z toną ciężaru w ciągu dwóch godzin znaleźć się po tamtej stronie jeziora. Ale był bez grosza, a przewoźnik brał czterdzieści dolarów od tony.

— Twoja łódeczka, przyjacielu, to kopalnia złota — zagadnął go Kit. — Czy chciałbyś mieć drugą taką kopalnię?

— Na przykład jaką? — brzmiała odpowiedź.

— Sprzedam ci ją za cenę przewozu mojego bagażu. Jest to pomysł jeszcze nie opatentowany. Możesz go puścić w ruch zaraz, jak ci powiem, o co chodzi. Rączka? Przewoźnik odparł, że rączka.

— No, to dobrze. Widzisz ten lodowiec? Bierz kilof i weź się do roboty. W ciągu jednego dnia wyłobisz porządną rowek od szczytu do samego dołu. Skapowałeś? „Towarzystwo Eksploatacji Zjazdu z Chilkoot do Jeziora Krateru. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Możesz brać pięćdziesiąt centów od stu funtów, spuścić sto ton dziennie i nie robić nic, tylko zbierać forszę.

W dwie godziny później Kit z bagażem znalazł się po drugiej stronie jeziora. Zyskał w ten sposób trzy dni. Gdy dopędził go John Bellew, Kit odbył już kawał drogi do Jeziora Głębokiego, również wygasłego krateru napełnionego wodą pochodzenia lodowcowego. Ostatni etap od Jeziora Długiego do Jeziora Lindermana wynosił trzy mile. Szlak, jeśli można to tak nazwać, na przestrzeni tysiąca stóp piął się ostrym grzbietem górskim, po czym wił się w dół po oślizłych skałach i przecinał rozległe bagnisko. John Bellew zaprotestował, gdy ujrzał, że Kit wstaje ze stu funtami w szelkach, podnosi pięćdziesięciofuntowy worek mąki i pakuje na wierzch, opierając go na karku.

— Jazda — krzyknął Kit. — Gdzie twoje niedźwiedzie mięso, którym się karmiłeś, i jedna zmiana bielizny?

John Bellew potrząsnął głową.

— Ja się chyba starzeję, mój Krzysztofie.

— Masz tylko czterdzieści osiem lat. Czy wiesz, dobrodzieju, że mój dziadek, a twój ojciec, stary Izaak Bellew, jednym uderzeniem pięści zabił człowieka, mając lat sześćdziesiąt dziewięć?

John Bellew przełknął z uśmiechem gorzką pigułkę.

— Kochany stryju, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Wychowano mnie na lorda Fauntleroya. Tymczasem kładę stryjka jako tragarz i jako piechur, a mogę cię jeszcze położyć na obje łopatki lub wymłócić pięściami.

John Bellew wyciągnął do niego rękę i przemówił z namaszczeniem:

— Mój drogi chłopcze, wierzę ci na słowo. Wierzę, że zrobisz to wszystko z worem na plecach. Spisałeś mi się, mój synu.

Na ostatnim etapie Kit obrócił cztery razy w ciągu dnia, co znaczy, że zrobił dwadzieścia cztery mile w górskim terenie, z czego dwanaście ze stu pięćdziesięciu funtami na grzbiecie. Był dumny z siebie. Mimo zmęczenia trzymał się dobrze i zdrowie mu dopisywało. Jadł i spał jak nigdy w życiu. Prawie było mu żal, że robota dobiega końca. Martwiło go tylko jedno. Przekonał się, że może upaść ze stu funtami na plecach i nie przyplącić tego życiem, ale był pewien, że w razie upadku z dodatkowymi pięćdziesięciu funtami na wierzchu złamie kark. Tysiące objuczonych wędrowców wydeptało coraz to nowe przejścia przez bagnisty grunt i szybko rozpaprało wszystkie ścieżki. Właśnie szukając nowego przejścia przez mokradło Kit rozwiązał niepokojący go problem dodatkowych pięćdziesięciu funtów.

Miękki, bagnisty grunt osunął się pod nim. Kit, grzęznąc, runął na twarz. Pięćdziesięciofuntowy ciężar wcisnął mu twarz w błoto i pojechał dalej, ale karku mu nie złamał. Z pozostałymi stu funtami na grzbiecie Kit podniósł się na czworaki. Wstać jednak nie mógł. Jedną ręką zapadła się aż po pachę i przyłożył policzek do błota jak do poduszki. Gdy wyciągnął tę rękę, druga zanurzyła się po łopatkę. W tej pozycji nie można było ściągnąć rzemieni, a ciężar na plecach nie pozwalał mu wstać. Na czworakach, pogrążając się w bagnie to jedną rękę, to drugą., usiłował doczołgać się do miejsca, gdzie upadł worek z mąką. Ale nie posunął się naprzód, tylko się zmordował, a przy tym tak wymiesił i zrył porośniętą trawą powierzchnię, że zebrała się kałuża niebezpiecznie blisko jego ust i nosa.

Spróbował przewrócić się na wznak, lecz wynik był ten, że obie ręce zapadły w bagno po łopatkę i począł tonąć. Z niczym nie zmaconą cierpliwością wyciągnął pomału najpierw jedną rękę, potem drugą. Położył je na powierzchni, podparł nimi brodę i zaczął wzywać pomocy. Po jakimś czasie usłyszał człapanie po błocie. Ktoś nadchodził z tyłu.

— Pomóż, przyjacielu — powiedział Kit. — Rzuć linkę, albo co.

Odpowiedział mu głos kobiecy. Kit poznał go od razu.

— Jeśli odepnie mi pani rzemienie, będę mógł wstać.

Sto funtów chlapnęło w błoto. Kit wolno się podniósł.

— A toś pan wpadł! — roześmiała się panna Gastell na widok jego twarzy, oblepionej błotem.

— Wcale nie wpadłem — odparł wesoło. — To moje ulubione ćwiczenie gimnastyczne. Proszę kiedyś spróbować. Świetnie wyrabia mięśnie klatki piersiowej i grzbietu.

Otarł twarz i strzepnął błoto z palców.

— Och! — krzyknęła poznając go dopiero teraz. — Toż to pan... ha! ha!... pan Bellew Zawierucha!

— Z całego serca dziękuję za ratunek w samą porę i za ten przydomek. Zostałem powtórnie ochrzczony. Od tej chwili będę żądał od wszystkich, żeby mnie nazywali Bellew Zawierucha. To mocny przydomek i nie pozbawiony sensu.

Nadeszła polarna zima. Sześciocalowa warstwa śniegu okryła Ziemię, lód osiadał na stawach, choć dęły porywiste wiatry. Późnym popołudniem, gdy wichura nieco przycichła, Kit wraz z Johnem Bellew pomogli kuzynom załadować łódź. Po chwili łódź zniknęła im z oczu wśród śnieżnej zadymki, szalejącej nad jeziorem.

— Teraz spać, a jutro wczesnym rankiem w drogę — oświadczył John Bellew. — Jeśli śnieżyca nie zatrzyma nas na szczycie, pod wieczór będziemy w Dyea. Gdyby udało się nam od razu złapać statek, za tydzień wylądujemy w San Francisco.

Ostatnią noc nad Jeziorem Lindermana spędzili w smętnych szczątkach obozu. Wszystko, co mogło się przydać, z namiotem włącznie, zabrali kuzyni. Wystrzępiony brezent, rozpięty jako osłona od wiatru, nie chronił ich dostatecznie przed śnieżną zadymką. Kolację ugotowali nad ogniskiem w porzuconych przez kuzynów dwóch obtłuczonych garnkach. Pozostały im jedynie koce oraz żywność na parę posiłków.

Podczas kolacji Kit odezwał się tylko raz.

— Kochany stryju — powiedział — chciałbym, żebyś odtąd nazywał mnie Zawierucha. Zrobiłem trochę zadymy na tym szlaku, czy nie?

Parę minut później szedł w kierunku wioski namiotów, gdzie nocowali poszukiwacze złota, którzy jeszcze przynosili bagaż i budowali lodzie. Nie było go kilka godzin. Gdy wrócił i wśliznął się pod koce, John Bellew już spał.

W mroku burzliwego poranka Kit wypełznął w skarpetkach z namiotu, rozpałił ognisko, wytopił przy nim lód z butów, a potem zagotował kawę i podsmażył bekon. Wśród przejmującego zimna zjedli kiepskie śniadanie. Nie tracąc ani chwili, zrolowali koce. John Bellew pierwszy ruszył w stronę szlaku prowadzącego na Chilkoot. Kit wyciągnął do niego rękę.

— Do widzenia, stryju — powiedział.

John Bellew spojrzał nań i aż zaklął ze zdziwienia.

— Nie zapominaj, że nazywam się Zawierucha — przypomniał mu Kit.

— Ale co ty chcesz zrobić?

Kit zatoczył ręką łuk wskazując na północ, po drugiej stronie jeziora.

— Niby dlaczego miałbym wracać, gdy już zaszedłem tak daleko? — zapytał. — A poza tym spróbowałem mięsa — owszem, smaczne. Idę dalej.

— Golec jesteś — zaoponował John Bellew. — Nie masz ekwipunku.

— Dostałem pracę. Spójrz na swego bratanka, Krzysztofa Bellew Zawieruchę! Znalazł pracę. Jest sługą dżentelmena. Będzie dbał o jego wygodę za sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i wikt. Wyrusza do Dawson z dwoma frajerami i jeszcze jednym sługą. Będzie kucharzem obozowym, wioślarzem i chłopcem do wszystkiego. A O'Hare i jego *Falę* diabli niech wezmą.

John Bellew zbaraniał i tylko wybąkał:

— Nic nie rozumiem.

— Mówią że w dolinie Jukonu roi się od szarych niedźwiedzi — wyjaśnił Kit. —
Widzisz, mam tylko jeden komplet bielizny, a teraz idę poszukać niedźwiedziego mięsa. To wszystko.

MIĘSO

Gwałtowny wiatr dał niemal bez przerwy. Idąc na brzeg jeziora Kit Bellew ślaniał się pod uderzeniami wichury. O szarym świcie tuzin łodzi ładowano przeniesionym przez Chilkooot cennym bagażem. Łodzie, zbudowane własnym przemysłem, były toporne. Zbito je z desek wyciętych piłami z pni świeżo zrąbanych jodeł. Jedna łódź, już załadowana, miała właśnie odbić od brzegu. Kit przystanął i patrzył.

Wiatr dmący od jeziora tłukł brudną falą o mieliznę. Obsada odpływającej łodzi brodziła po mieliznie w wysokich gumowych butach, spychając łódź na głębszą wodę. Dwa razy im się to nie udało. Gdy wgramolili się do łodzi, na próżno obracali wiosłami. Za każdym razem wiatr znosił ich z powrotem i osadzał na mieliznie. Kit zauważył, że piana na burtach natychmiast ścina się w lód. Trzecia próba częściowo się powiodła. Dwaj mężczyźni, którzy wskoczyli ostatni, zamoczyli się po pas, ale łódź płynęła. Załoga niezdarnie i z trudem obracała ciężkimi wiosłami. Z wolna oddalali się od brzegu. Gdy jednak podnieśli żagiel uszyty z koców, wicher od razu go zerwał i po raz trzeci zmiotł barkę na zamarzający brzeg. Kit uśmiechnął się i poszedł dalej. Wiedział już, co go czeka, tego samego bowiem dnia miał odbić od brzegu w podobnej łodzi jako świeżo upieczony sługa dżentelmena.

Wszyscy pracowali uwijając się, jakby ich bies opętał, gdyż zima wisiąca w powietrzu i tylko od szczęścia zależało, czy zdążą przed zamarznięciem wód przeprowić się przez potężny łańcuch jezior. A jednak, kiedy Kit doszedł do namiotu panów Sprague'a i Stine'a, żaden z nich jeszcze się nie ruszył.

Przy ognisku pod osłoną brezentu, siedział skulony niski i krepły mężczyzna i palił papierosa skręconego w papierze do pakowania.

— Witam — powiedział. — Czy to pan jest nowym służącym pana Sprague'a?

Kit skinął głową. Zdawało mu się, że tamten jakby lekko przeciągnął słowo: „służący” i „pana”, przy czym na pewno zmrużył odrobinę jedno oko.

— A ja jestem sługą doktora — oznajmił — Stine'a. Mam pięć stóp i dwa cale i nazywam się Jack Krótki, krótko: Krótki, znany również jako Johnny Spokojna Twoja Głowa.

Kit podał mu rękę.

— Czy wykarmił się pan na niedźwiedzim mięsie? — zapytał.

— Ma się rozumieć. Chociaż, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, pierwszym moim pożywieniem było bawole mleko. Siadłbyś pan i wrębał co nieco. Nasi chlebobawcy jeszcze nie wstali.

Kit, mimo że zjadł już raz z Johnem Bellew, usiadł pod brezentem i z ogromnym apetytem spałaszował drugie śniadanie. Dzięki ciężkiej harówce pozbył się tłuszczu. Miał teraz wilczy żołądek i apetyt. Mógł jeść wszystko w dowolnych ilościach i nawet nie wiedział, że trawi. Krótki okazał się jegomościem rozmownym i pesymistycznie usposobionym. Podzielił się z Kitem dość niezwykłymi informacjami o chlebobawcach i w czarnych barwach przedstawił widoki ekspedycji. Tomasz Stanley Sprague był początkującym inżynierem górnikiem i synem milionera. Doktor Adolf Stine też miał bogatego tatę. Dzięki ojcom uzyskali poparcie pewnego syndykatu który inwestował swe kapitały w złotych interesach Klondike.

— Och, forsy mają jak lodu — zapewnił Krótki. — Gdy wylądowali w Dyea, stawka wynosiła siedemdziesiąt centów od funta, tylko że Indian nie było. Właśnie przyjechała

wyprawa ze wschodniego Oregonu, prawdziwi górnicy. Udało im się złapać indiańskich tragarzy, po siedemdziesiąt centów. Indianie już założyli bagaż na ramię, a było tego trzy tysiące funtów, kiedy zjawili się Sprague i Stine. Zaproponowali osiemdziesiąt, potem dziewięćdziesiąt centów, a w końcu dolara od funta. Tragarze zerwali umowę i rzucili tamten bagaż. Sprague i Stine dotarli tutaj, choć ich to kosztowało trzy tysiące, a paczka z Oregonu dotąd siedzi w Dyea i ruszy dopiero w przyszłym roku.

Och, nasi panowie są niezrównani, gdy trzeba sypnąć forszą i przejść po trupach. Przychodzą tutaj i cóż robią? Ciesle kończyli właśnie łódź, zamówioną przez paczkę z Frisco za sześćset dolarów. Sprague i Stine wsunęli im w łapę okrągły tysiączek. Ciesle zerwali kontrakt. W ten sposób tamci goście dotarli do jeziora i zostali bez łodzi. Będą tu siedzieć do wiosny. Napij się pan jeszcze kawy i wierz mi, że za nic bym się nie wybrał z takim towarzystwem w drogę, gdyby mi się tak nie paliło do Klondike. To ludzie bez serca. Żałobną krepę z człowieka by zdarli, gdyby im się mogła na coś przydać. Czy masz pan czarne na białym, że będą cię żywić?

Kit potrzęsął głową.

— No, to żal mi cię, panie kolego. W całym kraju nie ma żywności, a oni spławiają pana z zimną krwią, jak tylko się znajdą w Dawson. Tej zimy ludzie będą tam marli z głodu.

— Ale zgodzili się... — zaczął Kit.

— Na gębę — przerwał mu Krótki. — Pan będziesz mówił tak, a oni siak, i tyle.

Mniejsza o to. Jak się kolega nazywa?

— Mów mi Zawierucha.

— Widzisz, Zawierucha, im ustna umowa wystarczy, żeby ci dać bobu. Masz pan tu najlepszy przykład, czego się po nich można spodziewać. Forszą rzucać to oni potrafią, ale pracować albo rano wstać nie umieją. Godzinę temu powinniśmy byli załadować łódź i ruszać w drogę. Cała robota spadnie na pańskie i moje barki. Tylko patrzeć, jak zaczną wołać o kawę — do łóżka, uważasz pan, dorosłym bykom! Masz pan pojęcie o wioślarstwie? Ja jestem kowboj i poszukiwacz złota, ale na wodzie nie mam nic do gadania. Oni też mało wieje się na tym znają. A pan co?

— Czy ja wiem — odparł Kit, przysuwając się do brezentu, bo wiatr dmuchnął gwałtowniej i sypnął śniegiem. — Ostatni raz pływałem na łódkach, gdy byłem chłopcem. Ale się nauczymy.

Wiatr zerwał róg brezentu i nasypał Krótkiemu śniegu za kołnierz.

— Och, nauczymy się na pewno — burknął gniewnie. — Ani chybi. Dziecko by się nauczyło. Tylko głowę dam sobie uciąć, że się stąd nie ruszymy.

Była ósma, gdy dało się słyszeć wołanie o kawę, a koło dziewiątej z namiot wynurzyli się obaj panowie.

— Cześć — powiedział Sprague, różowiutki, dobrze odkarmiony młody człowiek lat około dwudziestu pięciu. — Pora w drogę, Krótki. Wy i... — tu spojrzał pytająco na Kita.

— Nie dosłyszałem wczoraj waszego nazwiska.

— Zawierucha.

— Więc Krótki i pan, panie Zawierucha, będziecie łaskawi zabrać się do ładowania łodzi.

— Zwyczajnie: Zawierucha, „pana” może pan sobie darować — powiedział Kit. Sprague kiwnął nosem i poszedł między namioty, a za nim podążył doktor Stine, młodzian smukły i blady.

Krótki spojrzał znacząco na kolegę.

— Przeszło półtorej tony bagażu, a oni palcem nie ruszą. Zobacz pan.

— Za to nam płacą — odparł Kit pogodnie. — Trzeba się wziąć do roboty.

Przenieść trzy tysiące funtów na odległość stu jardów nie jest łatwym zadaniem, a zrobić to wśród zamieci, grzęznąc w śniegu w ciężkich butach gumowych, oznaczało nie lada

mordeę. Poza tym trzeba było zwinąć namiot i spakować sprzęt obozowy. Potem przysła kolej na ładowanie. Żeby łódź nie osiadła na piasku, musieli ją spychać coraz dalej i coraz dalej brodzić po wodzie. Koło godziny drugiej wszystko było gotowe. Kit, chociaż zjadł dwa śniadania, był tak głodny, że ledwie się trzymał na nogach. Krótki, który miał się nie lepiej, poszperał wśród rondli i wyciągnął kociołek zimnej fasoli ze sporymi kawałkami bekonu. Była tylko jedna łyżka z długą rączką, więc na zmianę zanurzali ją w kociołku. Kitowi w życiu nic tak nie smakowało.

— Człowieku — powiedział z pełnymi ustami — nim wszedłem na szlak, nie wiedziałem, co to apetyt.

Sprague i Stine po powrocie zastali ich jeszcze przy miłym zajęciu.

— Na co jeszcze czekamy? — fuknął Sprague. — Czy nigdy się stąd nie ruszymy?

Krótki zanurzył łychę i z kolei oddał ją Kitowi. Nie odezwali się słowem, póki nie opróżnili garnka. Dopiero, gdy dno zostało wyskrobane, Krótki otarł usta wierzchem dłoni i przemówił:

— Myśmy baki zbijali. A panowie, oczywiście, nic nie jedli. Cóż za gapa ze mnie!

— Zjedliśmy w jednym namiocie... u naszych przyjaciół — pośpiesznie wyjaśnił Stine.

— Tak mi się zdawało — mruknął Krótki.

— No, podjedliście, jedziemy! — przynaglił Sprague.

— Spójrzcie panowie, na łódkę odparł Krótki — załadowana, prawda? Powiedzcie, proszę, co trzeba zrobić, żeby odbić od brzegu?

— Trzeba wsiąść i zepchnąć łódź na wodę! Jazda!

Weszli w wodę. Obaj chlebobdawcy wleźli do łódki, a Kit i Krótki ją pchali. Gdy woda zaczęła im się wlewać do butów, wdrapali się na łódź. Tamci dwaj jednak nie wzięli się w porę do wiosł, łódź więc wróciła i siadła na mieliźnie. Historia ta powtórzyła się sześć razy; Krótki i Kit na próżno zdzierali siły.

Krótki z żalną miną przysiadł na burcie i żując tytoń spoglądał w niebo. Kit czerpał wodę z dna, a panowie wymieniali między sobą cierpkie uwagi.

— Jeśli mnie posłuchacie, odbiję od brzegu — powiedział w końcu Sprague.

Pomysł był niezły, lecz Sprague, nim zdążył wskoczyć, zamoczył się do pasa.

— Trzeba rozbić namiot i rozpalic ognisko — orzekł, gdy łódź znów siadła na piasku. — Inaczej zmarznę.

— Trochę zmókł i już strach go obleciał — drwił Stine. — Inni lepiej się zmoczyli, a jednak popłynęli. Teraz ja odepchnę tę łódź.

Tym razem zamoczył się Stine i kłapiąc zębami oświadczył, iż trzeba rozpalic ognisko.

— Bo się trochę opryskał — naigrywał się z niego Sprague.

— Jedziemy!

— Krótki, proszę wyciągnąć mój kufer z odzieżą i rozpalic ognisko — rozkazał Stine.

— Ani mi się waź! — krzyknął Sprague.

Krótki spojrział na jednego, potem na drugiego, splunął, ale nie ruszył się z miejsca.

— On służy u mnie i tylko mnie ma słuchać — zareplikował Stine. — Krótki, proszę wynieść kufer na brzeg.

Krótki usłuchał. Sprague w łodzi dygotał z zimna. Kit nie otrzymał żadnych rozkazów, wobec czego nie robił nic, rad z odpoczynku.

— Statek ze skłóconą załogą daleko nie popłynie — powiedział pod nosem.

— Co takiego? — warknął Sprague.

— Do siebie mówię. Taki mam zwyczaj.

Chlebobdawca obdarzył go miażdżącym spojrzeniem i jeszcze przez chwilę siedział w łodzi z nadętą miną po czym skapitulował.

— Zawierucha, proszę wyjąć mój kuferek — rozkazał — i pomóc przy rozpalaniu ogniska. Zostaniemy tu do rana.

Na drugi dzień wichura nie przycichła. Jezioro Lindermana upodobniło się do wąskiego przesmyku górskiego, wypełnionego wodą. Wiatr, który lecąc z gór wpadał w ten komin, dął nieregularnie: to uderzał z siłą huraganu, to znów podmuchiwał wcale łagodnie.

— Gdyby panowie pozwolili mi spróbować, może udałoby się odbić od brzegu — powiedział Kit, gdy wszystko już było gotowe do drogi.

— A co się pan na tym zna? — naskoczył na niego Stine.

— Niewiele — odparł Kit i zamilkł.

Po raz pierwszy w życiu pracował dla zarobku, ale szybko nauczył się posłuszeństwa. Karnie i ochoczo przykładał rękę do ich bezskutecznych wysiłków.

— Co byś pan zrobił? — zapytał go w końcu zdyszany i bliski płaczu Sprague.

— Siądziemy sobie i porządnie odpoczniemy, a gdy wiatr przycichnie, będziemy pchali łódź, ile wlezie.

Cała załuga Kita polegała na tym, że pierwszy wpadł na ten prosty pomysł. Próba udała się, rozpięli więc na maszcie derkę i łódź szparko ruszyła w drogę. Stine i Sprague natychmiast odzyskali dobre humory. Krótki, choć nieuleczalny pesymista, zawsze był wesół, a Kit tak się zapalił do tej wyprawy, że nie miał czasu na smutki. Sprague przez kwadrans wojował ze sterem, po czym spojrzał błagalnie na Kita i ustąpił mu miejsca.

— Ręce można połamać — mruknął na swoje usprawiedliwienie.

— Nigdy pan nie jadł niedźwiedziego mięsa, prawda? — ze współczuciem zapytał Kit.

— Cóż to, u diabła, znaczy?

— Och, nic. Zwyczajna ciekawość.

Za plecami chlebowdawcy Kit zobaczył pełen aprobaty grymas Krótkiego. Kolega przejrzał widać jego aluzję.

Kit, prowadząc łódź, ujawnił takie talenty, że obaj nieskorzy do pracy młodzi kapitaliści mianowali go sternikiem. Nie mniej rad z tego był Krótki, który chętnie zajmował się dalej kuchnią, pozostawiając pieczę nad łodzią koledze.

Drogę między Jeziorem Lindermana a Jeziorem Bennetta trzeba było odbyć pieszo. Lekko obciążoną łódź holowali wąskim, lecz rwącym potokiem łączącym jeziora. Przy tej sposobności Kit dowiedział się wiele o łódkach i wodzie. Gdy przyszła pora na przenoszenie bagażu, Stine i Sprague znikli, a ich służący dwa dni uginali się pod ciężarem, aż im w krzyżu trzeszczało. Potem, przez wiele ciężkich dni Wyprawy, historia ta powtarzała się stale: Kit i Krótki padali ze znużenia, a ich panowie nic nie robili i jeszcze żądali, żeby im usługiwać. Polarna zima coraz mocniej zaciskała żelazne kleszcze, a ich tymczasem wciąż coś zatrzymywało w drodze. Przy Wietrznym Ramieniu Stine przepędził Kita od steru i po godzinie wiatr rozbił łódź o brzeg. Naprawa zajęła im dwa dni. Kiedy rankiem trzeciego dnia zeszli do łodzi, na jej dziobie i rufie wypisane było wielkimi literami węglem:

CHEECHAKO.

Kit uśmiechnął się w przekonaniu, że słowa tego użyto pod właściwym adresem.

— Co znowu! — bronił się Krótki, posądzony przez Stine'a.

— Pewnie, że umiem czytać i pisać, wiem też, że „cheechaquo” oznacza frajera, ale nie jestem znów tak wykształcony, bym wiedział, jak się ten dziwoląg pisze.

Obaj dotknięci do żywego chlebowdawcy spiorunowali wzrokiem Kita, który jednak ani pisał, że wczoraj wieczorem Krótki pytał go, jak się właściwie pisze „cheechaquo”.

— To im dopiekło nie gorzej niż wtedy, gdyś wyjechał z niedźwiedzim mięsem — zwierzał się potem Krótki.

Kit zachichotał. W miarę odkrywania coraz nowych własnych uzdolnień wzrastała w nim niechęć do pracodawców. Nie tylko działali mu na nerwy, ale budzili w nim coraz

większą odrazę. Poznał już i polubił smak mięsa, a oni odbierali mu apetyt. Ta antypatia graniczyła z nienawiścią. To, że się wykręcali od roboty, mniej go drażniło od ich niedołęstwa. Zagrała w nim krew starego Izaaka Bellew i całej reszty niezłomnego szczepu.

— Słuchaj, Krótki — powiedział pewnego razu, gdy odjazd znów uległ zwłóce, bo panowie jak zwykle nie mogli się wykokosić — bierze mnie ochota stuknąć jednego z drugim w łeb wiosłem i posłać na dno rzeki.

— Mnie też ręka swędzi — przyznał się Krótki. — To nie mięsożercy, *tylko* rybojady i ręczę, że śmierdzą.

Dotarli do bystrzyn. Najpierw był kanion zwany Pudłem. Bardzo trafna nazwa, gdyż istotnie było to pudło, pułapka. Kto się tam zapędził, nie miał innego wyjścia — musiał przepawić się na drugą stronę. Po obu stronach wznosiły się pionowo ściany skalne. Rzeka wąskim korytem rwała przez mroczny korytarz z hukiem i tak szalonym impetem, że pośrodku piętrzył się grzbiet na wysokość ośmiu stóp ponad powierzchnię wody przy brzegach. Ów grzbiet wodny pokryty był ostrym grzebieniem skłębionych fal. Kanion cieszył się najgorszą sławą wśród poszukiwaczy złota, jako że pobierał żywe myto. Po przycumowaniu do wysokiego brzegu w miejscu, gdzie około dwudziestu łodzi zbiło się w wystraszoną gromadkę, Kit i jego towarzysze poszli zorientować się w sytuacji. Wdrapali się na krawędź skały i spojrzeli w dół na kipieli. Sprague cofnął się, drżąc na całym ciele. Mój Boże! — zawołał. — Żaden pływak tu się nie uratuje. Krótki trącił Kita i powiedział po cichu:

— Cykoria. Mowy nie ma, żeby pojechali.

Kit nie słuchał. Od początku wyprawy łodzią obserwował upór i niepojętą złośliwość żywołów. To, co teraz ujrzał na dół, podziałało na niego jak wyzwanie.

— Musimy przejechać po samym grzebieniu — powiedział. — Jeśli damy się zrzucić, wyrzniemy w skałę.

— I nawet nie będziemy wiedzieć, o cośmy się rozbili — orzekł Krótki. — Umiesz pływać?

— Wolałbym nie umieć, gdyby nam się stało coś złego.

— To samo mówiłem — ponuro przytaknął Kitowi nieznajomy, który stał obok i patrzył w otchłań kanionu. — Chciałbym, żeby już było po wszystkim.

— A ja bym się nie wycofał za żadne pieniądze — odparł Kit.

Mówił szczerze, ale chciał też dodać ducha tamtemu. Zawrócił do łodzi.

— Chce pan spróbować? — spytał nieznajomy.

Kit skinął głową.

— Jakoś nie mogę zebrać się na odwagę — wyznał tamten.

— Nazywam się Breck. Stoję tu od wielu godzin. Im dłużej patrzę, tym bardziej się boję. Nie jestem wioślarem, a przybyłem tu tylko z bratankiem, małym chłopcem, i żoną. Gdyby panu samemu się udało, czy zechciałby pan potem przepawić moją łódź?

Kit spojrzął na kolegę. Krótki nie kwapił się z odpowiedzią.

— On jest z żoną — powiedział Kit i nie zawiódł się.

— Aha — przytaknął Krótki. — Właśnie o tym myślałem. Coś mi mówiło, że powinienem to zrobić.

Poszli z powrotem. Sprague i Stine nie ruszyli się z miejsca.

— Powodzenia, Zawierucha! — zawołał Sprague. — Ja... eee... — zawałał się. — Będę tu stał i uważał na was.

— W łodzi musi być trzech. Dwóch przy wiosłach, jeden przy sterze — spokojnie odpowiedział Kit.

Sprague spojrzął na Stine'a.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli się stąd ruszę — odrzekł ów dżentelmen. — Pan się nie boi tu stać i patrzeć, to czego ja miałbym się bać?

— Kto się boi? — zapalczywie zapytał Sprague.

Stine odpowiedział mu w podobnym tonie i od słowa do słowa panowie na dobre pożarli się między sobą. Kit i Krótki poszli sami po łódź.

— Obejdziemy się bez nich — oświadczył Kit. — Siądziesz na przedzie z wiosłem w rękę, a ja będę sterował. Pilnuj tylko, żeby łódź nie zboczyła. Gdy ruszymy, nie będziesz słyszał mego głosu, więc dobrze uważaj.

Odbili od brzegu. Wypłynęli na środek rwącego strumienia. Z kanionu słycać było coraz głośniejszy huk. Gardziel wąwozu wessała rzekę, gładką w tym miejscu jak roztopione szkło. Gdy znaleźli się w mrocznym korytarzu, Krótki włożył do ust gałkę tytoniu i zanurzył wiosło. Łódź wskoczyła na grzebień. Ogłuszył ich ryk wzburzonych wód, który odbijał się stokrotnym echem od ścian wąskiego korytarza. Dławili się w bryzgach piany. Chwilami Kit nie widział przed sobą kolegi. Wszystko to trwało nie dłużej niż dwie minuty. Przejechali po grzebieniu trzy czwarte miii, wynurzyli się z odmętu i w spokojnym miejscu przycumowali łódź do brzegu.

Krótki teraz dopiero wypuł sok z tytoniu.

— To było niedźwiedzie mięso! — zawołał z uniesieniem.

— Prawdziwe niedźwiedzie mięso! Zrobiliśmy kawałek drogi, co? Wiesz, Zawierucha, nie będę ukrywał, że gdym siadał do łódki, nie było po tej stronie Gór Skalistych faceta, który by mocniej ode mnie trząś portkami. Teraz jestem pożeraczem niedźwiedziego mięsa. No, to powieziemy drugą łódkę.

Wpół drogi z powrotem spotkali swych chlebobawców, którzy z wąskiego brzegu obserwowali przeprawę.

— Idą rybojady — powiedział Krótki. — Nie wystawiaj nosa pod wiatr.

Po przeprowadzeniu łodzi nieznanego Kit i Krótki poznali się z jego żoną, szczupłą kobietą dziewczęcych kształtów. Jej niebieskie oczy pełne były łez wdzięczności. Breck chciał wsunąć pięćdziesiąt dolarów w rękę Kitowi, a potem Krótkiemu.

— Mój panie — powiedział Krótki — przybyłem do tej krainy, żeby wydostawać pieniądze z ziemi, a nie od bliźnich.

Breck poszperał w łodzi i wydobył gąsiorek whisky. Krótki już sięgnął ręką lecz zaraz ją cofnął. Potrząsnął głową.

— Mamy przed sobą tego drania, Białego Konia, a mówią że Koń jest jeszcze gorszy od Pudła. Nie mogę wziąć do ust ani kropelki.

Kilka mil niżej przybili do brzegu i poszli we czwórkę zobaczyć niebezpieczne wody. Rzeka, płynąc pasmem bystrzyn, wpadała tu na rafę skalną i odbijała się od niej ku prawemu brzegowi, po czym cała masa wodna pod ostrym kątem wpadała w wąską gardziel, ze straszną szybkością piętrząc olbrzymie fale, spienione i wściekłe. To właśnie była straszna Grzywa Białego Konia, która zbierała jeszcze większe żniwo śmierci niż Pułapka Kanionu. Z lewej strony Grzywy świdrujący wir wciągał na dno, a z prawej zataczał wielkie koło drugi wir. Aby się przedostać, trzeba było przejechać po samej Grzywie.

— Pułapka to szczeniak przy tym Koniu — orzekł Krótki.

Kiedy tak patrzyli, płynęła na bystrzyny jakaś łódź. Była to duża barka. Miała dobre trzydzieści stóp długości, niosła kilka ton bagażu, siedziało w niej sześciu mężczyzn. Zanim dotarła do Grzywy, już się zanurzała i wyskakiwała z odmętu, a chwilami ginęła w tumanie piany.

Krótki spojrzął przeciągle spod oka na Kita.

— Ale zdrowo chlapie — powiedział — choć jeszcze się nie zaczęło. O! Wciągnęli wiosła. Atakują. Boże! Poszła na dno! Nie! Jest!

Barcę przysłoniła unosząca się nad wodą chmura piany. Ale zaraz potem łódź wspięła się na grzbiet fali w samym gąszczu Grzywy i zdumiony Kit ujrzał wyraźnie całe jej długie dno. Na ułamek sekundy zawisała w powietrzu — widać było załogę siedzącą bez ruchu i

sternika stojącego na rufie przy wiosle sterowym. Łódź znów dała nurka i znikła im z oczu. Trzy razy wyskakiwała w górę i pogrążała się w wodzie, aż w końcu ludzie na brzegu zobaczyli, jak wir chwyta dziób i ściąga ją z Grzywy. Sternik daremnie napierał całym ciałem na ster. Musiał ulec i tylko pomógł łodzi wejść w wir.

Trzykroć zatoczyli koło, za każdym razem tak blisko skały, na której stali Kit i Krótki, że można było skoczyć na pokład. Sternik, mężczyzna z ryżą bródką świeżego chowu, pokiwał im ręką. Jedyne wyjście z wiru było przez Grzywę. Po trzecim okrążeniu łódź wspięła się z ukosa na Grzywę, u jej góry. Sternik, zapewne bojąc się, żeby znów nie wpaść w wir, nie wyprostował steru dostatecznie szybko. Gdy to zrobił, było już za późno. Skacząc w górę i nurkując, łódź przecięła Grzywę i porwana przez prąd wbiła się w ścianę leja wodnego po drugiej stronie rzeki. Sto stóp niżej ukazały się na wodzie skrzynie i toboły, a potem łódź dnem do góry i w różnych miejscach sześć ludzkich głów. Dwom udało się dotrzeć do brzegu. Czterech utonęło, a szczątki łodzi i bagażu, unoszone przez rwący nurt, szybko znikły na zakręcie.

Długo milczeli. Pierwszy przemówił Krótki.

— Idziemy — powiedział. — Teraz nasza kolej. Strach mnie obleci, jak postoję tu jeszcze chwilę.

— Zaraz wzburzymy trochę tę wodę — Kit uśmiechnął się do Krótkiego.

— I okaże się, że naprawdę jesteś Zawierucha.

Tu Krótki zwrócił się do chlebobawców.

— Idą panowie? — zapytał.

Zapewne potężny ryk wody sprawił, że nie dosłyszeli zaproszenia.

Krótki i Kit, brodząc w śniegu wysokim na stopę, wrócili do miejsca, gdzie zaczynały się bystrzyny, i odwiązali łódź.

— Tylko trzymaj się wierzchołka grzbietu! — zawołał Krótki, podnosząc do ust gałkę tytoniu. Łódka unoszona prądem przyspieszyła biegu i wpłynęła na bystrzyny.

Kit kiwnął głową, całym ciężarem ciała co sił naparł na ster i skierował łódź w sam odmęt Grzywy.

W parę minut potem przybili do brzegu poniżej Białego Konia. Krótki, ociekając wodą, wypuł porcję tytoniowego soku i potrząsnął ręką Kita.

— Mięso! Mięso! — piał z zachwytu. — Żjemy je na surowo! Żywcem!

Na brzegu spotkali Brecka. Parę kroków dalej stała jego żona. Kit podał mu rękę.

— Boję się, że pańska łódź nie da rady — stwierdził. — Mniejsza od naszej i wywrotna.

Tamten wyjął plik banknotów.

— Dam wam po sto dolarów, jeśli przeprowadzicie łódź.

Kit zmierzył wzrokiem rozwianą Grzywę Białego Konia. Powoli zapadał szary zmrok, robiło się coraz zimniej, krajobraz wydał się jeszcze bardziej dziki i pusty niż za dnia.

— Nie o to chodzi — odparł Krótki. — Niepotrzebne nam pańskie pieniądze. Za to forsę się nie bierze. Ale mój kolega zna się na łódkach i jeśli mówi, że pańska łódź nie jest pewna, to szkoda gadać.

Kit skinął głową. Traf chciał, że w tej chwili spojrzął na panią Breck. Wpatrywała się w niego uporczywie. Zdał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie wyczytał wyraźniej modlitwy w oczach kobiety. Krótki powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem Zmieszani, popatrzyli na siebie bez słowa. Pod wpływem tej samej pobudki jeden kiwnął drugiemu głową i zawrócili na ścieżkę prowadzącą do początku bystrzyn. Nie zdążyli jednak przejść stu jardów, gdy spotkali się ze Stine'em i Sprague'em.

— Gdzie idziecie? — zapytał Sprague.

— Przeprowadzić drugą łódź — odparł Krótki.

— Mowy nie ma. Noc zapada. Pójdziecie obaj rozbić obóz.

Kita ogarnęło obrzydzenie tak potężne, że odebrało mu mowę.

— Ten człowiek jest z żoną — powiedział Krótki.

— To jego zmartwienie — odparł Stine.

— A także Zawieruchy i moje — odparł Krótki.

— Nie pozwalam — ostro uciął Sprague. — Zawierucha, jeśli zrobicie jeden krok, zwalniam was z pracy.

— A ja was, Krótki — dodał Stine.

— Marny los was spotka, jak nas wylejecie — odparł Krótki. — Jakim cudem dojedziecie na tej, pies ją wachał, łódce do Dawson? Kto poda kawę do barłogu, kto wam robi manicure? Chodź, Zawierucha. Nie ośmielą się nas wyrzucić.

Odepchnęli łódź Brecka od brzegu i ledwie wpłynęli na niespokojną wodę, fale zaczęły przelewać się przez burtę. Nie były wielkie, ale nie wróżyły nic dobrego. Krótki, żując jak zwykle tytoń, rzucił koledze drwiące spojrzenie. Serce Kita nagle zapalało gorącą sympatią do tego faceta, który tak samo nie potrafił się cofnąć, jak nie umiał pływać. Prąd rwał coraz mocniej, piana fruwała w powietrzu. Wśród zapadającego zmroku Kitowi mignęła Grzywa i zmierzający do niej kręty nurt. Wprowadził łódź w ten nurt i doznał dreszczu radości, gdy wjechał w sam środek Grzywy. Potem, w obłoku piany, kiedy łódź to wylatywała w górę, to znów dawała nura i grzęła w odmęcie, Kit nie bardzo wiedział, co się dzieje, tylko całym ciężarem ciała napierał na wiosło zastępujące ster i żałował, że stryj go teraz nie widzi. Wynurzyli się zdyszani, przemoczeni do suchej nitki. Łódź pełna była wody niemal po burty, w środku pływały lżejsze części bagażu. Krótki kilku zręcznymi uderzeniami wiosła wprowadził łódź w nurt przybrzeżny, który dokonał reszty, aż dziób lekko stuknął o brzeg. Z góry patrzyła na nich żona Brecka. Po jej twarzy spływały łzy.

— No, chłopcy, teraz musicie wziąć pieniądze! — zawołał do nich Breck.

Krótki wstał, poślizgnął się i siadł w wodzie, a łódź zanurzyła się jedną burtą, lecz zaraz odzyskała równowagę.

— Do diabła z forsą! — powiedział. — Dawaj whisky! Wszystko byłoby dobrze, gdybym teraz sobie nóg nie przemoczył. Na pewno dostanę kataru.

Rankiem wyruszyli w drogę jak zwykle pośród ostatnich. Breck, choć sam był słabym wiosłarzem, a za całą załogę miał bratanka i żonę, zwinął obóz, załadował łódź i odpłynął o szarym świcie. Ale Stine'owi i Sparague'owi nie spieszyło się wcale. Nie przejmowali się tym, iż rzeka może lada chwila zamarznąć. Udawali chorych, włązili w drogę, marudzili i tylko przeszkadzali w pracy Kitowi i Krótkiemu.

— Trudno, żebym nie stracił szacunku do Pana Boga, gdy widzę, że na obraz człowieka stworzył dwie takie ofiary — w ten bluźnierczy sposób Krótki wyraził swą odrazę.

— No, ale tyś Mu się udał — z uśmiechem odparł Kit. — Gdy patrzę na ciebie, coraz większego nabieram szacunku dla Stwórcy.

— Nie spartolił mnie Bozia, powiadasz? — tymi słowy Krótki pokrył zmieszanie, w jakie wprowadził go komplement Kita.

Szlak wodny prowadził przez Jezioro Lebarge. Nie było tutaj rwących prądów, na przestrzeni czterdziestu mil przeprawa odbywała się po gładkiej tafli jeziora i trzeba było Wiosłować, chyba że dał łagodny wietrzyk. Ale minęła pora łagodnych wiatrów. Z północy dmuchał im w oczy gwałtowny, mroźny wicher, podnosząc wysokie fale, przeciw którym niezmiernie trudno było wiosłować. Na domiar złego rozpętała się śnieżycyca. Woda zamarzała na wiosłach i jeden z nich musiał bez przerwy siekierą zrąbywać lód. Sprague i Stine, zapędzeni do wiosł, z niewzruszonym spokojem oszczędzali swych sił. Kit sam nauczył się całym ciężarem ciała napierać na wiosło, szybko więc dostrzegł, że chlebobdawcy grają komedię i zanurzają wiosła pod fałszywym kątem.

Po upływie trzech godzin Sprague wciągnął wiosło oświadczając, że trzeba wrócić do ujścia rzeki i tam się schronić przed burzą. Stine go poparł. W ten sposób ciężka praca Kita i

Krótkiego poszła na marne. Drugiego i trzeciego dnia podjęli równie daremne wysiłki. Przy ujściu rzeki łodzie, napływające bez przerwy od strony Białego Konia, utworzyły już flotyllę, która przekroczyła dwie setki. Co dnia przybywało ich czterdzieści, pięćdziesiąt, a tylko dwu lub trzem udawało się dotrzeć do północno- zachodniego brzegu jeziora. Reszta zawracała z drogi. Przybrzeżne zatoczki zamarzały; cienka warstwa lodu, otaczając cyple, łączyła zamrożone miejsca. Chwila, gdy całe jezioro okryje się lodem, była bliska.

— Dałoby się to zrobić, gdyby te ślimaki miały dusze — odezwał się Kit do Krótkiego, kiedy wieczorem trzeciego dnia suszyli przy ogniu mokasyny. — Dziś by się udało, gdyby nas nie zawrócili. Jeszcze jedna godzina i byłibyśmy na zachodnim brzegu. To są... to są bezradne pędraki.

— Ma się rozumieć — przytaknął Krótki. Obrócił mokasyn przy ogniu i zamyślił się. — Słuchaj, do Dawson mamy jeszcze paręset mil. Jeśli nie chcemy tu zamarznąć, musimy coś zrobić. Co ty na to?

Kit popatrzył na niego i nic nie powiedział.

— Mamy ich w garści — tłumaczył Krótki. — Umieją komenderować i sypać forsa, ale — jakżeś rzekł — to dzieciuchy. Jeśli chcemy się dostać do Dawson, musimy wziąć odpowiedzialność w swoje ręce.

Spojrzelili po sobie.

— Dobra jest — odpowiedział Kit i uściskiem ręki przypieczętował zawarte porozumienie.

Nazajutrz, długo przed świtem Krótki wydał z siebie poranny zew.

— Pobudka, wstać! — ryczał. — Wynocha z wyra, śpiące bractwo! Kawusia czeka! Pić galopem! Komu w drogę, temu czas!

Stine i Sprague, choć mruzcili i biadali, musieli ruszyć w drogę o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Wicher dał ze zdwojoną siłą i wkrótce twarze okrył im szron, a wiosła oblepiła gruba warstwa lodu. Walczyli przez trzy godziny, walczyli przez cztery. Na zmianę jeden sterował, drugi odbijał lód, dwóch mordowało się przy wiosłach. Północnozachodni brzeg był coraz bliżej, wichura wciąż się wzmagala. Wreszcie Sprague wciągnął wiosło na znak, że się poddaje. Chwycił je Krótki, chociaż dopiero co został zluzowany.

— Rąbać lód — powiedział, wręczając Sprague'owi siekierkę.

— Po co? — jęknął Sprague. — Nie damy rady. Wracamy.

— Płyniemy dalej — odparł Krótki. — Rąbać lód. A jak się pan poczuje lepiej, to mnie pan zmieni.

Dobytując z siebie resztek sił dobrnęli do brzegu, po to tylko, by się przekonać, że fale tłuką o nagie, urwiste skały i że nie ma miejsca do lądowania.

— A nie mówiłem — kwilił Sprague. — Wracamy.

Nikt nie odpowiedział. Kit skierował łódź wzdłuż chłostanego przez fale niegościnnego brzegu. Czasem uderzenie wiosła posuwało ich zaledwie o jedną stopę naprzód, a zdarzało się, że trzeba było paru uderzeń, by łódź utrzymać na miejscu. Kit robił, co mógł, żeby dodać ducha obu słabeuszom. Zwrócił im uwagę na to, że łodzie, które dotarły do brzegu, nie wróciły. Musiały więc znaleźć schronienie gdzieś dalej.

Ciężko pracowali godzinę, potem drugą.

— Gdybyście, chłopaki, wiali w *wiosła* trochę tej kawy, którą wyżłopaliście w betach, byłibyśmy już dawno na miejscu — zagrzewał ich Krótki. — A cała ta wasza gimnastyka nie popycha łodzi ani trochę.

Parę minut później Sprague wciągnął wiosło.

— Ja już nie mogę — powiedział przez łyżę.

— My też mamy dosyć — odparł Kit. Był u kresu sił. Czuł, że albo się rozbeczy, albo kogoś ukatrupi. — Ale się nie dajemy.

— Wracamy. Proszę zawrócić.

— Krótki, jak nie chce ciągnąć, weź od niego wiosło — rozkazał Kit.

— Jasne! — brzmiała odpowiedź. — Niech rąbie lód.

Ale Sprague nie chciał oddać wiosła Krótkiemu, Stine przestał wiosłować i woda zaczęła znosić łódkę w tył.

— Zawracać, Zawierucha! — rozkazał Sprague.

Kit, który nikogo w życiu jeszcze nie skłął, sam się zdziwił swą odpowiedzią.

— Prędzej szlag cię trafi. Brać wiosło i ciągnąć!

Żaden z nich nie panował już nad sobą. Sprague zerwał rękawice, wyciągnął rewolwer i zmierzył do sternika. Dla Kita było to coś zupełnie nowego. Nikt mu jeszcze rewolwerem nie groził. Ze zdziwieniem stwierdził, że lufa nie robi żadnego wrażenia. Najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

— Jeśli pan nie schowa tego rewolweru — powiedział — odbiorę go panu i dam nim po łbie.

— Jeśli nie zawrócisz, będę strzelał — zagroził Sprague.

Teraz Krótki wtrącił swoje trzy grosze. Przerwał rąbanie lodu i stanął za plecami Sprague'a.

— Ano, strzelaj — powiedział, wywijając siekierą. — Aż mnie ręka świerzbi, żeby rozłupać ci pałkę. No, zaczynaj zabawę!

— To bunt! — zawołał Stine. — Najeliśmy was i macie słuchać naszych rozkazów.

Krótki odwrócił się do niego.

— I na ciebie przyjdzie kolej, jak skończę z twym współnikiem, ty nędzna, wścibska świńska rąbanko, ty!

— Sprague! — odezwał się Kit. — Daję ci trzydzieści sekund, żebyś schował rewolwer i wyciągnął wiosło.

Sprague zawahał się, prychnął krótkim, histerycznym śmiechem, odłożył rewolwer na bok i schylił grzbiet nad wiosłem.

Jeszcze przez dwie godziny cał po cału przebijali się naprzód wzdłuż zbryzganych pianą skał. Kit zaczął się obawiać, że popełnił błąd, i już miał zawrócić, gdy nagle ujrzeni wąski wlot, najwyżej dwudziestu stóp szerokości, prowadzący do osłoniętej zatoczki, gdzie najbardziej gwałtowny wicher zaledwie marszczył powierzchnię wody. Do tej właśnie przystani zawijały łodzie, które wyruszyły w drogę przed nimi. Przybili do spadzistego brzegu. Pracodawcy, ledwie zipiąc, leżeli w łodzi, a Kit i Krótki rozpięli namiot, rozpalili ogień i gotowali kolację.

— Ty, co to jest wścibska świńska rąbanka? — spytał Kit.

— Żebym ja wiedział! — brzmiała odpowiedź. Ale to na pewno do niego pasuje.

Wicher osłabł, a gdy zapadła noc, ścichł zupełnie. Zrobiło się jasno i zimno. Kubek kawy, odstawiony na bok, żeby ostygł, po paru minutach okrył się grubą na pół cala skorupą lodu. O ósmej, kiedy Sprague i Stine owinięci w koce spali już jak zabici, Kit poszedł obejrzeć łódź.

— Jezioro zamarza — powiedział Krótkiemu po powrocie.

— Całą zatoczkę pokrył cienki lód.

— Co chcesz zrobić?

— Jest tylko jedno wyjście. Jezioro zamarznie, ale rwący prąd rzeki będzie się opierał dłużej. Łódź, która jutro wieczór będzie na jeziorze, pozostanie tu do przyszłego roku.

— To znaczy, że musimy wyruszać tej nocy? Zaraz?

Kit kiwnął głową.

— Wstawać, śpiące bractwo! — ryknął Krótki zamiast odpowiedzi.

Chlebodawcy, wyrwani nagle z twardego snu, zaczęli jęczeć. Zesztywniałe mięśnie bolały przy każdym ruchu.

— Która godzina? — spytał Stine.

— Wpół do dziewiątej.

— Ciemno jeszcze.
Krótki wydarł z Ziemi parę kołków i namiot zaczął się huścić.
— To nie rano — wyjaśnił — tylko wieczór. Jazda! Jezioro zamarza. Musimy wydostać się na rzekę.
Stine usiadł. Minę miał zbolałą i wściekłą.
— A niech sobie marznie — powiedział. — Nie ruszymy się z miejsca.
— Dobra jest — odparł Krótki. — A my bierzemy łódkę i Płyniemy.
— Najęliśmy was...
— Żebyśmy przewieźli bagaż do Dawson — przerwał Krótki. — No, to bierzemy rzeczy, tak czy nie?

To pytanie poparł zwaleniem im na głowy połowy namiotu.
Przebili sobie drogę przez cienki lód w zatoczce i wypłynęli na jezioro, gdzie ciężka, szklista woda zamarzała na wiosłach przy każdym uderzeniu. Rychło powierzchnia jeziora zgęstniała w kaszę, w której grzęzły wiosła. Ściekająca z nich woda zamarzała w powietrzu. Na powierzchni tworzyła się już skorupa lodu. Łódź poruszała się coraz wolniej.

Potem Kit nieraz sięgał pamięcią do tej nocy, lecz poza mętym obrazem koszmaru sennego nie mógł sobie przypomnieć nic więcej. Myślał wtedy, ile w tę noc musieli wycierpieć Stine i Sprague. Sam zachował wrażenie jakis tysiącletnich zmagañ z kásającym mrozem i śmiertelnym znużeniem.

Ranek zastał ich uwięzionych wśród lodu. Stine skarżył się, że odmroził sobie palce. Sprague biadał nad odmrożonym nosem, a Kita piekły policzki i nos, co świadczyło, że jego też mróz nie oszczędził. W odległości stu jardów widniał północny brzeg jeziora. Krótki zapewniała że wypływa tam rzeka i że widzi jej wody. Do pracy zdolny był tylko on i Kit. Wiosłami rozbijali lód, łódź wolno posuwała się naprzód. Dobywali już z siebie ostatnich resztek sił, gdy nareszcie nurt rzeki wessał łódkę. Obejrzeni się i dostrzegli, że inni, którzy tak samo walczyli przez całą noc, beznadziejnie ugrzęzli wśród lodu. Potem ostro wzięli zakręt, niesieni przez prąd z szybkością sześciu mil na godzinę.

Dzień za dniem płynęli na bystrych falach rzeki. Wciąż przybywało lodu po obu brzegach. Gdy o zmroku rozbijali obóz, musieli wyrąbywać przerębel dla łódki i przenosić sprzęt na brzeg, paręset stóp po lodzie. Rankiem wybijali kanał w świeżej warstwie lodu i spływali z prądem. Krótki postawił w łodzi żelazny piecyk. Stine i Sprague nie odstępowali od niego przez cały boży dzień. Uszy spuścili po sobie, nie wydawali już rozkazów. Jedynym ich pragnieniem było dotrzeć do Dawson. Krótki, niestrudzony wesoły pesymista, raz po raz gromkim głosem odśpiewywał trzy wiersze piosenki (więcej nie pamiętał). Im było zimniej, tym częściej grzmiał jego śpiew:

*Jak przywieźć z dalekich krajów
Złotego runa wór,
Tum—tum, tum—tum, tum—tum, tum—tum,
Grek Jazon dał nam wzór.*

Mijając Ujście Hootalinquy oraz Wielkiego i Małego Łososia zobaczyli, że strumienie znoszą do Jukonu lodową kaszę. Drobną kra zbierała się wokół łodzi i lepiała do burt. Wieczorem trzeba było na środku rzeki wyrąbywać łódź z lodu. Rano znów torowali jej drogę do nurtu.

Ostatnią noc na brzegu spędzili między ujściem rzek Białej i Stewarta. O świcie ujrzeli, że Jukon, szeroki na pół miii, bieli się od jednego brzegu po drugi w okowach lodu. Krótki, klęcząc na czym świat stoi, co prawda nie tak wesoło jak zwykle, spojrział na Kita.
— Nasza łódź będzie ostatnią, która w tym roku dotrze do Dawson — powiedział Kit.
— Ale nie ma wody.

— To popłyniemy po lodzie. Komu w drogę, temu czas.

Na nic się zdały protesty Sparague'a i Stine'a; Kit i Krótki wrzucili ich do łodzi, po czym przez pół godziny torowali siekierami drogę do bystrego nurtu, okrytego już krą. Ledwie udało im się przebić przez lód przybrzeżny, łódź przyparta przez krę przeszorowała sto jardów trąc o krawędź lodu, skutkiem czego straciła pół burty i omal nie poszła na dno. Poniżej zakrętu, wykorzystując prąd odbrzeżny, przebili się bliżej środka rzeki. Nurt niósł już nie kaszę, lecz grube kawały lodu. Odbijali się wiosłami od kry, a czasem nawet wskakiwali na bryły lodu i przepychali łódź. Po godzinie wysiłków znaleźli się na środku. W pięć minut później łódź zamarła. Cała rzeka tężała w biegu. Jeden kawał lodu przymarzał do drugiego, aż łódź znalazła się w środku bryły o średnicy siedemdziesięciu pięciu stóp. Płynęli chwilami bokiem, to znów rufą do przodu. Ruchoma masa zwieriała się w okowy, łódź je zrywała, szybko napływały jednak nowe bryły, spajające lodowe kajdany. Mijały godziny. Krótki palił w piecu, gotował i śpiewał swą pieśń wojenną.

Zapadła noc. Próbowali przebić się do brzegu, lecz po wielu bezowocnych wysiłkach musieli zrezygnować. Nie było innej rady — płynęli wśród ciemności, niesieni przez nurt.

— Co będzie, jak miniemy Dawson? — zapytał Krótki.

— Wrócimy na piechotę — odparł Kit — jeśli nas kry nie zmielą.

Niebo było jasne. W zimnym świetle drżących gwiazd ukazywały im się co jakiś czas niewyraźne kontury gór po obu stronach rzeki. O godzinie jedenastej usłyszeli przed sobą głuchy łoskot. Łódź zwolniła biegu. Wokół nich zaczęły się piętrzyć, trzeszczeć i rozbijać bryły lodu. Powstał zator. Jedna bryła, wypchnięta w górę, przesunęła się wierzchem i zabrała z sobą bok łodzi. ściśnięta przez lód łódź nie poszła na dno, ale na krótką chwilę rozwarła się tuż przed nimi czarna czeluść wody. Potem wszystko zamarło w bezruchu. Po upływie pół godziny rzeka zebrała siły i ruszyła. W godzinę później kry znów ją замуrowały. Jeszcze raz Jukon się zerwał i z wielkim łoskotem parł naprzód jak szalony. Ujrzeni światła na brzegu. Gdy znaleźli się na ich wysokości, Jukon poddał się i zamarł na sześć miesięcy.

Ciekawi, którzy zebrali się na brzegu w Dawson, żeby zobaczyć, jak rzeka zamarza, usłyszeli dobiegającą z ciemności bojową pieśń Krótkiego:

Jak przywieźć z dalekich krajów

Złotego runa wór,

Tum—tum, tum—tum, tum—tum, tum—tum,

Greki Jazon dał nam wzór.

Przez trzy dni Kit i Krótki ciężko pracowali, przenosząc półtorej tony bagażu ze środka rzeki do chałupy z okrągłaków, którą kupili ich chlebodawcy. Chałupa ta stała na wzgórzu, wysoko ponad Dawson. Zmrok zapadał, gdy skończyli pracę. Sprague zawołał Kita. W izbie było ciepłutko, na dworze termometr wskazywał sześćdziesiąt pięć stopni poniżej zera*.

— Pracowaliście u mnie niecały miesiąc. Nie szkodzi, zaokrąglimy do miesiąca. Oto wasze pieniądze, Zawierucha. Wszystkiego najlepszego życzę.

— A co z naszą umową w sprawie wiktów? spytał Kit.

— Wie pan przecież, że tu jest głód. Nawet w kopalni nie przyjmą do pracy, jeśli się nie ma własnego prowiantu. Zgodził się pan...

— Na nic się nie godziłem — przerwał Sprague. — Stine, czyś ty słyszał o jakiejś umowie? Najęliśmy was na miesiąc. Oto wasza zapłata. Proszę podpisać kwit.

* Skala Fahrenheita.

Zawierucha zacisnął pięści, zrobiło mu się ciemno przed oczami. Tamci dwaj szybko odskoczyli.

Głos zabrał Krótki.

— Słuchaj, Zawierucha. Ja mam dosyć tych śmieci. Więcej tu moja noga nie postoi. Idziemy razem, rączka w rączkę. Kape wu? Teraz bierz swoje koce i smaruj pod „Jeleni Róg”. Zaczekaj tam na mnie. Ja tu się rozliczę, wezmę, co się nam należy, i dam, co się komu patrzy. Na wodzie nie czuję się pewnie, ale teraz stoję na mocnym gruncie i zaraz się tu zakurzy.

W pół godziny później Krótki zjawił się pod „Jelenim Rogiem”. Zakrwawione kostki palców i skóra zdarta na policzku świadczyły ponad wszelką wątpliwość, że Stine i Sprague dostali, co im się należało.

— Szkoda, żeś nie widział ich chałupy — chichotał Krótki, stojąc z Kitem przy barze. — Pożar w hotelu to jeszcze nic! Głowę daję, że przez tydzień nie pokażą się na ulicy. Teraz nasz rachunek jest czysty. Żadnej pracy nie dostaniemy, póki nie będziemy mieli własnego prowiantu. Funt łosiowego mięsa kosztuje dwa dolary, ale łosia tu nie spotkasz. Wystarczy nam pieniędzy na miesięczny zapas żywności i amunicji. Pójdziemy w górę Klondike, w głąb kraju. Jeśli nie ma tam łosi, przyłączymy się do Indian. Gdybyśmy jednak w ciągu sześciu tygodni nie zdobyli pięciu tysięcy funtów mięsa, wrócę do naszych chlebobawców i pięknie im się pokłonię. Zgoda?

Podali sobie ręce. Kit się zawahał.

— Słuchaj, pojęcia nie mam o polowaniu — wyznał.

Krótki podniósł szklaneczkę.

— Ale żywisz się mięsem. A polować nauczysz się u mnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bieg do Squaw Creek

Dwa miesiące minęły od chwili, gdy Bellew Zawierucha i Krótki wyprawili się po dziczyznę. Właśnie wrócili pod „Jeleni Róg” w Dawson. Zakończyli polowanie, przywieźli mięso, sprzedali po dwa i pół dolara za funt. Mieli do spótki trzy tysiące w złotym piasku i dobry psi zaprzęg. Szczęście im sprzyjało. Chociaż szarańcza poszukiwaczy złota przepędziła zwierzynę w góry, co najmniej sto mil w głąb kraju, nie przebyli jeszcze połowy tej drogi, gdy w wąskim kanionie upolowali cztery łosie.

Pozostanie zagadką jakim cudem łosie zabłądziły w tamte strony. Tym bardziej dziwić się należało szczęściu myśliwych, że tego samego dnia rozbiły obok nich obóz cztery wygodzone rodziny indiańskie, które w ciągu trzech dni wędrówki w głąb kraju nie napotkały śladu zwierzyny. Za mięso nabyli kilka wychudłych psów. Karmili je przez parę dni, po czym zaprzęgli do sanek i zaczęli przewozić mięso na chłonny jak gąbka rynek w Dawson.

Teraz należało złoty piasek zamienić w żywność. Bieżąca cena mąki i fasoli wynosiła półtora dolara za funt, ale niełatwo było znaleźć sprzedawcę. Dawson trawił głód. Setki ludzi, mających pieniądze, lecz pozbawionych żywności, musiały opuścić kraj. Wielu odplynęło w dół rzeki tuż przed jej zamarznięciem, jeszcze więcej zabrało głodowe racje żywności i na piechotę ruszyło po lodzie w drogę powrotną do Dyea, odległej od Dawson o sześćset mil.

Zawierucha spotkał się z Krótkim w dobrze ogrzanym szynku. Krótki promieniał z radości.

— Bez whisky i cukru życie nie jest nic warte — oświadczył na powitanie. Wąsy mu już trochę odtajały, odrywał więc od nich kawałki lodu i rzucał na podłogę, aż dzwoniły. — Właśnie dostałem osiemnaście funtów słodkości. Facet wziął tylko po trzy dolary za funt. A tobie jak poszło?

— Kupiłem pięćdziesiąt funtów mąki. Nad potokiem Adama zdybałem gościa, który jutro ma mi sprzedać drugie pięćdziesiąt funtów.

— Wspaniale! To znaczy, że dożyjemy chwili, gdy rzeka ruszy. Słuchaj, nasze psy też są coś warte. Jeden handlarz dawał mi po dwieście dolarów za sztukę i chciał kupić wszystkie pięć. Powiedziałem mu, że mowy nie ma. Rzeczywiście, na mięsie bardzo się poprawiły, ale kto widział, żeby karmić psie plemię prowiantem, za który płacisz po dwa i pół dolara funt! Chodź, napijemy się. Muszę oblać te osiemnaście funtów cukru jak miód!

W parę minut później, ważąc złoty piasek na pokrycie rachunku w barze, Krótki uderzył się dłonią w czoło.

— Na śmierć zapomniałem, że się umówiłem z jednym gościem w „Tivoli”. Ma zepsuty bekon i chce go sprzedać po półtora dolara funt. Psiska mogą to żreć, a my zaoszczędzimy dolara dziennie na kosztach utrzymania każdego psa. Cześć!

Ledwie Krótki wyszedł, otwarły się podwójne drzwi przeciwburzowe i w progu stanął człowiek w futrze. Na widok Zawieruchy twarz mu się rozjaśniła. Był to Breck, ten sam, którego łódź przeprowadzili przez Pułapkę Kanionu i bystrzyny Białego Konia.

— Dowiedziałem się, że jest pan w mieście — mówił pośpiesznie Breck, ściskając rękę Kita — i szukam pana już pół godziny. Wyjdźmy stąd, pogadamy.

Zawierucha spojrzął z żalem na huczący piecyk, rozpalony do czerwoności.

— A tu nie można?

— Nie. Chodźmy.

Gdy wyszli, Kit zdjął rękawicę, zapalił zapałkę i spojrzął na termometr wiszący obok drzwi. Czym prędzej wciągnął rękawicę na rękę sparzoną przez mróz. Ponad ich głowami płonał łuk zorzy polarnej, z całego Dawson biło w niebo posępne wycie tysięcy wilczurów.

— Ile? — spytał Breck.

— Sześćdziesiąt poniżej zera.

Kit splunął na próbę. Ślina z trzaskiem zamarzała w powietrzu.

— A termometr wcale nie próżnuje. Bez przerwy spada. Przed godziną było tylko pięćdziesiąt dwa. No, co tam dobrego? Nie powie pan chyba, że kroi się bieg?

— A tak — szepnął Breck, rozglądając się niespokojnie, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Wie pan, gdzie Squaw Creek wpada do Jukonu, po drugiej stronie, trzydzieści mil stąd w górę rzeki?

— Szkoda zachodu. Poszukiwacze spenetrowali ten potok wiele lat temu.

— Tak samo, jak inne bogate wąwozy. Słuchaj pan! To wielka gratka. Złoto leży nie głębiej niż osiem do dwudziestu stóp pod ziemią. Nie będzie tam działki poniżej pół miliona dolarów. Ludzie nic nie wiedzą. Paru najbliższych przyjaciół dopuściło mnie do tajemnicy. Od razu powiedziałem żonie, że nim wyruszę, odszukam pana. Ekwipunek ukryłem na brzegu. Tym, którzy mi powiedzieli, musiałem przyrzec, że wyjdę dopiero, gdy całe Dawson będzie spać. Pan wie, co by się działo, gdyby pana zobaczyli w ekwipunku marszowym? Bierz pan swego współnika i walcie za nami. Powinniście zająć czwartą lub piątą działkę od miejsca odkrycia. Proszę zapamiętać — Squaw Creek. Trzeci potok po Swede Creek.

Kiedy Kit wszedł do małej chaty na stoku wzgórza za miastem, usłyszał dobrze mu znane chrapanie.

— Ach, idź spać — burknął Krótki, potrząśnięty za ramię.

— Dziś w nocy nie pracuję — dodał, gdy szarpanie stało się gwałtowne. — Zwierz się ze swych zmartwień barmanowi.

— Wskakuj w spodnie — odparł Kit. — Musimy wytyczyć parę działek.

Krótki siadł i już miał bluznąć przekleństwami, gdy Zawierucha zatkał mu dłońią usta.

— Pssst! — ostrzegł. — To wielkie odkrycie. Nie budź sąsiadów. Dawson śpi.

— Ejże! Żebym tak zdrow był! Nikt nikomu nie mówi, że leci do złota, skądże by znów! Ale ciekawe, jak oni wszyscy nagle wysypują się na tę samą ścieżkę.

— Squaw Creek — szepnął Zawierucha. — Breck dał mi znać. Podskórne złożo. Złoto pod korzeniami trawy. Wstawaj. Weźmiemy lekki ekwipunek i lecimy.

Krótki zamknął oczy i znów zasnął. Zawierucha zdarł z niego koce.

— Mnie są teraz bardziej potrzebne niż tobie — wyjaśnił.

Rad nierad, Krótki zaczął się ubierać.

— Bierzemy psy? — zapytał.

— Nie. Szlak do potoku pewnie nie jest przetarty i szybciej będziemy bez psów.

— Dam im jeść, żeby wytrzymały do naszego powrotu. Nie zapomnij wziąć brzozonej kory i świeczki.

Krótki otworzył drzwi, zobaczył, że z mrozem nie ma żartów i cofnął się, by spuścić nauszники i włożyć rękawice. Po pięciu minutach wrócił, gwałtownie pocierając nos.

— Słuchaj — powiedział. — Ja się stanowczo nie zgadzam na ten bieg. Jest zimniej niż u wrót piekła na tysiąc lat przed rozpaleniem pierwszego ognia piekielnego. A poza tym dziś mamy piątek trzynastego, dostaniemy więc w skórę jak amen w pacierzu.

Zarzucili na plecy tobołki, zamknęli drzwi i zaczęli schodzić ze wzgórza. Na zakręcie ścieżki Krótki wpadł w głęboką zaspę śnieżną i głośno pobłogosławił ów dzień, miesiąc i rok pański.

— Zamknij buzię! — zgromił go Kit. — Całe Dawson się obudzi i podrepcze za nami.

— Eee! Widzisz światło w tej chałupce? A w tamtej? Słyszałeś może, jak ktoś trzasnął drzwiami? Och, Dawson śpi jak zabite. A co znaczą światła? Po prostu umrzyka chowają. To nie żaden bieg, jak pragnę szczęścia.

Gdy zeszli na dół i znaleźli się w Dawson, w chatach zapalały się światła i trzaskały drzwi. Za nimi słychać było chrzęst licznych mokasynów na twardo ubitym śniegu. Krótki znów się wypowiedział:

— Diabli nadali tylu żałobników na jednym pogrzebie!

Minęli jakiegoś mężczyznę, który stał przy ścieżce i z cicha nawoływał niecierpliwie drugiego:

— Charley, no chodźże!

— Zawierucha, widziałeś co on dźwiga na plecach? Musi być kawał drogi na cmentarz, skoro żałobnicy pościel ze sobą zabierają.

Gdy weszli na główną ulicę, sznurkiem za nimi maszerowało stu chłopca, a kiedy w niepewnym świetle gwiazd szukali ścieżki prowadzącej w dół, ku rzece, usłyszeli, że ludzi wciąż przybywa. Krótki pośliznął się i zjechał jakieś trzydzieści stóp na dół, w miękki śnieg. Właśnie wstał, gdy zwałił go z nóg Zawierucha, który pojechał za nim.

— Ja pierwszy wpadłem na ten pomysł — burczał Krótki. Zdjął rękawice i wytrząsnął z nich śnieg.

Musieli co prędzej zmykać z drogi swym następcom, sypiącym się na nich z góry. Kiedy rzeka zamarzała, powstał w tym miejscu zator i teraz pod warstwą śniegu kryły się zwały lodu. Po kilku bolesnych upadkach Zawierucha wyjął i zapalił świeczkę. Tamci w tyle powitali to okrzykami uznania. W bezwietrznym powietrzu świeca paliła się jasno. Kit na czele pochodu przyśpieszył kroku.

— Ani chybi, biegań do złota — orzekł Krótki. — Bo i skąd by się wzięło tylu naraz lunatyków?

— W każdym razie jesteście na czele pochodu — odparł Kit.

— A ja nie wiem. Chyba, że światelko przed nami to robaczek świętojański. Same robaczki — ten, tamten, patrz, ile ich jest! Wierz mi, że przed nami sunie długi sznur takich procesji.

Trzeba było przejść całą milę po lodowym zatorze, aby się znaleźć na zachodnim brzegu Jukonu. Na całej tej krętej drodze migotały świeczki. To samo za nimi, aż po szczyt wysokiego brzegu, z którego zjechali na rzekę.

— Słuchaj, to nie bieg, to cała wędrownia ludów. Przed nami maszeruje na pewno tysiąc chłopca, a dziesięć tysięcy za nami. Posłuchaj no wujaszka, który zawsze dobrze radzi. Przeczucie nigdy jeszcze mnie nie zawiodło. Nie ma się za czym uganiać. Wracamy do domu i lulu!

— Lepiej byś oszczędzał płuc, jeśli nie chcesz odpaść — zgromił go Zawierucha.

— Fiu, fiu! Nogi mam krótkie, ale zginam je w kolanach i dlatego mięśnie nie sprawiają mi żadnego kłopotu. Na lodzie daję radę każdemu mistrzowi, a i tobie depczę po piętach. Jak nie umiesz lepiej iść, to może ja pójde pierwszy i nadam tempo.

Zawierucha przyśpieszył kroku i po chwili doganiał już najbliższą grupkę.

— Śmiało naprzód! — przynaglał go Krótki. — Wal po ich nie pogrzebanych zwłokach. To nie pogrzeb. Pruj mróz, jakbyś rzeczywiście wiedział, po co idziesz.

Zawierucha naliczył w tej paczce ośmiu mężczyzn i dwie kobiety, a zanim wyszli na brzeg, minęli drugą grupę, złożoną z dwudziestu osób. Parę kroków od zachodniego brzegu szlak skręcał na południe i wynurzywszy się z zatoru biegł po gładkim lodzie, okrytym warstwą puszystego śniegu, grubą na kilka stóp. Wyznaczały ten szlak koleiny sanek i ścieżyna wydeptana przez pieszych, ledwie na dwie stopy szeroka. Kto zboczył, zapadał się w śnieg po kolana. Uczestnicy biegu, których mijali Kit i Krótki, niechętnie schodzili im z

drogi. Toteż dwaj przyjaciele często musieli brnąć w śniegu, wyęzając wszystkie siły, aby się przebić naprzód.

Krótki nie darował nikomu. Na docinki tych, których wyprzedzał, odpłacał tą samą monetą.

— Dokąd tak się śpieszycie? — zapytał jeden.

— A wy dokąd? — odpowiedział Krótki. — Wczoraj po południu wyruszyła wyprawa znad Rzeki Indiańskiej. Już was ubiegli. Nie ma ani jednej wolnej działki.

— No, to po co pan lecisz?

— Kto? Ja? Pracuję dla rządu. Jestem tutaj w misji oficjalnej. Właśnie śpieszę, żeby oszacować Squaw Creek.

Drugiemu, który zawołał do niego:

— Dokąd to, malutki? Czyżbyś chciał wbić kołki na działce? — Krótki odkrzyknął: — Co? Przecież to ja odkryłem Squaw Creek. Właśnie zarejestrowałem swoją działkę i lecę zobaczyć, czy mi jaki psi syn *cheechaquo* nie wlaź w szkodę.

Uczestnicy biegu robili na równej drodze przeciętnie trzy i pół mili na godzinę. Zawierucha i Krótki — cztery i pół, a chwilami biegli, osiągając jeszcze większą szybkość.

— Tak ci zedrę nogi, że nic z nich nie zostanie — dogadywał Kit.

— Poczekaj! Na samych kikutach będę jeszcze tak śmigał, że ci obcasy odlecą od mokasynów. Chociaż nie warto. Każda działka ma pięćset stóp długości. Niech ich będzie dziesięć na milę. Przed nami biegnie tysiąc ludzi, a potok nie ma stu mil. Ktoś odejdzie z kwitkiem i coś mi się zdaje, że to będziesz ty i ja.

Zawierucha parsknął śmiechem.

— Słuchaj, Krótki. Wióry z ciebie polecą i oddasz ducha. Od chwili, gdy wyszedłem na brzeg w Dyea, odnowiłem każdą komórkę organizmu. Mięśnie mam twarde jak postronki, groźne jak ukąszenie grzechotnika. Żadna zaraza nie da mi rady. Najbardziej zażarty góral, jeśli się na mnie porwie, dostanie tak, że popamięta. Teraz wyjdź naprzód i prowadź przez pół godziny. Pokaż, co umiesz, a wtedy ja poprowadzę przez następne pół godziny i dopiero zobaczysz, jak się naprawdę chodzi.

— Fiu, fiu! — parsknął Krótki. — Młokos mleko ma jeszcze pod nosem. Ustąp tacie drogi, to cię nauczy chodzić.

Zamieniali się co pół godziny. Niewiele mówili. Marsz ich rozgrzewał, ale oddech zamarzał im przy ustach, szroniąc brody. Mróz był tak ostry, że bez przerwy pocierali rękawicami nosy i policzki.

Nieraz już im się zdawało, że się wysforowali na czoło, lecz po chwili znów doganiali takich, którzy wcześniej wymaszerowali z Dawson. Bywało, że wyprzedzona grupa starała się dotrzymać im kroku, lecz po jednej lub dwóch milach rezygnowała i w chwilę potem znikwała za nimi w mroku.

— Całą zimę spędziliśmy na szlaku — zauważył Krótki.

— A to bractwo kisło, wylegając się po chałupach i teraz chciałoby dorównać nam kroku. Inna rzecz, gdyby byli prawdziwymi kwaśnymi chłopakami*. Bo co jak co, ale chodzić to kwaśniak umie.

Raz Zawierucha potarł zapałkę i spojrzął na zegarek. Więcej tego nie robił, gdyż mróz z taką furią rzucił się na obnażone ręce, że minęło pół godziny, zanim Kit odzyskał w nich czucie.

— Czwarta — powiedział wciągając rękawice. — Minęliśmy dotąd trzystu.

* *Kwaśne chłopaki* — tak nazywano na Północy, w przeciwieństwie do *cheechako*, tych poszukiwaczy złota, którzy już dobrze zapuścili korzenie na Alasce. Nazwa pochodzi od kwaśnego ciasta — *zaczynu* używanego przez nich zamiast drożdży do wypieku chleba.

— Trzystu trzydziestu ośmiu — poprawił Krótki. — Liczyłem. Złaz z drogi, obcy człowieku. Daj maszerować takim, co wiedzą, jak się to robi.

Ostatnie słowa wypowiedział pod adresem mężczyzny, który najwyraźniej padał już ze znużenia i ledwie trzymając się na nogach, zagradzał drogę. Przez cały czas spotkali tylko dwóch takich maruderów, bo szli blisko czoła biegu. Dopiero później usłyszeli o okropnościach tej nocy. Kto opadł z sił, siadał obok ścieżki, żeby odetchnąć, i nigdy więcej się nie podnosił. Siedem osób zamarzło na śmierć, a wielu z pozostałych przy życiu amputowano palce i stopy w dawsońskim szpitalu. Bieg do Squaw Creek odbył się w najmroźniejszą noc owej zimy. Nad ranem spirytusowe termometry w Dawson wskazywały siedemdziesiąt stopni poniżej zera.

Parę minut później spotkali następnego mężczyznę, który wycofał się z biegu. Siedział na bryle lodu przy ścieżce.

— Odjazd, ciotuchna! — wesoło pozdrowił go Krótki. — Ruszaj się, bo jak będziesz siedział, to zamarzniesz na sztywno.

Tamten nie odpowiedział. Przystanęli, żeby zobaczyć, co mu się stało.

— Sztywny jak pogrzebacz. Pchnij, to się złamie.

— Zobacz, czy oddycha — powiedział Kit.

Sam gołą ręką szukał serca wśród kozuchów i wełnianych koszul.

— Ani zipie — orzekł.

— Serce też nie bije — powiedział Zawierucha.

Włożył rękawicę i przez chwilę mocno zabijał ręce, zanim jedną z nich znów wystawił na mróz, żeby potrzebować zapalną. Był to stary człowiek, niewątpliwie martwy. W świetle zapalniczki ujrzeli długą, siwą brodę, okrytą lodem aż po nos, zbiele od mrozu policzki, zamknięte oczy z rzęsami oblepionymi szronem. Zapalniczka zgasła.

— Idziemy — rzekł Krótki, trąc ucho. — Staremu nic już nie trzeba. Ani chybi, odmroziłem ucho. Skóra, psiakrew, mi zlezie i będzie mnie piekło cały tydzień.

Parę minut potem, gdy płonąca wstęga zorzy podpaliła całe niebo, zobaczyli na lodzie, ćwierć mili przed sobą, dwie postacie. Przed nimi, na jakąś milę, nie widać było żywej duszy.

— Ci dwaj prowadzą bieg — powiedział Zawierucha. Znów zapadła ciemność. — Naprzód, musimy ich dogonić.

Gdy minęło pół godziny i jeszcze nie dopędzili tamtych, Krótki zaczął biec.

— Nawet jak ich dognamy, nie damy rady wyprzedzić — dyszał. — Mój Boże, ale sadzą kroki! Głowę daję, że to nie są frajerzy z miasta. To prawdziwe kwaśne chłopaki, mogą się założyć.

Kit prowadził, gdy dogonili tamtych dwóch. Szczęśliwy, zwolnił kroku i natychmiast odniósł wrażenie, że piechur przed nim jest kobietą. Ciemna, zakapturzona postać w futrze niczym się nie różniła od innych. Zaczekał, aż znów zapłonęła na niebie zorza, i w jej świetle zobaczył, że mokasyny okrywają drobną stopę. I jeszcze coś zauważył — chód. Ten sam, który kiedyś postanowił zapamiętać na zawsze.

— Dzień dobry pani, panno Gastell — powiedział.

— Dzień dobry. — Odwróciła głowę i zmierzyła go szybkim spojrzeniem. — Ciemno, nie widzę. Kto to?

— Zawierucha.

W mroźnym powietrzu rozległ się jej śmiech. Kit był pewny, że tak perlistego śmiechu nie słyszał w życiu.

— Ilu *cheechako* idzie za nami?

— Chyba parę tysięcy. Minęliśmy ponad trzystu. Nie tracili czasu.

— Stara historia — odparła z goryczą. — Przybysze zagarniają bogate łożyska, a starzy koloniści, którzy ważyli się na wszystko, tyle wycierpieli i tyle zrobili dla tego kraju, nie dostają nic. To stara gwardia odkryła Squaw Creek i dała znać swym przyjacielom znad

Morskiego Lwa. Nie rozumiem, jak ta wiadomość przeciekła do obcych. Ci znad Morskiego Lwa mają o dziesięć mil dalej do Squaw Creek. Kiedy przybiegną, wszystkie działki będą wytyczone aż po horyzont przez *cheechako* z Dawson. To niesprawiedliwe, tak się nie robi.

— Tak jest, niestety — przytwierdził Zawierucha. — Ale niech mnie licho porwie, jeśli wiem, co na to poradzić. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

— Chciałabym, żeby zamarli na szlaku, żeby ich spotkały wszelkie okropności, byle tylko ludzie znad Morskiego Lwa przyszli pierwsi.

— A to ładnie nam pani życzy — powiedział z uśmiechem.

— Nie o to chodzi — zaprotestowała żywo. — Znam całą paczkę znad Morskiego Lwa. To prawdziwi mężczyźni. Za dawnych czasów przymierali tu głodem i jak olbrzymy dźwigali ten kraj. Zasłużyli na nagrodę, a tymczasem tysiące niedołęgów, którym nic a nic się nie należy, wyprzedziło ich dzisiaj o kawał drogi. Ale teraz muszę oszczędzać płuc, bo nie wiadomo, kiedy pan i cała reszta spróbujeście prześcignąć mnie i tatusia.

Przez godzinę nie zamienili słowa. Zawierucha zauważył jednak, że *by* rozmawiała o czymś po cichu z ojcem.

— Ja też ich znam — powiedział Krótki. — To stary Louis Gastell, równy gość, na pewno ze swoim dzieciakiem. *Przybył* do tego kraju tak dawno, że nikt nie pamięta, kiedy to było, i przywiózł z sobą dziecko, całkiem maluśką dziewczynkę. Miał spółkę z Beetlesem. We dwójkę puścili na Koyukuk pierwszy statek parowy. Okropny gruchot.

— Chyba nie będziemy się z nimi ścigać — odparł Zawierucha. — Prowadzimy bieg i jest nas tylko czworo.

Krótki zgodził się z Kitem. Znów milczeli przez godzinę, maszerując wytrwale. O siódmej ciemności rozdarł ostatni błysk zorzy polarnej, który ukazał im na zachodzie szeroką wyrwę w okrytych śniegiem górach.

— Squaw Creek! — zawołała Joy.

— Dobra nasza — ucieszył się Krótki. — Jeśli się nie mylę, mamy jeszcze dobre pół godziny drogi przed sobą. Jak dotąd, nieźle wyciągałem nogi.

Właśnie w tym miejscu szlak do Dyea, zatarasowany przez lody, skręcał nagle na wschodni brzeg Jukonu. Musieli więc rozstać się z ubitym, uczęszczanym szlakiem, którym szli dotąd, przeleźć przez zator i wejść na ledwie widoczną, słabo wydeptaną ścieżkę, wijącą się na zachodnim brzegu.

Louis Gastell, idąc na czele, pośliznął się w ciemnościach na bryle lodu. Usiadł i obiema rękami złapał się za nogę w kostce. Z trudem wstał i zaczął pomału iść, wyraźnie utykając. Po paru minutach nagle przystanął.

— Nie da rady — powiedział do córki. — Naderwałem ścięgno. Idź sama i zajmij działki dla nas obojga.

— Czy moglibyśmy jakoś panu pomóc? — spytał Zawierucha.

Louis Gastell potrząsnął głową.

— Córka może wytyczyć tak samo dobrze dwie działki, jak jedną. Ja się dowlokę do brzegu, rozpalę ogień i zabandażuję kostkę. Dam sobie radę. Idź, Joy. Zajmij działki powyżej miejsca odkrycia. Górne złoża bywają bogatsze.

— Ma pan tu trochę kory brzoźowej — rzekł Kit dzieląc swój zapas na połowę. — Zaopiekujemy się pańską córką.

Louis Gastell zaśmiał się szorstko.

— Dziękuję uprzejmie, ale ona sama da sobie radę. Idźcie za nią i nie spuszczać jej z oka.

— Pozwoli pan, że poprowadzę? — spytała Joy wysuwając się na czoło. — Znam ten kraj lepiej od pana.

— Proszę — szarmancko odparł Kit.

Gdy przeszli ćwierć miii, Joy ostro skręciła na zachód. Zawierucha zauważył, że idą po śniegu nie tkniętym stopą ludzką, ale ani on, ani Krótki nie spostrzegli, iż niewyraźny szlak, którym szli dotąd, prowadzi dalej na południe. Gdyby mogli zobaczyć, co robi Louis Gastell, dzieje Klondike potoczyłyby się inaczej, bo ujrzeliby, że stary wyga nagle przestał kuleć i biegnie za nimi z nosem przy ziemi jak pies gończy. Zobaczyliby również, że Gastell wydeptuje i poszerza zakręt w miejscu, gdzie dali początek nowej ścieżce, prowadzącej na zachód. Wreszcie przekonaliby się, że stary pomaszerał w najlepsze ścieżką wiodącą prosto na południe.

Ich nowy szlak prowadził w górę korytem potoku, ale tak był zasypany śniegiem, że w ciemnościach tracili go co chwila z oczu. Po kwadransie Joy Gastell zgodziła się iść z tyłu i obu mężczyznom przypadło w udziale na zmianę torować drogę. Czołówka posuwała się naprzód tak wolno, że dogonili ich inni i gdy o dziewiątej nastał dzień, ujrzeni za sobą, jak okiem sięgnąć, nieprzerwany sznur ludzi. Na ten widok roziskrzyły się czarne oczy by.

— Jak długo idziemy w górę? — zapytała.

— Pełne dwie godziny — odparł Zawierucha.

— I dwie na powrót, to razem cztery — roześmiała się.

— Wyprawa znad Morskiego Lwa jest uratowana.

Lekkie podejrzenie przemknęło Kitowi przez głowę. Przystanął.

— Nie rozumiem — powiedział.

— Nie? Zaraz pan zrozumie. To jest Norway Creek. A Squaw Creek — następny potok na południe.

Kitowi odebrało mowę.

— Pani zrobiła to rozmyślnie? — spytał Krótki.

— Zrobiłam to, żeby dać szansę starym pionierom.

Roześmiała im się w nos. Zrobili do siebie głupie miny i parsknęli śmiechem.

— Gdyby niewiast nie było w tym kraju tak mało, przełożyłbym panienkę przez kołano i spuścił lanie — zapewnił ją Krótki.

— To znaczy, że pani ojciec poczekał, aż zniknęliśmy mu z oczu, i pomaszerał dalej? — spytał Zawierucha.

Kiwnęła głową.

— A pani służyła za przynętę?

Kiwnęła głową jeszcze raz.

Zabrzmiął śmiech Kita. Śmiech mężczyzny, który przyznaje, że został pobity.

— No cóż, trzeba zaraz wracać — przynaglił Krótki. — Od tego stania nogi mi marzną.

Kit potrząsnął głową.

— Stracilibyśmy cztery godziny. Teraz trzeba iść tym korytem osiem mil w górę. Widać już stąd, że Norway Creek zatacza szeroki łuk na południe. Pójdziemy tym łukiem, jakoś przeleziemy przez dział wód i złapiemy Squaw Creek gdzieś ponad miejscem odkrycia.

— Spojrzał na by. — Czy zechce pani nam towarzyszyć? Przyrzekłem ojcu, że się panią zaopiekujemy.

— Ja... — zawahała się. — Chyba tak, jeśli panowie pozwolą.

Patrzyła mu prosto w oczy, nie miała już wyzywającej i przekornej miny.

— Doprawdy, panie Zawierucha, teraz trochę żałuję tego, co zrobiłam. Ale ktoś musiał pomóc starym pionierom.

— Doszedłem do wniosku, że bieg do złota to znakomity sport.

— A ja, że mam cło czynienia z parą doskonałych sportsmenów. Jaka szkoda, że nie jesteście starymi pionierami!

Przez dwie następne godziny trzymali się zamarzniętego łożyska Norway Creek, potem skręcili w jego wąski i skalisty dopływ z południa. Około dwunastej zaczęli Wspinąć się na

dział wód. Za sobą, w dole, ujrzeli długi łańcuch piechurów, który zaczynał się rwać. W licznych miejscach cienkie smużki dymu oznajmiały o rozbiciu obozu.

Droga pod górę była ciężka. Brnąc w śniegu po pas, co parę jardów przystawali, żeby odsapnąć. Krótki pierwszy upomniał się o postój.

— Ponad dwanaście godzin jesteśmy na szlaku. Zawierucha, wyznam szczerze, że się zmęczyłem jak lichy. A ty też! Śmiało rzec mogę głośno, że trzymałbym się zębami tego szlaku, jak zgłodniały Indianin kawału niedźwiedziego mięsa. Ale to biedne dziewczynisko nie utrzyma się na nogach, jeśli czegoś nie wtroi. Tu rozpalimy ogień. Co ty na to?

Tak zręcznie i umiejętnie wzięli się do rozbicia biwaku, że Joy przyznała w duchu, iż starzy pionierzy nie zrobiliby tego lepiej. Na gałązkach jedliny rozłożyli koc, który posłużył jako baza wypoczynku i czynności kuchennych. Od żaru ogniska trzymali się jednak z dala, póki zdrowo sobie nie natarli nosów i policzków.

Zawierucha splunął w górę. Slina natychmiast zamrzła z trzaskiem. Pokiwał głową.

— Poddaję się — powiedział. — Nigdy jeszcze nie widziałem takiego mrozu.

— Jednej zimy nad Koyukuk termometr spadł do osiemdziesięciu sześciu stopni poniżej zera — odparła Joy. — Teraz jest najmniej siedemdziesiąt pięć. Wiem, że odmroziłam sobie policzki. Pałają jak ogień.

Na stromym zboczu nie było lodu, sypali więc czysty, sypki, krystaliczny jak cukier śnieg na rynienkę do przepłukiwania złota tak długo, aż nad ogniem stopniał w ilość wody wystarczającą do ugotowania kawy. Zawierucha podsmażał bekon i odmrażał suchary. Krótki przynosił opał i podsyczał ogień, a Joy ustawiła skromne nakrycie, składające się z dwóch talerzy, dwóch kubków, dwóch łyżek, puszki soli zmieszanej z pieprzem i puszki z cukrem. W czasie posiłku Joy korzystała z talerza, kubka i łyżki Kita.

Było kolo drugiej po południu, kiedy przeszli grzbiet działu wód i zaczęli schodzić łożyskiem dopływu Squaw Creek. Wczesną zimą jakiś myśliwy, polując na łosia, wydeptał ścieżkę w kanionie w ten sposób, że wspinając się i schodząc na dół szedł zawsze własnym śladem. Dzięki temu w miękkim śniegu zarysowała się kręta linia dołków, przykryta przez późniejsze opady śnieżne. Jeśli noga nie natrafiła na dołek, zapadała się w śnieg, co zwykle kończyło się upadkiem. Poza tym, ów myśliwy był osobnikiem niezwykle długonogim. Joy bardzo teraz chciała, aby jej dwaj towarzysze zajęli działki. Podejrzewając, że zwalniają kroku ze względu na jej zmęczenie, wysunęła się na czoło. Szybkość, a zarazem rozważa, z jaką skakała z dołka w dołek, wywołały nieopisany zachwyty Krótkiego.

— Spójrz na nią! — zawołał. — Morowa dziewczyna, sarno czerwone mięso! Patrz, jak jej mokasyny fruują. Żadnych wysokich obcasów. Używa nóg, jakie Bóg jej dał. Oto najlepsza *squaw* dla łowcy niedźwiedzi.

Odrzuciła się i podziękowała mu uśmiechem, który objął również Zawieruchę. Kit doznał uczucia koleżeństwa, ale równocześnie nie ulegało wątpliwości, że uśmiech ten posłała mu kobieta.

Gdy doszli do krawędzi Squaw Creek, obejrzeni się i zobaczyli, że ludzie idący ich śladem z wielkim trudem złażą pojedynczo z góry.

Trójka zsunęła się w łożysko zamrożonego do dna potoku. Miało ono dwadzieścia do trzydziestu stóp szerokości i biegło między brzegami wysokimi na sześć do ośmiu stóp. Lód okryty był śniegiem nie skalany ludzką stopą. Wiedzieli już, że są powyżej miejsca odkrycia i za ostatnimi działkami, zajętej przez wyprawę znad Morskiego Lwa.

— Uważajcie na źródła — ostrzegła Joy, gdy Zawierucha wyszedł na czoło i ruszył z biegiem strumienia. — Pod kim załamie się lód przy siedemdziesięciu stopniach, musi stracić nogę.

Owe źródła, często spotykane w strumieniach Klondike, biją przez cały rok, nawet przy najniższej temperaturze. Woda spływa z brzegów i tworzy kałuże, osłaniane przed mrozem warstwą lodu i śniegu. Idąc po suchym śniegu, można trafić na cienką skorupę lodu i zapaść

się po kolana. Płaci się za to utratą nogi, jeżeli się w ciągu pięciu minut nie zmieni przemoczonego obuwia i odzieży.

Już o trzeciej po południu zapadł długi, polarny zmierzch. Szukali wzrokiem na obu brzegach drzewa z odłupaną korą, zastępującego środkową żerdź ostatniej działki. Joy zobaczyła je pierwsza. Wybiegła przed Kita i zawołała:

— Ktoś już tu był! Patrz, ślad na śniegu! Szukaj naznaczonego drzewa! O, jest! Na tej jodle!

Nagle zapadła się do pasa w śnieg.

— Ale sobie dogodziłam — powiedziała złamanym głosem. — Proszę się nie zbliżać! Sama wylezę.

Krok po kroku, krusząc cienką warstwę lodu ukrytą pod suchym śniegiem, wydostała się na twardy grunt. Zawierucha, nie czekając, skoczył na brzeg, gdzie wśród zarośli leżały suche gałązki i patyki naniesione przez wiosenne wylewy. Łatwopalny materiał czekał tylko na zapałkę. Gdy Joy doszła do Kita, już strzelały w górę pierwsze języki sprawnie roznieconego ogniska.

— Siadać! — rozkazał.

Posłusznie usiadła na śniegu. Ściągnął tobolek z pleców i podłożył jej koc pod nogi. Z góry dobiegły głosy tych, którzy szli za nimi.

— Niech Krótki zatknie żerdki — nalegała Joy.

— Idź, Krótki — powiedział Kit, szarpiąc jej mokasyny, zamrożone na kość. — Odmierz tysiąc stóp i wetknij dwie żerdki środkowe. Rogi wytyczymy potem.

Odciął nożem sznurowadła i przeciął skórę mokasynów. Skóra była tak zmarznięta, że zgrzytała pod nożem. Indiańskie skarpetki i grube wełniane pończochy zamieniły się w lód i jak żelazne pancerze więziły stopy i łydki dziewczyny.

— Jak nogi? — zapytał, nie przerywając pracy.

— Całkiem zdrętwiały. Nie mogę ruszyć palcami, zupełnie ich nie czuję. Ale wszystko będzie dobrze. Ogień cudownie się pali. Proszę uważać, żeby pan sobie rąk nie odmroził. Zdaje się, że już zeszywniały.

Włożył rękawice i przez chwilę jak szalony bił się po bokach otwartymi dłońmi. Gdy poczuł szczypanie krwi pod skórą, ściągnął rękawice i zaczął pruć, drzeć, piłować i siekać zlodowaciałą odzież Joy. W końcu pokazała się biała skóra jednej nogi, a potem drugiej, wystawiona na ukąszenia siedemdziesięciostopniowego mrozu. Nastąpiło gwałtowne i bezlitosne nacieranie śniegiem do chwili, gdy Joy zaczęła się wić, cofać, poruszać palcami i skarżyć z radością, że boli. Przy jego pomocy podpełzła do ogniska. Umieścił jej nogi na kocu, tuż przy zbawczym płomieniu.

Teraz mogła już bez obawy zdjąć rękawice. Sama nacierała nogi uważając, by wolno wchłaniały żar ogniska. Wówczas Kit zabrał się do własnych rąk. Śnieg nie tajał i nawet nie wilgotniał przy nacieraniu. Kryształki były ostre jak ziarnka piasku. Pomału, kłując i szczypiąc, wracał obieg krwi. Kit podsycił ogień, ściągnął jej plecak, wyjął z niego drugie mokasyny i zmianę odzieży.

Łożyskiem potoku wrócił Krótki. Wspiął się do nich na brzeg.

— Ano, wytyczyłem całe tysiąc stóp — obwieścił. — Numery 27 i 28. Właśnie wetknąłem górną żerdkę numeru 27, gdym się spotkał z pierwszym gościem z paczki, która szła za nami. Od razu powiada, że nie mam prawa wytyczać numeru 28. A ja mu mówię...

— Co mu pan powiedział? — zawołała Joy.

— Ano, mówię mu wyraźnie, że jak się nie cofnie równe pięćset stóp, to mu odmrożonego nochala ubiję na malinowe lody. Poszedł sobie, a ja wbiłem środkowe żerdki na dwóch uczciwie odmierzonych działkach po pięćset stóp każda. Tamten zajął następną działkę, a do tej chwili cała nasza zgraja na pewno obsiadła Squaw Creek aż do źródła i z

drugiej strony, do ujścia. Nasze poletka są murowane. Teraz nic już nie widać, ale rano zatknijemy żerdki w rogach.

Gdy się obudzili, okazało się, że w nocy nastąpiła zmiana. Było tak ciepło, że Krótki i Zawierucha, nie wychodząc jeszcze spod wspólnych koców, ocenili temperaturę na nie więcej niż dwadzieścia stopni poniżej zera. Mróz pękł. Koce okryte były sześciocalową warstwą krystalicznego szronu.

Joy Gastell siedziała w futrzanym śpiworze i starannie otrzepywała się ze śniegu. Krótki rozpałił ognisko i przyniósł lodu ze strumienia. Zawierucha ugotował śniadanie. Kończyli jeść, gdy wstał dzień.

— Pójdiesz i wbijesz żerdki na rogach — powiedział Krótki. — Tam, gdzie rąbałem lód na kawę, jest żwir, więc stopię śnieg i przepłuczę jedną patelnię tego piaseczku, było nie było.

Zawierucha z siekierą w ręce poszedł wytyczyć działki. Od środkowej żerdki numeru 27 skierował się pod kątem prostym przez wąską dolinkę ku jej skrajowi. Szedł, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, bo głowę miał nabitą wspomnieniami ostatniej nocy. Opanowało go nieokreślone, lecz gorące poczucie własności. Zdawało mu się, że wystarczy podejść do Joy Gastelli, wziąć w rękę jej dłoń i powiedzieć: „Chodź”.

Nagle dokonał odkrycia, które kazało mu zapomnieć o pannie. Na skraju doliny nie wetknął żerdki. Zanim bowiem tam doszedł, natknął się na inny strumień. Objął wzrokiem spaloną wierzbę i wielką, łatwą do zapamiętania jodłę. Wrócił do strumienia, gdzie była wbita środkowa żerdka. Poszedł łożyskiem, które zataczało łuk na kształt podkowy, i stwierdził, że dwa strumienie są jednym strumieniem. Potem dwa razy, brnąc w śniegu, przemierzył dolinę w poprzek, raz na wysokości wyższej żerdki działki 27, drugi raz na wysokości wyższej żerdki działki 28, leżącego wyżej, i stwierdził, że druga żerdka stoi niżej od pierwszej. W szarym zmroku Krótki zajął dwie działki na łuku podkowy.

Powłócząc nogami, Zawierucha wrócił do obozu. Krótki właśnie kończył płukać patelnię piasku. Na widok Kita dał upust swej radości.

— Górą nasi! — wołał, podsuwając mu patelnię. — Patrz! Kupa złota. Najmniej za dwieście dolarów. Pokład zaczyna się na samym wierzchu. Ubijałem już niejedno złote masło, ale takiego, jak na tej misce, jeszcze nie widział.

Zawierucha popatrzył obojętnie na złoty kruszec, nalał sobie przy ognisku kawy i usiadł. Joy wyczuła, że coś się stało. Przyjrzała mu się badawczo.

— Czemu nie skaczesz z radości? — zapytał Krótki. — Góra złota leży u naszych stóp, a ty mi tu nosem kręcisz na patelnię z dwiema setkami dolarów.

Zawierucha popił kawy i dopiero teraz otworzył usta.

— Powiedz, Krótki, czemu nasze dwie działki podobne są do Kanału Panamskiego?

— A ty wiesz?

— Naturalnie, wschodnie wejście do Kanału Panamskiego jest na zachód od zachodniego. W tym rzecz.

— Co dalej? Gdzie tu dowcip?

— Krótko mówiąc, mój drogi, zająłeś nasze dwie działki na wielkim łuku w kształcie podkowy.

Krótki położył na śniegu patelnię ze złotem i wstał.

— No i co z tego?

— Górna żerdka działki 28 jest dziesięć stóp poniżej dolnej żerdki działki 27.

— To znaczy, że nie mamy nic, tak?

— Gorzej. Mamy o dziesięć stóp mniej niż nic.

Krótki pobiegł. Po pięciu minutach wrócił. Na pytające spojrzenie Joy kiwnął głową. Bez słowa podszedł do pnia, siadł i długo wpatrywał się w śnieg przed swymi mokasynami.

— Możemy zwinąć obóz i ruszyć z powrotem do Dawson — powiedział Zawierucha, rolując koce.

— Przykro mi bardzo — odezwała się Joy. — To wszystko moja wina.

— Nie szkodzi. Tak w życiu bywa — odparł Zawierucha.

— Ale to moja wina — nalegała. — Tatuś zajął dla mnie działkę tuż koło miejsca odkrycia. Oddam ją panu.

Potrząsnął głową.

— Krótki! — prosiła.

Też potrząsnął głową i zaczął się śmiać. Był to huragan śmiechu. Krótki krztusił się, zatykał sobie usta i raz po raz wybuchał potężnym rykiem.

— To nie histeria - wyjaśnił potem. — Czasem doskonale się bawię i to mi się zdarzyło właśnie dzisiaj.

Wzrok jego padł na patelnię złota. Podeszedł i z całą powagą kopnął ją, aż złoto rozprysnęło się na wszystkie strony.

— To nie nasze — powiedział. — Należy do łapserdaka, którego wczoraj wieczór przegnałem pięćset stóp dalej. Co ciekawe, gość w ten sposób zyskał czterysta dziewięćdziesiąt stóp. Chodź, Zawierucha, kopniemy się do Dawson. A gdyby ci przyszła ochota mnie zabić, nawet palcem nie ruszę.

Sny Krótkiego

Chciałbym wiedzieć, czemu ty nigdy nie grasz — powiedział Krótki do Zawieruchy pewnego wieczoru pod „Jelenim Rogiem”. — Czy nie masz żyłki do hazardu?

Wokół nich, w dużej izbie szynku, słysząc było chrzęst, grzechotanie i stukot tuzina gier, w których mężczyźni odziani w futra i mokasyny próbowali szczęścia. Zawierucha szerokim gestem objął ich wszystkich.

— Spójrz na nich — powiedział. — Prosty rachunek mówi, że więcej dziś stracą niż wygrają. Większość już się splukala.

— Czy byłeś kiedy w takim transie, że tylko postawić i zgarnąć ciężką forszę? Zawierucha roześmiał się.

— Procentowo szanse są przeciw mnie i to mnie zawsze odstraszało. Wiesz co, Krótki, postawię zaraz dolara na wysoką kartę i zobaczymy, czy zarobię na kielicha.

Kit już się przepychał do stolika, przy którym grano w faraona, gdy Krótki złapał go za ramię.

— Stój! Właśnie świta mi w głowie. Postawisz tego dolara na ruletkę.

Podeszli do stołu koło baru.

— Czekaj, aż powiem — radził Krótki.

— Jaki numer?

— Sam wybierz. Teraz! Rzucaj!

Krupier puścił właśnie gałkę z kości słoniowej, która zataczała kola na gładkiej krawędzi ruletki, nad obracającym się kręgiem z podziałką. Zawierucha stał na szarym końcu stołu. Wyciągnął rękę nad głowę jednego z graczy i na ślepo rzucił dolara. Moneta potoczyła się po gładkim, zielonym suknie i upadła w samym środku numeru 34.

Gałka zatrzymała się, krupier oznajmił:

— 34 wygrywa!

Po czym zgarnął pieniądze ze stołu, ale do stawki Zawieruchy dołożył trzydzieści pięć dolarów. Kit zebrał pieniądze, a Krótki poklepał go po ramieniu.

— Sam widzisz, jakiego miałem nosa! Wiedziałem na pewno, że wygrasz. Gdyby twój dolar padł na jaki bądź inny numerek, wynik byłby ten sam. Jeśli masz prawdziwe natchnienie, musisz wygrać, żeby nie wiem co. A teraz, gdy już dałem ci zarobić, czuję wyraźnie, że sam mogę postawić na parę numerów.

— Czy grasz według systemu? — zapytał Kit w dziesięć minut później. Jego współnik zdążył już stracić sto dolarów.

Krótki z oburzeniem potrząsnął głową i rzucił swoje sztony obok numerów 3, 11 i 17, a ostatni szton postawił na „zielone”.

— Dno piekła wybrukowane jest głowami facetów, którzy grali według systemu — oświadczył, kiedy krupier zmiatał ze stołu pieniądze.

Zawierucha z początku przyglądał się obojętnie, lecz po chwili gra tak go porwała, że zaczął pilnie śledzić każdy jej szczegół, od wirującej gałki do rzucania stawek i wy- piaty wygranych. Sam nie stawiał, ograniczając się do obserwacji. Ale niezwykle go to zainteresowało, toteż odszedł od stołu dopiero wtedy, gdy Krótki oświadczył, że ma dość, i odciągnął go siłą.

Krupier zwrócił Krótkiemu mieszek ze złotym piaskiem, złożony jako poręka za grę, i wręczył mu kartkę, na której nagryzmoili: „kasa przyjmuje 350 dolarów”. Krótki z mieszkciem i kartką przeszedł przez izbę i wręczył je człowiekowi siedzącemu za wielką wagą. Tamten odważył z mieszka 350 dolarów w złotym piasku i wsypał go do skrzyni właściciela lokalu.

— Nie martw się, Krótki — rzekł z uśmiechem Kit. — Właśnie teraz zaświtała mi nadzieja...

Krótkiemu błysnęły oczy.

— Co? — zawołał. — No to już, graj, na co czekasz?

— Nie, Krótki, to co innego. Czuję, że mógłbym istotnie opracować system, który sprzątnie wszystko z tego stołu.

— System! — jęknął Krótki, mierząc współnika spojrzeniem pełnym politowania. — Ja cię proszę, posłuchaj swego kumpla i zostaw system w spokoju. To dobre, gdy chce się przegrać. W systemach nos nie gra żadnej roli.

— Właśnie dlatego wolę system — odparł Zawierucha. — Oparty na statystyce. Jeśli znajdziesz prawdziwy system, nie możesz przegrać. Tym on się różni od przeczucia. Bo nigdy nie wiesz, kiedy przeczucie przestanie mówić prawdę.

Krótki znów jęknął, ale nic nie powiedział.

— Od tej chwili nie wolno ci grać na własną rękę — mówił Zawierucha. — Będziemy się dzielili tym, co wygramy. Oddasz mi wszystkie swoje pieniądze, żebym miał z czym zacząć. System może mi parę razy podstawić nogę, zanim go opanuję na dobre.

Kit przez wiele dni całymi godzinami obserwował ruletkę, aż pewnego wieczoru oświadczył Krótkiemu, że jest gotów. Posępny i chmurny Krótki poszedł ze swym współnikiem pod „Jeleni Róg”. Zawierucha kupił stos sztonów i usiadł obok krupiera. Gałka wirowała bezustannie, gracze wygrywali i przegrywali, ale Zawierucha nie zaryzykował ani jednego sztonu. Krótki zaczął się niecierpliwić.

— Stawiaj, no, stawiaj — przynaglał. — Skończmy z tym pogrzebem. O co chodzi? Masz pietra?

Zawierucha potrząsnął głową i czekał. Dopiero po dwudziestu turach nagle postawił dziesięć dolarów na numer 26. Numer wygrał i krupier wypłacił Kitowi trzysta pięćdziesiąt dolarów. Minęło dwanaście, dwadzieścia, minęło trzydzieści tur, gdy Zawierucha po raz wtóry postawił dziesięć dolarów na numer 32. I znów zgarnął trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Jesteś w transie! — szepnął mu do ucha na cały głos Krótki. — Bij, gdzie popadnie!

Przez następne pół godziny Kit ani drgnął. Ale gdy postawił dziesięć dolarów na numer 34, wygrał.

— Trans — szepnął Krótki.

— Ależ skąd! — szepnem odpowiedział Kit — to system. Nie najgorszy, co?

— Nie zwracaj głowy — zaprotestował Krótki. — Passa przychodzi, kiedy chce. Tobie się tylko wydaje, że to system. Nie ma żadnych systemów. J być nie może. Jesteś w transie, to jasne.

Zawierucha zaczął grać inaczej. Stawiał częściej, rozrzucał pojedyncze sztony, szczęście mu nie sprzyjało.

— Przestań — radził Krótki. — Bierz forszę. Trzy razy dałeś łupnia i masz tysiącza. Ale na tym koniec.

W tej chwili gałka zaczęła wirować i Kit rzucił dziesięć sztonów na numer 26. Gałka zatrzymała się na tym numerze. Krupier jeszcze raz wypłacił Kitowi trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Jak już cię opętało takie szczęście, graj o najwyższą stawkę — radził Krótki. — Postaw teraz dwadzieścia pięć dolarów.

Minął kwadrans. Zawierucha ze zmiennym szczęściem rozrzucał drobne stawki. A potem znów ni stąd, ni zowąd postawił dwadzieścia pięć dolarów na dwa zera i krupier wypłacił mu osiemset siedemdziesiąt pięć dolarów.

— Obudź mnie, Zawierucha, bo śnię — jęknął Krótki.

Kit uśmiechnął się, zajrzał do notesu i pogрузzył się w rachunkach. Przez cały czas wyjmował notes z kieszeni i zapisywał w nim jakieś liczby.

Wokół stołu zrobiło się ciasno. Gracze zaczęli stawiać na te same numery, co Zawierucha. Wówczas zmienił szyki. Dziesięć razy pod rząd postawił dziesięć dolarów na numer 18 i przegrał. W tej sytuacji opuścili go nawet najodważniejsi. Zmienił numer i znów wygrał trzysta pięćdziesiąt dolarów. Natychmiast gracze przyłączyli się do niego, aby po całej serii przegranych zostawić go własnemu losowi.

— Skończ, Zawierucha, daj spokój — radził Krótki. — Najdłuższa passa kiedyś się kończy, a ty już ją masz za sobą. Wygrałeś swoje 3500 dolarów. Wielkich sztuk już nie pokażesz.

Spróbuję jeszcze raz, zanim wezmę pieniądze — odparł Zawierucha.

Przez parę minut grał ze zmiennym szczęściem, siejąc sztonami po stole, aż postawił pięć dolarów na dwa zera i znów wygrał.

— No, to się rozliczymy — powiedział do krupiera.

— Nie wyzywaj szczęścia — ostrzegł Krótki na drugi dzień wieczór, widząc, że Zawierucha wybiera się pod „Jeleni Róg”. — Miałeś szalone szczęście, ale to się skończyło. Jeśli tam wrócisz, ani chybi przetrzujesz wszystko, coś wygrał.

— A ja ci mówię, Krótki, że to nie żadne szczęście. To system, który nigdy nie zawodzi.

— Do diabła z systemem! Żadnych systemów nie ma! Kiedyś grałem w dwie kostki i mój numer wyskoczył siedemnaście razy pod rząd. Czy to był system? Guzik. Tylko szalone szczęście, ale tchórz mnie obleciał i nie pojechałem na tym koniu. Gdybym pojechał dalej, a nie wycofał się po trzecim rzucie, wygrałbym ponad trzydzieści tysięcy za jednego dolara.

— Mów, co chcesz, Krótki, a ja mam prawdziwy system.

— Uhm. Chciałbym zobaczyć.

— Już widziałeś. Chodź ze mną to ci pokażę jeszcze raz.

Gdy weszli pod „Jeleni Róg”, wszystkie oczy zwróciły się ku Zawierusze. Tłum otaczający stół rozstał się i szczęśliwy gracz zajął swe stałe miejsce obok krupiera. Grał zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczora. Przez półtorej godziny postawił tylko cztery razy, ale po dwadzieścia pięć dolarów i za każdym razem wygrał. Odebrał w kasie 3500 dolarów i Krótki zaniósł złoty piasek do chaty.

— Teraz powinienesz skończyć z grą — radził Krótki. Siedział na skraju łóżka i zdejmował mokasyny. — Zarobiłeś na czysto siedem tysięcy. Tylko wariat igrabły dalej ze szczęściem.

— Słuchaj, trzeba by rzeczywiście mieć hyzia, żeby przestać grać, jeśli ma się taki system.

— Wiesz, we śnie wszystko jest możliwe. Na jawie mowy nie ma o żadnych systemach. Ten szal hazardu jest na pewno snem. Śni mi się, a ty mnie straszysz i dręczysz tym systemem. Jeśli mnie lubisz, naprawdę lubisz, to hukniesz: „Krótki! Wstawaj!” A ja wstanę i zrobię śniadanie.

Trzeciego wieczora, gdy Zawierucha rzucił pierwszą stawkę, krupier odsunął mu piętnaście dolarów.

— Może pan postawić najwyżej dziesięć. Stawka została obniżona.

— Potaniało — złośliwie zauważył Krótki.

— Komu się nie podoba, może nie grać przy tym stole — odciął się krupier. — A jeśli mam być szczerzy, to wolelibyśmy, żeby pański wspólnik przeniósł się gdzie indziej.

— Boisz się pan jego systemu, co? — dogadywał Krótki, gdy w chwilę potem krupier wypłacał Kitowi trzysta pięćdziesiąt dolarów.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że wierzę w system. Nie było nigdy systemu, który by pobił ruletkę lub inną grę hazardową. A jednak sam byłem świadkiem nieprawdopodobnie szczęśliwych pass. Zrobię, co tylko będę mógł, by nie dopuścić do rozbicia banku.

— Strach ma wielkie oczy.

— Gra jest takim samym interesem, mój przyjacielu, jak każdy inny. Nie jesteśmy filantropami.

Zawierucha co wieczór wygrywał, wciąż zmieniając taktykę. Na próżno wokół stołu cisnęli się eksperci. Notowali stawki i numery Zawieruchy, ale nie mogli dojść, na czym polega jego system. Skarżyli się, że nie ma się o co zaczepić, i przysięgali, że to tylko szczęście, najdłuższa passa, jaką w życiu widzieli.

Kit tak kluczył, że nie mogli się połapać. Czasem utkwiał nos w zapiskach, długo coś obliczał i godzina minęła, zanim postawił. Innym razem w ciągu kilku minut zgarnął trzy razy najwyższe wygrane, ponad tysiąc dolarów. Kiedy indziej stosował taktykę hojnego i chaotycznego rozrzucania pojedynczych sztonów po całym stole. Trwało to czasem dziesięć minut, czasem pół godziny i nagle, gdy gałka zataczała ostatnie kola, rzucał najwyższą stawkę na kolumnę, kolor i numer, po czym wygrywał potrójnie. Zdarzało się też, że postawił czterdzieści razy pod rząd najwyższą stawkę i czterdzieści razy przegrał, co wywołało ostateczny zamęt w głowach tych, którzy chcieli przejrzeć jego system. Ale co wieczór Krótki odnosił Kitowi do domu 3500 dolarów.

— To nie żaden system — tłumaczył mu Krótki, gdy rozbierając się, dyskutowali jak zwykle na ten temat. — Nie spuszczałem oka z twojej gry, ale nie ma w niej pomysłu. Nigdy nie grasz dwa razy tak samo. Cała sztuka w tym, że zgarniasz forszę, kiedy chcesz, a jak nie masz ochoty wygrać, to przegrywasz.

— Może bliższy jesteś prawdy, niż ci się zdaje. Czasem muszę przegrać. Tego wymaga mój system.

— Do diabła z systemem! Rozmawiałem ze wszystkimi graczami w mieście i wszyscy się zgodzili, że systemów nie ma.

A jednak przez cały czas dowodzę im, że jest system.

— Słuchaj — Krótki już miał zgasić świeczkę, lecz zaczekał. — Ja nie wytrzymam. Szał mnie ogarnia. Jeśli mój sen potrwa dłużej, przegryzę sobie żyły i zacznę wyć.

Szóstego dnia pod „Jelenim Rogiem” obniżono stawkę do pięciu dolarów.

— Nic nie szkodzi — zapewnił krupiera Zawierucha. — Chcę dostać jak zwykle swoje 3500 dolarów, a przez was będę musiał grać dłużej. Przyjdzie mi zebrać dwa razy więcej wygranych, to wszystko.

— Czemu nie stawia pan przy innym stole? — zapytał ze złością krupier.

— Bo mi się tutaj podoba. — Zawierucha spojrział na huczący piec, zaledwie parę stóp od stołu. — A poza tym nie wieje tu, jest ciepło i miło.

Dziewiątego wieczoru Krótki po przyniesieniu do domu worka ze złotym piaskiem dostał ataku.

— Dosyć mam tego, dosyć, Zawierucha! Wiem, że mi się przebrała miarka. Wcale nie śnię. Oczy mam szeroko otwarte. Systemu nie może być, ale to nie przeszkadza, że ty go masz. Reguła trzech nie ma sensu. Kalendarz przestał istnieć. Świat rozleciał się na kawałki. Nie ma już nic normalnego i stałego. Tabliczka mnożenia wzięła w łeb. Dwa jest osiem, dziewięć jest jedenaście, dwa razy dwa równa się osiemset czterdzieści sześć i... i pół. Wszystko jest niczym, nic jest wszystkim, a dwa razy wszystko to lody, kogel-mogel i

entliczek-pentliczek malowany koniczek. Ty wynalazłeś system. Liczby przeciw rachunkom. To, czego nie ma, jest, a co jest, tego może nie być. Słońce wschodzi na zachodzie, księżyc jest srebrną monetą, gwiazdy to puszkę z wołowiną w konserwach, skorbut jest błogosławieństwem bożym, umarli wyłazą z grobów, skały pływają, woda to gaz, ja nie jestem ja, ty też jesteś kim innym, może obaj jesteśmy bliźniakami albo kartofelkami podsmażonymi na grynszpanie. Ludzie, obudźcie mnie! Oj, oj, obudźcie!

Na drugi dzień rano przyszedł do nich gość. Zawierucha go znał: był to Harvey Moran, właściciel wszystkich stołów gry w „Tivoli”. Kiedy przystąpił do rzeczy, w jego niskim, szorstkim głosie brzmiała nuta prośby.

— Sprawa jest tego rodzaju, panie Zawierucha — zaczął. — Zapędziłeś nas pan woźni róg. Reprezentuję interesy dziewięciu przedsiębiorców i własne, to znaczy wszystkie domy gry w Dawson. Wiemy, że nigdy żaden system nie rozłożył ruletki. Jedyne systemem jest sama ruletka i nie ma na nią żadnego sposobu. Inaczej arytmetyka byłaby bzdurą.

Krótki poparł jego słowa energicznym kiwaniem głowy.

— Przecież widzieliście, jak gram — odparł Zawierucha tonem zaczepki. — Jeśli uważacie, że to tylko szczęśliwa passa, nie ma powodu do zmartwienia.

— W tym sęk. Nie możemy się nie martwić. Wynalazł pan system, a my dobrze wiemy, że to niemożliwe. Sam obserwowałem pana przez pięć wieczorów i doszedłem tylko do tego, że pan ma swoje ulubione numery i bez przerwy wygrywa. Otóż nas dziesięciu, właścicieli ruletek, porozumiało się i chcemy coś panu po przyjacielsku zaproponować. Postawimy ruletkę w izbie od podwórza pod „Jelenim Rogiem”, złożymy się na bank i będzie pan mógł grać przeciw nam wszystkim. Zrobi się to po cichu, prywatnie. Tylko pan, Krótki i my. A więc?

— Będę dziś grał w barze pod „Jelenim Rogiem” — odparł Zawierucha. — Nikt wam nie broni przyjść tam i obserwować.

Kiedy tego wieczoru Kit zajął swoje stałe miejsce przy stole, krupier przerwał grę.

— Ruletka zamknięta — oświadczył. — Na polecenie szefa.

Ale zebrani właściciele domów gry nie ustąpili z placu boju. Złożyli się po tysiąc dolarów, zebrali pulę i zasiedli do stołu.

— Prosimy, zagraj pan z nami. — rzucił wyzwanie Harvey Moran, gdy krupier puścił w ruch gałkę.

— Stawka do dwudziestu pięciu dolarów? — upewnił się Zawierucha.

— Wiadomo. Proszę.

Zawierucha natychmiast postawił dwadzieścia pięć dolarów na dwa zera i wygrał. Moran otarł pot z czoła.

— Jedź pan — powiedział. — Mamy w banku dziesięć tysięcy.

W półtorej godziny później cała ta suma należała do Kita.

— Bank rozbity — oznajmił krupier.

— Macie dość? — zapytał Kit.

Właściciele domów gry spojrzeli po sobie. Strach ich ogarnął. Oni, wielcy kapłani praw fortuny, zostali pobici. Stanęli oko w oko z kimś, kto lepiej od nich zgłębił te prawa albo odwołał się do praw wyższego rzędu, o jakich im się nawet nie śniło.

— Wycofujemy się — rzekł Moran. — Prawda, Burke?

Wielki Burke, właściciel gier w szynku panów M. i G., kiwnął głową i powiedział:

— Zawierucha wynalazł system i nie ma na to rady. Jeśli dalej będzie tak grał, grozi nam plajta. Nie widzę innego sposobu, tylko ograniczyć stawki do dolara, dziesięciu centów, a może nawet do centa. Wtedy możemy utrzymać ruletki. Przy takich stawkach niewiele wygra przez noc.

Wszyscy spojrzeli na Zawieruchę.

Wzruszył ramionami.

— W takim razie, moi panowie, będę musiał nająć całą bandę, która będzie grała przy wszystkich waszych stołach. Mogę płacić im po dziesięć dolarów za czterogodzinną szychtę i dalej zbijać forszę.

— To zwiniemy interes — odparł Wielki Burke. — Chyba, że... — zawahał się i spojrzał na kolegów, chcąc się upewnić, że go poprą. — Chyba, że chciałby pan ubić z nami interes. Za ile sprzedałby pan swój system?

— Za trzydzieści tysięcy dolarów. Po trzy tysiące od łebka.

Naradzili się i skinęli głowami.

— Powie nam pan, na czym ten system polega?

— Tak.

— I da pan słowo, że nigdy więcej nie będzie grał w Dawson w ruletkę?

— O nie, mój panie — stanowczym tonem odrzekł Zawierucha. — Mogę tylko przyrzec, że nie będę grał tym systemem.

— Wielki Boże! — wybuchnął Moran. — Nie ma pan chyba innych systemów?

— Chwileczkę! zawołał Krótki. — Chciałbym pomówić z moim współnikiem. Chodź no tu, Zawierucha.

Kit poszedł za Krótkim do cichego kąta. Śledziły ich setki ciekawych oczu.

— Słuchaj — szeptał Krótki ochryplym głosem. — To może nie sen. W takim razie sprzedajesz system za psi pieniądz. To tak, jakbyś złapał kurę, co znosi złote jajka. Miliony może znieść ta kura. Trząś nią, trząś, ile wlezie!

— A jeśli to sen? — miękkim głosem zapytał Kit.

— W takim razie zaklinam cię na wszystkie sny świata i na rany koguta, zedrzyj z tych szulerów skórę. Cóż to za sen, jeśli nie możesz prześnić go do samego końca, prawdziwego, absolutnie pewnego, ostatecznego?

— Na szczęście to nie sen, Krótki.

— Jeśli tak, to nigdy bym ci nie darował, gdybyś sprzedał system za trzydzieści tysięcy.

— Jak sprzedam za tę cenę, rzucisz mi się na szyję, oczy ci się szeroko otworzą i zobaczysz, żeś wcale nie śnił. To nie sen, mój drogi. Za dwie minuty przekonasz się, że wszystko było na jawie. Sprzedaję, bo tak trzeba.

Wrócił do stołu i oświadczył tamtym, że podtrzymuje ofertę. Wręczyli mu dziesięć rewersów, każdy na trzy tysiące dolarów.

— Załadaj złotego piasku — ostrzegł go Krótki.

Właściciel „Jeleniego Rogu” przyjął rewersy i odważył Krótkiemu złoty piasek.

— Teraz nie chcę się obudzić — chichotał Krótki, ważąc w rękach jeden worek po drugim. — Razem ten sen wart jest siedemdziesiąt tysięcy. Cholernie dużo bym stracił, gdybym otworzył oczy, wylazł spod koców i zaczął szykować śniadanie.

— Na czym polega pański system? — zapytał Wielki Burke. — Zapłaciliśmy i chcemy go poznać.

Zawierucha poprowadził ich do stołu.

— Otóż, szanowni panowie, nie jest to zwykły system. Może prawo miałoby mu coś do zarzucenia, w każdym razie jego wielką zaletą jest, że działa. Mam pewne podejrzenia, ale mniejsza z tym. Proszę uważać. Panie krupier, zechce pan trzymać gałkę w pogotowiu. Stawiam na 26. Przypuśćmy, że postawiłem. Gotów? Proszę!

Gałka zawirowała.

— Zwracam uwagę, że naprzeciw był numer 9.

Gałka zatrzymała się na numerze 26.

Wielki Burke zaklął niskim basem. Wszyscy czekali.

— Aby wygrały dwa zera, musi być naprzeciw numer 11. Może panowie sami sprawdzą?

— Gdzież tu system? — niecierpliwie zapytał Moran. — Wiemy, że pan umie stawiać na szczęśliwe numery, i znamy te numery, ale jak pan to robi?

— Obserwowałem sekwencje. Przypadkiem zauważyłem, że dwa razy gałka poszła w ruch, gdy naprzeciw mnie był numer 9. Obydwa razy wygrał numer 26. Potem znów się to powtórzyło. Zacząłem szukać innych sekwencji i znalazłem je. Gdy dwa zera są naprzeciw, wygrywa 32, gdy jest 11 — wygrywają dwa zera. Nie musi tak być, ale n a o g ó ł się sprawdza. Proszę zwrócić uwagę, że powiedziałem „na ogół”. Jak już się rzekło, mam pewne podejrzenia, ale nie będę o nich mówił.

Wielki Burke, jakby nagle olśniła go jakaś myśl, przechylił się przez stół, zatrzymał koło i dokładnie mu się przyjrzał. Głowy dziewięciu pozostałych właścicieli ruletek pochyliły się — wszyscy uważnie oglądali koło. Wielki Burke wyprostował się i spojrzął na stojący obok piec.

— Do kroćset! — zawołał. — To nie był żaden system. Stół stoi blisko pieca i to pieskie koło się wypaczyło. A myśmy się dali obedrzeć ze skóry. Nic dziwnego, że sobie upodobał ten stół. Przy innym guzik z pętelką by wygrał.

Haryey Moran głęboko odetchnął i otarł czoło.

— No cóż — powiedział — za pewnośc, że to nie był system, tośmy jeszcze zapłacili niedrogo. Twarz mu zaczęła drgać, wybuchnął śmiechem i trzepnął w Zawieruchę w plecy.

— Zawierucha, napędziłeś nam zdrowego pietra. Myśmy poklepywali się po plecach, gratulując sobie, żeś omijał nasze stoły. Słuchajcie! Mam trochę prawdziwego szampana, odkorkuję parę butelek, jeśli panowie pozwolą do mnie, do „Tivoli”.

Po powrocie do domu Krótki bez słowa dźwigał i ważył w ręku pękate worki ze złotym piaskiem. Wreszcie zwałił je na stół, siadł na krawędzi łóżka i zaczął zdejmować mokasyny.

— Siedemdziesiąt tysięcy — liczył. — Waży trzysta pięćdziesiąt funtów. A wszystko to za spacone koło i bystre oczko. Zawierucha, zjadłeś ich na surowo, zjadłeś ich żywcem, majster z ciebie nie lada. Ciarki mnie oblatują, gdy myślę, jakiś ty drań. A jednak wiem, że to sen. Tylko w snach zdarzają się dobre rzeczy. Nie mam wcale ochoty się obudzić. Obym się nigdy nie ocknął!

CZŁOWIEK NA DRUGIM BRZEGU

Nad górnym Klondike Zawierucha skręcił wraz ze swym zaprzęgiem na południe. Wybrał się na poszukiwanie jeziora Niespodzianka i Dwóch Chat. Miał się przeprawić przez Rzekę Indiańską u jej źródeł i górami przejść przez nieznaną krainę do Rzeki Stewarta. Gdzieś w tamtych stronach, jak głosiła wieść, leżało jezioro Niespodzianka, otoczone skalistymi górami i lodowcami, a dno tego jeziora miało być wybrukowane złotym kruszcem. Opowiadano, że starzy koloniści, których nazwiska dawno okryły lody zapomnienia, nurkowali na dno lodowatych wód jeziora i w obu rękach wynosili na powierzchnię bryły złota. Ale woda była zbyt zimna. Jedni zamarzali na śmierć w jeziorze. Inni skończyli potem na suchoty. Ci, którzy uszli z życiem, zamierzali wrócić i osuszyć jezioro, żaden jednak więcej się tam nie pokazał. Były w nich wszystkie nieszczęścia. Pod jednym załamała się poniżej Czterdziestej Mili cienka warstwa lodu i utonął, drugiego rozszarpały i pożarły własne psy, innego zmiażdżyło drzewo, które się na niego zważyło. Tak powstała legenda. Jezioro Niespodzianka było zaczarowane przez złe duchy. Nikt nie pamiętał, gdzie leży. A nie osuszone dno jeziora wciąż pokryte było złotem.

Położenie Dwóch Chat znane było lepiej. Pięć snów od Rzeki Stewarta, w górę rzeki McQuestion, stały dwie wiekowe chatki. Były tak stare, że z pewnością zbudowano je, nim pierwszy łowca złota zstąpił w dolinę Jukonu.

— Wolałbym, żebyś tam nie chodził — rzekł Krótki, szczerze zmartwiony, gdy się zegnali. — Napytasz sobie tylko biedy. Z krainy, do której się wybierasz, nie ma wyjścia, to są zaczarowane strony. Sądząc z tego wszystkiego, cośmy słyszeli, to strach trzyma cię tam w swych szponach przez cały czas, aż do ostatniego tchnienia.

— Nie przejmuj się, Krótki — odparł Zawierucha. — Pójdę na tę wyprawę i za sześć tygodni będę z powrotem w Dawson. Szlak na Jukonie jest utarty, tak samo chyba pierwsze sto mil na Rzece Stewarta. Starzy koloniści z Henderson mówili mi, że ostatniej jesieni po zamarnięciu rzek sporo wypraw poszło w tym samym kierunku. Jeśli pójdę ich śladem, mogę robić czterdzieści do pięćdziesięciu mil dziennie. Gdy już się tam dostanę, wystarczy mi miesiąc na powrót.

— Ba, gdy się dostaniesz. Właśnie o to, jak się tam dostaniesz, najbardziej się martwię. No, serwus, Zawierucha. Miej tylko oczy otwarte i strzeż się złych duchów, o to chodzi. A nie wstydz się wrócić z pustymi rękami.

W tydzień później Zawierucha znalazł się wśród labiryntu górskiego na południe od Rzeki Indiańskiej. Na dziale wód powyżej Klondike zostawił sanki i przełożył bagaż na grzbiety wilczurów. Każdy z sześciu wielkich *husky* dźwigał pięćdziesiąt funtów, tyle samo niósł na plecach Kit. Torował szlak w puszystym śniegu, ubijając go rakietami, a za nim ciągnęły sznurem psiska.

Kochał to życie, surową zimę podbiegunową głuche pustkowie, bezkresne, nie tknięte ludzką stopą śniegi. Wokół niego piętrzyły się oblodzone szczyty, bezimienne i nie zaznaczone na żadnej mapie. Nie widział ani razu dymu, który wzbilby się w cichym powietrzu dolin nad ogniskiem obozu myśliwego. Sam jeden wędrował wśród pełnej zadumy ciszy rozległych pustkowi. Kochał to wszystko — trud dnia, psie swary, rozbijanie obozu podczas długiego zmierzchu, gwiazdy, które migocą nad głową, i przepych zorzy polarnej gorejącej na niebie.

Najwięcej cieszył go obóz u schyłku dnia: udeptane poletko śniegu, na którym rozpałał ogień, legowisko — para szub z króliczych skórek, rozłożona na świeżo ściętych gałęziach jodłowych, osłona od wiatru — rozpostarty kawał brezentu odbijający żar ogniska, osmalony garnek do kawy i wiadro stojące na pniu, mokasyny zatknięte na kijach i suszące się przy ogniu, rakiety śnieżne postawione na sztorc. Z drugiej strony ogniska psy lgną do ciepła, zadumane i czujne, futra okrył im szron, puszyste ogony podwijają pod siebie, osłaniając nogi. A zewsząd otacza obóz nieprzebity mur ciemności.

Długo błądził wśród chaosu kanionów i działów wód, które wymknęłyby się każdemu, kto by chciał je umieścić na porządnym planie topograficznym. Wyglądało to tak, jak by rzucił je tutaj jakiś kosmiczny żartowniś. Kit na próżno szukał potoku lub strumyka płynącego na południe, w stronę rzek McQuestion i Stewarta. Przyleciała góraska burza i okryła śnieżycą gęstwinę szczytów i przesmyków. Ponad strefą lasów, nie mogąc rozpalić ogniska, przez dwa dni próbował po omacku zejść niżej. Drugiego dnia dotarł do skraju olbrzymiej ściany skalnej. Śnieg sypał tak gęsto, że Kit nie mógł dojrzeć stóp skały i nie ważył się zejść. Zawinął się w szuby, przyciągnął do siebie psy i spędził noc w jamie wykopanej w zaspie śnieżnej.

Rankiem burza przycichła. Kit wypełził z jamy, żeby zorientować się w sytuacji. Ćwierć mili poniżej leżało zamrożone, okryte śniegiem jezioro. Wokół niego wznosiły się poszarpane, skaliste szczyty. To się zgadzało z opisem. Przypadkiem trafił na jezioro Niespodzianka.

— Nazywa się dobrze — mruknął.

W godzinę później stanął nad brzegiem jeziora. Rosło tu tylko parę starych jodeł. Schodząc, natknął się na trzy groby, zasypane śniegiem, lecz oznaczone słupami ociosanymi siekierą. Napisy na słupach były nieczytelne. Na skraju lasku stała stara, waląca się chałupa. Pchnął drzwi i wszedł. W kącie, na czymś, co swego czasu było posłaniem z gałązek jedliny, okryty futrami, które zetlały i rozsypały się, leżał szkielet człowieka.

Ostatni gość nad jeziorem Niespodzianka — pomyślał Zawierucha, podnosząc z podłogi bryłę złota nie mniejszą niż jego pięść. Obok tej bryły stała puszka od pieprzu, pełna grudek kruszcu wielkości orzecha włoskiego, jeszcze nie płukanych.

Zawierucha nie miał najmniejszej wątpliwości, że próbki pochodzą z dna jeziora. Obecnie złoto leżało pod grubą warstwą lodu i nie było do niego dostępu. Nic się nie dało zrobić, wobec czego w południe Kit posłał jezioru pożegnalne spojrzenie z krawędzi skały.

— Szanowne Jezioro — powiedział — siedź sobie tutaj spokojnie. Wrócę i osuszę cię, jeśli strachy, które strzegą dostępu do ciebie, nie dostaną mnie w swoje ręce. Nie wiem, jak tu zawędrowałem, ale na pewno zapamiętam drogę powrotną.

W cztery dni później rozpałał ognisko w dolince, nad zamrożonym potokiem, pod kępą jodeł. Gdzieś wśród białego chaosu zostawił za sobą jezioro Niespodzianka, ale gdzie to było, nie wiedział. Sto godzin błądzenia i przedzierania się przez oślepiającą zadymkę tak zbiło go z tropu, że zupełnie stracił poczucie kierunku. Miał wrażenie, że ocknął się z jakiegoś straszego snu. Nie był nawet pewny, czy minęły cztery doby, czy tydzień. Spał z psami, przedzierał się przez nie wiedząc ile działów wód, szedł dzikimi, krętymi kanionami, które kończyły się ślepo, zaledwie dwa razy udało mu się rozpalić ogień i podgrzać zamrożoną łosinę. Teraz znalazł się w miejscu, gdzie mógł zjeść do syta i nareszcie porządnie odpocząć. Burza śnieżna minęła, zrobiło się jasno i zimno. Ukształtowanie terenu przybrało znowu rozsądny wygląd. Potok nie miał w sobie niczego nienaturalnego i prowadził, jak Bóg przykazał, na południowy zachód. Ale jezioro Niespodzianka rozwiało się tak samo, jak przepadło wszystkim, którzy szukali go dawniej.

Po południowym marszu z biegiem potoku wszedł w dolinę jakiejś rzeki, najprawdopodobniej McQuestion. Ubił tam łosia. I znów każdy wilczur dźwigał pełne pięćdziesiąt funtów mięsa. Ledwie wszedł w dolinę rzeki McQuestion, trafił na ślady sanek.

Okrywał je świeży śnieg, ale pod spodem szlak był ubity. Domyślał się, że nad rzeką leżą dwa obozy, które łączy ta droga. Dwie Chaty stanowią zapewne obóz położony niżej, ruszył więc w dół rzeki.

Kiedy wieczorem rozbijał obóz, było czterdzieści stopni poniżej zera. Zasypiając, zastanawiał się, kim są obecni mieszkańcy Dwóch Chat i czy dotrze tam na drugi dzień. Z pierwszym brzaskiem dnia był już w drodze i bez trudu posuwał się na pół zasypianym szlakiem, ubijając śnieg plecionymi raketami, aby psy nie grzęzły.

I właśnie wtedy spadło na niego coś, czego się najmniej spodziewał. Stało się to na zakręcie rzeki. Usłyszał i poczuł równocześnie. Z prawej strony rozległ się huk wystrzału, kula przeszła mu szubę na plecach i wełnianą kurtkę. Pod wpływem uderzenia ciało Kita wykonało pół obrotu. Nogi zaplątały mu się w raketach, zachwiał się i nim odzyskał równowagę, usłyszał drugi strzał. Tym razem strzelec wyraźnie spudłował. Nie było czasu do namysłu. Kit dał nura w śnieg i zaczął czołgać się ku drzewom na brzegu, oddalonym o sto stóp. Strzelba grzmiała bez przerwy. Doznał nieprzyjemnego wrażenia, że coś ciepłego cieknie mu po plecach.

Wdrapał się na brzeg, psy brnęły w śniegu za nim. Ukryty wśród drzew i krzaków, zdjął rakiety, sięgnął po strzelbę, wyciągnął się jak długi i ostrożnie wyjrzał z kryjówki. Nic nie było widać. Ten, który do niego strzelał, leżał spokojnie, ukryty za drzewami na drugim brzegu.

— Jeśli zaraz coś się nie stanie — mruknął do siebie Zawierucha w pół godziny później — będę musiał wymknąć się stąd i rozpalić ogień, inaczej odmrozę sobie nogi. Podczołgał się parę jardów dalej, ubił śnieg i wykonał skoczny taniec, dzięki czemu krew wróciła do stóp i mógł wytrzymać następne pół godziny. Wówczas usłyszał z dołu rzeki wyraźny dźwięk psich dzwonek. Wyjrzał z kryjówki i zobaczył na zakręcie sanki. Szedł przy nich samotny człowiek. Napierał na hamowidło i poganiał psy. Widok ten zrobił na Zawierusze wstrząsające wrażenie, po raz pierwszy bowiem od chwili, gdy trzy tygodnie temu rozstał się z Krótkim, ujrzał ludzką istotę. Natychmiast przypomniał sobie o kimś, kto żywiąc mordercze zamiary, ukrył się na drugim brzegu.

Nie wychylając się z ukrycia, Kit gwizdnął ostrzegawczo. Człowiek na szlaku nie usłyszał i szybko się zbliżał. Kit gwizdnął jeszcze raz, głośniejsze. Nieznajomy krzyknął na psy, żeby stanęły, sam też się zatrzymał, odwrócił się i ujrzał Zawieruchę. W tej chwili huknęła strzelba. Sekundę później Zawierucha wypalił celując do lasu, w kierunku, skąd dobiegł huk. Pierwsza kula trafiła człowieka na rzece. Zachwiał się pod jej uderzeniem. Niepewnym krokiem podszedł do sanek i słaniając się wyciągnął strzelbę spod rzemieni. Gdy usiłował przyłożyć ją do ramienia, opadł z sił, pomału osunął się na sanki i usiadł. Jego strzelba wypaliła, a on sam upadł w tył, przez bagaż na sankach. Zawierucha widział teraz tylko jego nogi i brzuch.

Z dołu dobiegł dźwięk wielu dzwonek. Leżący ani drgnął. Zza zakrętu wyjechało troje sanek, obok których szło sześciu mężczyzn. Zawierucha krzyknął, żeby ich ostrzec, ale sami zobaczyli, co się zdarzyło pierwszym sankom, i podbiegli do nich. Z drugiego brzegu nikt już nie strzelał. Zawierucha zawołał na psy i wyszedł z kryjówki. Jego widok mężczyźni powitali okrzykami. Dwóch ściągnęło z prawych rąk rękawice i wzięło go na cel.

— Chodź tutaj, krwawy morderco! — zawołał jeden z nich, mężczyzna z czarną brodą. — Ale strzelbę rzuć w śnieg.

Zawierucha zawahał się, lecz upuścił strzelbę i podszedł do nich.

— Zrewiduj go, Louis — rozkazał brodac.

Louis był kanadyjskim Francuzem, *voyageur*^{*}, podobnie jak czterech jego towarzyszy. W każdym razie tak ich zakwalifikował Kit. W czasie rewizji Louis znalazł u niego tylko nóż myśliwski, który mu odebrał.

— Co powiesz na swoją obronę, obcy człowieku, zanim cię zastrzelę? — zapytał czarnobrody.

— Jeśli pan myśli, że ja zabiłem tego człowieka, to się pan myli — odparł Zawierucha.

Jeden z *yoyageurs* krzyknął. Poszedł szlakiem i znalazł ślady w miejscu, gdzie Zawierucha zszedł z drogi, żeby się schować na brzegu.

— Dlaczego zabiłeś Joe Kinade'a? — spytał czarnobrody.

— Powtarzam, że nie zabiłem.

— Po co to gadanie? Złapaliśmy cię na gorącym uczynku. Tam zszedłeś ze szlaku, gdy usłyszałeś, że nadjeżdża. Zaczaiłeś się na niego za drzewami. Strzał z bliska. Nie mogłeś chybić. Pierre, daj no jego strzelbę.

— Pozwólcie mi powiedzieć, jak to było — bronił się Kit.

— Zamknij gębę — warknął czarnobrody. — Twoja strzelba opowie za ciebie.

Wszyscy oglądali strzelbę Zawieruchy, wyrzucali i liczyli naboje, badali wylot lufy i zamek.

— Jeden strzał — zawyrokował czarnobrody.

Pierre, z nozdrzami rozwartymi i drżącymi jak u jelenia, wąchał zamek.

— Strzelał przed chwilą — oświadczył.

— Kula trafiła go w plecy — tłumaczył Kit. — Był odwrócony do mnie twarzą, gdy został zabity. Strzał padł z tamtego brzegu.

Czarnobrody pomyślał chwilkę i potrząsnął głową.

— Bujda. Nie chwyci. Odwróć go twarzą do tamtego brzegu — o, w takiej pozycji rąbnałeś go w plecy. Chłopcy, niech no który skoczy szlakiem w jedną i drugą stronę i poszuka, czy są ślady wiodące na tamten brzeg.

Voyageurs zameldowali, że po tamtej stronie nie ma na śniegu żadnych śladów. Czarnobrody pochylił się nad zabitym i nagle się wyprostował. W ręce trzymał strzep wełny z kłakiem futra. Wyłuskał ze środka kulę, która przebiła ciało. Koniec kuli był spłaszczony do wielkości półdolarowej monety, ale dalej stalowy płaszcz uchronił ją przed uszkodzeniem. Brodacz porównał kulę z nabojem, znalezionym w pasie Zawieruchy.

— To wystarczający dowód nawet dla ślepego, obcy człowieku. Miękki koniec i stalowy płaszcz. Kaliber 30-30. Twój też 30-30. Wyprodukowany przez J. z T. Arms Company. I twój też z tej samej fabryki broni. A teraz chodź, pójdziemy na brzeg i zobaczymy, jak to zrobiłeś.

— To do mnie ktoś strzelał z zasadzki — powiedział Zawierucha. — Zobacz, że mam przestrzeloną *parka*^{*}.

Gdy czarnobrody oglądał dziurę w szubie Kita, jeden z *yoyageurs* otworzył zamek strzelby zabitego. Łuska była jeszcze w komorze.

— Psiakrew, szkoda, że biedny Joe cię nie trafił — zmartwił się czarnobrody. — Ale i tak nielicho strzelił, choć sam już był przedziurawiony. No, chodź.

— Przeszukajcie najpierw drugi brzeg — nalegał Zawierucha.

— Zamknij gębę i chodź. Niech mówią fakty.

Zeszli ze szlaku w tym samym miejscu, w którym zatrzymał się przedtem Zawierucha, i brzegiem doszli do drzew.

* *Voyageur* (franc.) — podróżnik. Na Północy nazywano tak przewoźników, konwojentów i przewodników wypraw drogą wodną lub lądową. Byli to przeważnie kanadyjscy Francuzi. Stąd nazwa.

* *parka* – długie, luźne futro, noszone na Alasce

— Tu tańczył, żeby sobie rozgrzać nogi. — Louis pokazał na ubity śnieg. — Tu czołgał się na brzuchu. Tutaj oparł łokieć, gdy strzelał.

— A tu leży łuska naboju, którym zabił — zawołał czarnobrody. — Chłopcy, mamy jeszcze jedną rzecz do zrobienia...

— Moglibyście mnie zapytać, jak doszło do tego, że strzeliłem — przerwał mu Zawierucha.

— Mogę ci zatkać jadaczkę twoimi własnymi zębami, jeśli ją jeszcze raz otworzysz. Na te pytania odpowiesz później. Jesteśmy porządni ludzie, szanujemy prawo i sprawę załatwimy jak należy. Pierre, jak daleko jesteśmy od domu?

— Będzie chyba dwadzieścia mil.

— Dobrze. Schowamy tu bagaż biednego Joego, a z nim i tym gościem wrócimy do Dwóch Chat. Zdaje mi się, że widzieliśmy dość i naszych zeznań wystarczy mu na stryczek.

Już od trzech godzin było ciemno, gdy nieboszczyk, Zawierucha i ci, którzy go ujeli, przybyli do Dwóch Chat. W świetle gwiazd Zawierucha ujrzał co najmniej tuzin świeżo zbudowanych chałupek otaczających większą, starą chatę na równinie nad brzegiem rzeki. Wepchnięto go właśnie do tej starej chaty. Mieszkały tam trzy osoby: młody olbrzym, jego żona i ślepy starzec. Jak się później dowiedział, starzec od wielu lat był traperem nad rzeką Stewarta i ostatniej zimy oślepl do reszty. Obóz Dwóch Chat został założony w jesieni przez dwunastu mężczyzn, którzy przyплыnęli sześcioma łodziami, załadowanymi prowiantem. Zastali tu ślepego traperę i wokół jego chaty pobudowali swoje chałupki. Później, gdy po lodzie przybyli psimi zaprzęgami inni, liczba mieszkańców osady się potroiła. W obozie było w bród mięsa. Nad rzeką McQuestion odkryto opłacalne pokłady złotego żwiru i rozpoczęto eksploatację.

W ciągu pięciu minut wszyscy mieszkańcy osady stłoczyli się w izbie. Do wepchniętego w kąt Zawieruchy nikt się nie odzywał i tylko rzucali mu spojrzenia pełne pogardy. Ręce i nogi miał skrupowane rzemieniami z łosiowej skóry. Rozejrzał się i naliczył trzydziestu ośmiu mężczyzn. Wielkie chłopiska, leśni ludzie z pogranicza Stanów albo *yoyageurs* z górnej Kanady. Ci, którzy go ujeli, raz po raz powtarzali swą opowieść. Każdego z nich otaczała gromadka podnieconych i gniewnych słuchaczy. Słysząc było pomruki: „Zaraz go zlinczować! Na co tu czekać?” Z trudem powstrzymano jakiegoś drągała, który chciał się rzucić na bezbronnego więźnia i porachować mu kości.

Licząc zebranych, Zawierucha zobaczył znajomą twarz. Był to Breck, człowiek, którego łódź przeprowił przez bystrzyny. Dziwiło Kita, czemu tamten nie podszedł i nie zagadał do niego, sam jednak nie zdradził się, że go zna. Dopiero, gdy Breck zasłonił twarz ręką i mrugnął do niego, Kit zrozumiał.

Czarnobrody (Kit usłyszał, że nazywa się Eli Harding) zamknął dyskusję na temat, czy więzień ma być zlinczowany natychmiast.

— Czekajcie! — ryknął. — Wolnego! Ten człowiek należy do mnie. Ja go złapałem i sprowadziłem tutaj. Czy wam się zdaje, że po to taszczyłem go taki kawał drogi, żeby go zlinczowano? Niedoczekanie wasze. Mogłem to zrobić sam, kiedy dostałem go w ręce. Przywiodłem go tu na sprawiedliwy i bezstronny sąd. I Bóg mi świadkiem, że taki sąd się odbędzie. Facet związany jest dobrze i nie ucieknie. Rzućcie go na ławę. Rozprawa odbędzie się tutaj jutro rano.

Zawierucha obudził się. Leżał na boku, twarzą do ściany. Strumień zimnego jak sopel lodu powietrza świdrował mu pierś. Gdy go przywiązano do ławy, od ściany nie wiało. Teraz powietrze z zewnątrz wdzierało się do ogrzanej chaty z ciśnieniem pięćdziesięciu stopni poniżej zera, co wyraźnie świadczyło o tym, że ktoś z tamtej strony wydfubał mech, którym uszczelniano ścianę z okrągłaków. Kit przysunął się do ściany tyle, ile mu pozwalały więzy, wyciągnął szyję i zbliżył usta do szpary.

— Kto tam? — szepnął.

— Breck — brzmiała ledwie dosłyszalna odpowiedź. — Uważaj, żebyś nie narobił hałasu. Zaraz podam ci nóż.

— Nic z tego. Nie mogę go użyć. Ręce mam związane z tyłu i przymocowane do nóg ławy. Zresztą nóż nie przelezie przez tę szparę. Trzeba zrobić co innego. Tutejsze bractwo ma ogromną ochotę mnie powiesić, a przecież nie zabiłem tego człowieka.

— Mnie, Zawierucha, nie musisz przekonywać. W każdym razie chciałbym ci pomóc się stąd wydostać. Ludziska tutaj zażarte. Sam widziałeś. To dziura zabita deskami. Oni tu sami ustanawiają prawa i sami je wykonują — na zebraniach górników, rozumiesz? Już się z dwoma załatwili, z dwoma złodziejami żywności. Jednego wygonili z obozu bez krztyny prowiantu i bez zapalek. Uszedł czterdzieści mil i pożył jeszcze parę dni, nim zamarzył na kamień. Dwa tygodnie temu wypędzili drugiego. Dali mu do wyboru: albo żadnego żarcia, albo dziesięć kijów za każdą dzienną rację. Wytrzymał tylko czterdzieści kijów i zemdłał. Teraz dostali w ręce ciebie. Wszyscy co do jednego są pewni, że to ty zabiłeś Kinade'a.

— Ten, co zabił Kinade'a, strzelał także do mnie. Jego kula drasnęła mnie w plecy. Postaraj się, żeby odroczyli rozprawę i żeby ktoś poszedł przeszukać brzeg, na którym ukrył się morderca.

— Nie da rady. Oprą się na zeznaniach Hardinga i pięciu Francuzów, którzy z nim byli. Poza tym nie powiesili jeszcze nikogo, a bardzo by chcieli. Życie mają tu szare i smutne. Złotej żyły nie znaleźli i znudziło im się już szukanie jeziora Niespodzianka. Wczesną zimą zrobili parę biegów do złota, ale i tego im się odechciało. Dojrzeliby do jakiegoś szaleństwa.

— Wygląda na to, że ja dostarczę im okazji. Breck, jakim cudem skumałeś się z taką bandą dzikusów?

— Przyszedłem korytem Rzeki Stewarta w poszukiwaniu Dwóch Chat. Tamci byli tu przede mną, poszedłem więc dalej, w górę Rzeki Stewarta. Dopiero wczoraj wróciłem, bo mi brakło żywności.

— Znalazłeś co?

— Nic wielkiego. Ale mam pomysł maszyny hydraulicznej, która może przynieść znaczne dochody, gdy się ten kraj ożywi. To by było to, albo koparka złotego kruszcu.

— Czekaj — przerwał mu Kit. — Chwileczkę.

Rozważał pomysł, jaki mu strzelił do głowy.

— Breck, czy oni otwarli worki z mięsem, które niosły moje psy?

— Parę otwarli. Sam widziałem. Schowali je w spiżarni Hardinga.

— Czy znaleźli co?

— Mięso.

— Dobrze. Musisz dobrać się do worka z brązowego brezentu, załatanego skórą łosia. Znajdziesz tam kilka funtów kruszcu. Nigdyś nie widział w tym kraju takiego złota i nie widział nikt inny. Będziesz musiał zrobić tak, słuchaj uważnie...

W kwadrans później, otrzymawszy szczegółowe instrukcje, Breck odszedł.

Zawierucha odmroził sobie przez szparę nos i policzek. Pół godziny pocierał je o koc, aż wreszcie piekące klucie powracającej krwi upewniło go, że nic mu nie będzie.

— Ja już wyrobiłem sobie zdanie. Nie ulega wątpliwości, że to on zabił Kinade'a. Wczoraj wieczór słyszeliśmy całą historię. Po kiego diabła wałkować to jeszcze raz? Ja głosuję — winien.

Tak się zaczęła rozprawa Zawieruchy. Mówca, atletycznej budowy górnik z Colorado, nie ukrywał swej irytacji i oburzenia, gdy Harding oddalił jego wniosek, zażądał, aby odbyła się normalna rozprawa, i mianował niejakiego Shunka Wilsona sędzią oraz przewodniczącym zebrania. Wszyscy mieszkańcy obozu Dwóch Chat weszli w skład ławy przysięgłych i tylko Lucy odmówiono, po krótkiej dyskusji, prawa głosu w sprawie winy oskarżonego.

W tym samym czasie Zawierucha, wepchnięty w róg, na ławkę, słuchał rozmowy prowadzonej szeptem przez Brecka z jakimś górnikiem.

— Czy nie sprzedałby pan pięćdziesięciu funtów mąki? — zapytał Breck.

— Nie masz pan tyle piaseczku, żeby zapłacić cenę, jakiej zażądam.

— Dam dwieście.

Tamten potrząsnął głową.

— Trzysta, trzysta pięćdziesiąt...

Gdy Breck doszedł do czterystu, górnik skinął głową i powiedział:

— Chodź pan do mnie, zważymy piasek.

Obydwaj precyzyjnie się do drzwi i wymknęli na dwór. Po kilku minutach Breck wrócił sam.

Harding składał właśnie zeznania, gdy drzwi uchyliły się lekko i ukazała się w nich twarz górnika, który sprzedał mąkę. Robił miny i uparcie kiwał na kogoś w izbie. Ten ktoś wstał spod pieca i zaczął przepychać się ku drzwiom.

— Dokąd to, Sam? — spytał Shunk Wilson.

— Wróć za chwilę — usprawiedliwił się Sam. — Muszę wyjść.

Zawierusze pozwolono zadawać pytania świadkom. Właśnie brał Hardinga w krzyżowy ogień pytań, gdy z zewnątrz dobiegło skomlenie psów w uprzęży oraz zgrzyt i chrzęst płóz. Jeden ze stojących przy drzwiach wyjrzał.

— To Sam i jego wspólnik gnają sankami na złamanie karku szlakiem w stronę Rzeki Stewarta — oznajmił.

Przez długie pół minuty nie odezwał się nikt. Jeden spoglądał tylko znacząco na drugiego. Niepokój ogarnął całą zatłoczoną izbę. Kątem oka Zawierucha obserwował, jak Breck, Lucy i jej mąż naradzają się szeptem.

— Jazda dalej — opryskliwie przynaglił Zawieruchę Shunk Wilson. — Kończcie z tymi pytaniami. Wiemy, czego chcecie dowieść: że drugi brzeg nie został przeszukany. Świadkowie to przyznają i my też. To nie było potrzebne. Żaden ślad nie prowadził na drugi brzeg. Śnieg był nietknięty.

— A jednak był ktoś na drugim brzegu — nalegał Zawierucha.

— Z tej mąki nie będzie chleba, młodzieńcze. Nie jest nas wielu na McQuestion i dobrze wiemy o każdym człowieku w tych stronach.

— A kogo to wygnaliście z obozu dwa tygodnie temu? — zapytał Zawierucha.

— Alonzo Miramera. Co ten złodziej żywności ma do rzeczy?

— Nic, proszę sądu, tylko tyle, że jego nie wzięliście w rachubę.

— Poszedł z biegiem rzeki, a nie w górę.

— Skąd pan wie?

— Widzieliśmy, jak odchodził.

— I to wszystko, co wiecie o jego losie?

— Nie, nie wszystko, młodzieńcze. Wiem, wszyscy tutaj wiemy, że miał z sobą prowiant na cztery dni i nie dostał strzelby, nie mógł więc nic upolować. Jeżeli nie dotarł do Sześćdziesiątej Mili nad Jukonem, to dawno już kipnął.

— Zdaje mi się, że wiecie o każdej strzelbie w tych stronach — ironicznie zauważył Kit.

Shunk Wilson rozgniewał się.

— Wam się zdaje, że to ja jestem oskarżony i możecie mnie zasypywać pytaniami? Dawać tu następnego świadka! Gdzie jest Louis Francuz?

Gdy Louis przepychał się przez tłum, Lucy otwarła drzwi.

— Dokąd to? — krzyknął Shunk Wilson.

— Uważam, że się tu obejdzie beze mnie — arogancko odparła Lucy. — Głosować mi nie dacie, a do mojego domu tylu ludzi się napchało, że nie ma czym oddychać.

W parę minut później wyszedł jej mąż. Sędzia zorientował się dopiero, gdy usłyszał, że znów ktoś trzasnął drzwiami.

— Kto to był? — zapytał, przerywając opowiadanie Pierre'a.

— Bill Peabody — odpowiedział ktoś. — Mówił, że musi się o coś zapytać żony i że zaraz wraca.

Zamiast Billa wróciła Lucy, zdjęła futro i usiadła na swoim miejscu przy piecu.

— Uważam, że nie ma potrzeby przesłuchiwania pozostałych świadków — orzekł Shunk Wilson, gdy skończył Pierre. — Wiemy, że inni świadkowie mogą tylko potwierdzić fakty, o których już słyszeliśmy. Sorensen, pójdiesz i przyprowadzisz tu z powrotem Billa Peabody. Zaraz odbędzie się głosowanie i zapadnie wyrok. A teraz, obcy człowieku, możesz wstać i powiedzieć, co masz na swoją obronę. My zaś, żeby nie tracić czasu, puścimy w obieg dwie strzelby, amunicję i kulę, która zabiła.

Zawierucha właśnie opowiadał, jak ktoś strzelił do niego z zasadzki i jak uciekł na brzeg, gdy przerwał mu oburzony Shunk Wilson.

— Młodzieńcze, po co to całe opowiadanie? Tracimy tylko cenny czas. Oczywiście, masz prawo kłamać, broniąc się przed stryczkiem, ale my nie będziemy słuchali wszystkiego, co ci ślina na język przyniesie. Strzelba, amunicja i kula, która zabiła Joego Kinade'a, są przeciw tobie. A co tam znowu? Otwórzcie no drzwi!

Wtargnął mróz i w ciepłej izbie zamienił się w kłęb pary. Przez otwarte drzwi doleciało skomlenie psów i szybko ścichło w oddali.

— To Sorensen i Peabody! — zawołał ktoś. — Okładają psy batami i walą w dół rzeki!

— Cóż do ciężkiej... — przerwał Shunk Wilson i z otwartymi ustami wpatrywał się w Lucy. — Zdaje mi się, że pani mogłaby nam to wyjaśnić, pani Peabody.

Lucy zadarła głowę i zacisnęła usta. Wściekłe, podejrzliwe spojrzenie Shunka Wilsona spoczęło na Brecku.

— Coś mi się zdaje, że ten przybysz, z którym tu pani szeptała, mógłby udzielić nam wyjaśnień, gdyby tylko zechciał.

Breck zmieszał się ogromnie. Czy wszystkich zwróciły się na niego.

— Sam też z nim coś knuł, zanim się ulotnił — powiedział ktoś.

— Słuchaj pan, panie Breck — zaczął Shunk Wilson. — Zakłóciłeś pan rozprawę sądową i musisz się usprawiedliwić. O czym to pan szeptał?

Wystraszony Breck chrząknął.

— Chciałem właśnie kupić trochę żywności.

— Za co?

— Za złoty piasek, naturalnie.

— Gdzie go pan znalazł?

Breck nie odpowiedział.

— Szwendał się gdzieś nad górnym brzegiem Stewarta — pospieszył wyjaśnić jeden z obecnych. — Natknąłem się na jego obóz, gdy tydzień temu byłem na polowaniu. I muszę wam powiedzieć, że zachowywał się strasznie tajemniczo.

— Złoty piasek nie pochodzi stamtąd — odparł Breck. — Próbowałem tam tylko płuczki do niskoprocentowego kruszcu.

— Daj no pan swój worek, zobaczymy ten piasek — rozkazał Wilson.

— Mówiłem już, że piasek nie jest tutejszy.

— Wszystko jedno, chcemy zobaczyć.

Breck udał, że się na to nie zgadza, ale zewsząd otaczały go groźne twarze. Niechętnie grzebał w kieszeni kurtki. Gdy wyjmował puszkę od pieprzu, stuknął o coś twardego.

— Wyjął wszystko! — zagrzmiał Shunk Wilson.

I oczom wszystkich ukazała się wielka żółta bryła. Żaden z nich nie widział jeszcze takiego złota. Shunk Wilson oniemiał. Sześciu mężczyzn, ledwie spojrzawszy na złoto, rzuciło się do drzwi. Dotarli do nich równocześnie. Klnąc, gniotąc się i okładając pięściami, z

trudem wysypali się na dwór. Sędzia wytrząsnął na stół zawartość puszek. Widok złotych samorodków sprawił, że znów pół tuzina chłopów skoczyło do drzwi.

— Dokąd? — zapytał Eli Harding widząc, że Shunk podąża za nimi.

— Po psy, rzecz jasna.

— To go nie powiesicie?

— Za długo by to trwało. Poczekaj, aż wrócimy. Uważam rozprawę za odroczoną.

Trzeba się spieszyć.

Harding zawahał się. Spiorunował wzrokiem Zawieruchę, zobaczył, że Pierre kiwa w drzwiach na Louisa, rzucił ostatnie spojrzenie bryle złota na stole i powziął decyzję.

— Nie próbuj nawet uciec! — zawołał przez ramię. — Zresztą pożyczę sobie twoje psy.

— Co to? Jeszcze jedna przeklęta gonitwa? — zaskrzeczał kłótliwie ślepy traper, gdy krzyki mężczyzn, skowyt psów i hurgot sanek wtargnęły do opuszczonej izby.

— Aha — odparła Lucy. — W życiu me widziałam takiego złota. Niech no dziadek pomaca.

Wetknęła mu brylę w rękę. Ale nie okazał większego zainteresowania.

— Był to kraj futer — narzekał — zanim ci przekłęci górnicy tu przyszli i wypłoszyli zwierzyne.

Drzwi się otwarły, wszedł Breck.

— No, to w całym obozie zostało tylko nas czworo — powiedział. — Do Rzeki Stewarta jest czterdzieści mil dróżką, którą sam torowałem. Nawet ten, co się najszybciej uwinie, nie wróci wcześniej jak za pięć, sześć dni. Ale ty, Zawierucha, nie zwlekaj i wiedz natychmiast.

Myśliwskim nożem przeciął więzy Kita i spojrzał na kobietę.

— Śmiem sądzić, że pani nie ma nic przeciw temu? — zapytał z wyszukaną grzecznością.

— Dobra jest, na mnie może się pan nie oglądać — odparła Lucy. — Jeśli nie nadaję się do tego, by go powiesić, to nie mogę być i stróżem.

Zawierucha wstał i natarł sobie przeguby, żeby pobudzić krążenie krwi zatamowanej przez więzy.

— Bagaż już ci przygotowałem — powiedział Breck. — Prowiant na dziesięć dni, koce, zapalki, tytoń, siekiera i strzelba.

— Uciekaj — zachęcała go Lucy. — Leć, obcy człowieku, aż się za tobą zakurzy. Z Bożą pomocą goń, co sił w nogach.

— Muszę się dobrze najeść, zanim stąd odejdę. A pomaszuję nie w górę McQuestion, tylko w dół. Mam zamiar poszukać na tamtym brzegu człowieka, który naprawdę jest zabójcą.

— A ja bym ci radził zmykać z biegiem rzeki Stewarta i Jukonu — perswadował Breck. — Ta banda wróci tu rozjuszona.

Zawierucha śmiał się i potrząsał głową.

— Nie mogę uciec z tych stron, Breck. Mam tu coś do zrobienia. Znalazłem jezioro Niespodzianka. Właśnie stamtąd pochodzi moje złoto. A poza tym zabrali moje psy, muszę poczekać, żeby mi je oddali. Wiem, czego chcę. Na drugim brzegu ktoś się ukrywał naprawdę.

W pół godziny później Zawierucha siedział przed wielkim talerzem z pieczenią łosiową i właśnie podnosił do ust garnek pełen kawy, gdy nagle zerwał się z krzesła, bo usłyszał jakieś podejrżane dźwięki. Lucy otworzyła drzwi na oścież.

— Jak się masz, Spike! Jak się masz, Medy! — witała dwóch okrytych szronem mężczyzn, pochylonych nad jakimś ciężarem na sankach.

— Właśnie wracamy z Górnego Obozu — rzekł jeden z nich, gdy zataczając się, weszli do izby i wnieśli z największą ostrożnością przedmiot owinięty w futro. — To znaleźliśmy po drodze. Zdaje się, że ma dość.

— Połóżcie go na tej ławce — powiedziała Lucy. Pochyliła się i ściągnęła futro, odkrywając twarz, która składała się głównie z wielkich, wybałuszonych czarnych oczu i skóry, ciemnej, przeżartej przez mróz, ściśle przylegającej do kości.

— To przecież Alonzo! — zawołała Lucy. — Zagłodzony biedaczysko!

— Człowiek z drugiego brzegu rzeki — półgłosem powiedział do Brecka Zawierucha.

— Złapaliśmy go, jak łupił schowek, który pewnie zrobił sobie niedawno Harding — opowiadał jeden z przybyłych.

— Jadł surową mąkę i zamrożony bekon, kwiląc przy tym i piszcząc jak jastrząb. Spójrzcie na niego. Jest zagłodzony i zmarł na kość. Tylko patrzeć, jak odpłynie.

W pół godziny później, gdy już nakryto futrem twarz zeszywniałej postaci na ławce, Zawierucha zwrócił się do Lucy.

— Jeśli pani szanowna pozwoli, to opchnąłbym jeszcze jedną porcję tej pieczeni. Poproszę ukroić gruby kawałek, tylko żeby nie był taki wysmażony. Jestem prawdziwym mięsożercą.

GONITWA O NUMER TRZECI

— Ho, ho, ho! Ale się chłopak wystrychnął!

Krótki z udanym niezadowolaniem oglądał współnika, a Zawierucha na próżno starał się wygładzić zmięte spodnie, które właśnie włożył, i bardzo go to irytowało.

— Jak jej na imię?

— Nie ma żadnej jej, mój drogi. Jestem zaproszony na przyjęcie do pułkownika Bowie, jeśli cię to interesuje. Zazdrościsz mi, że spędzę wieczór w najlepszym towarzystwie, a ciebie nie zaprosili.

— Na pewno wszyscy przyjdą w mokasynach.

— Ależ Krótki, tam będą damy. Zasiądę do kolacji z prawdziwymi paniami, pułkownikową Bowie i jeszcze paroma innymi. Mówił mi o tym pułkownik.

— No to co, mokasyny apetytu im nie odbiorą. Ciekaw jestem, czego pułkownik od ciebie chce.

— Nie wiem. Może słyszał, że odnalazłem jezioro Niespodzianka. Na osuszenie jeziora trzeba ciężkich pieniędzy, a Guggenheimowie chętnie zainwestowaliby swe kapitały. Jak przystało na doskonale opłacanego eksperta i przedstawiciela wielkiej firmy M. Guggenheim i Synowie, pułkownik Bowie mieszkał w jednym z najbardziej okazałych domów w Dawson. Zawierucha spotkał tam najwyższe sfery dawsońskiego towarzystwa, nie tylko z gruba ciosanych milionerów, ale i samą śmietankę górniczego miasta, którego ludność pochodziła ze wszystkich stron świata. Byli tam między innymi Warburton Jones, badacz Alaski i pisarz, kapitan Consadine z policji konnej, Haskeli, komisarz pokładów złota Terytorium Północno-Zachodniego i baron von Schroder, ulubieniec cesarza, pojedyńkowiec międzynarodowej sławy. Wśród gości znalazła się Joy Gastell, olśniewająco piękna w wieczorowej sukni, ta sama Joy, którą dotąd spotykał tylko na szlaku, odzianą w mokasyny i futra. Przy stole posadzono ich obok siebie.

— Nawet mi się nie śniło, że w Klondike może istnieć taki wschodni przepych — wyznał Kit. — Proszę spojrzeć na von Schrodera. Jest w prawdziwym smokingu, a Consadine ma nakrochmaloną koszulę. Widziałem jednak, że jest w mokasynach. A jak się pani podoba mój ekwipunek?

Krygował się przy tym, czekając na jej pochwałę.

— Wygląda, jakby pan przytył od czasu, gdy przeszedł pan Przełęcz — powiedziała, śmiejąc się.

— Zimno, zimno, proszę zgadywać dalej.

— Nie pański garnitur.

— Zgadła pani. Kupiłem od pewnego urzędnika z Alaskańskiego Towarzystwa Handlowego.

— To wstyd, jakie cherlaki są ci urzędnicy — oświadczyła ze współczuciem. — Ale nie powiedział pan, co pan myśli o moim ekwipunku.

— Zbyt długo już żyję na szlaku. Zupełnie zapomniałem, że kobiety mają ramiona i plecy. Jutro rano obudzę się i powiem, jak mój przyjaciel Krótki, że to był tylko sen. Ostatni raz widziałem panią w Squaw Creek...

— Byłam wtedy tylko *squaw* — wtrąciła Joy.

— Nie to miałem na myśli. Przypomniało mi się, że w Squaw Creek odkryłem, że pani ma nogi.

— A ja nigdy nie zapomnę, że pan mi je uratował. Od tego czasu czekałam tylko okazji, by panu podziękować.

— I poprosiła pani pułkownika, by mnie zaprosił.

— Nie, panią Bowie. Właśnie nadarzyła się okazja. Wszyscy zajęci są rozmową. Proszę nadstawić ucha. Zna pan Mono Creek?

— Tak.

— Odkryto tam bogate złoża. Wartość każdej działki ocenia się, lekko licząc, na milion dolarów. Działki zostały wytyczone niedawno.

— Pamiętam bieg do Mono Creek.

— Właśnie. Cały potok i wszystkie jego dopływy wytyczali aż po horyzont. A jednak działka numer trzeci poniżej miejsca odkrycia na Mono Creek do tej chwili nie została zarejestrowana. Potok jest tak daleko od Dawson, że komisarz pozwolił na rejestrację w ciągu sześćdziesięciu dni od wytyczenia. Zgłoszono już wszystkie z wyjątkiem działki numer trzeci. Zajął ją Cyrus Johnson. I na tym się skończyło. Johnson przepadł bez wieści. Za sześć dni mija termin rejestracji. Wówczas ten, kto zatknie żerdki, przybędzie pierwszy do Dawsori i zarejestruje działkę, zostanie jej właścicielem.

— Milion dolarów — szepnął Zawierucha.

— Gilchrist, który ma parcelę numer czwarty, z jednej patelni żwiru wyplukał złota na sześćset dolarów. Wypalił tylko jedną dziurę. A sąsiednia działka jest jeszcze bogatsza. Dobrze wiem.

— Ale dlaczego ludzie o tym nie wiedzą? — z niedowierzaniem zapytał Zawierucha.

— Pomału się dowiadują. Długo trzymano to w tajemnicy, dopiero teraz wiadomość zaczyna przeciekać. Za dwadzieścia cztery godziny dobre psie zaprzęgi będą na wagę złota. Powinien pan zaraz po kolacji wymknąć się jak najdyskretniej.

— Nie... eee... nie rozumiem.

— Dziś w nocy musi pan czym prędzej postarać się o psie zaprzęgi. Wiem o dwóch. Jeden zaprzęg ma Hanson. Za siedem wielkich psów z Zatoki Hudsona żąda po czterysta dolarów. Dzisiaj jest to najwyższa cena, ale jutro psy będą znacznie droższe. Sitka Charley za osiem malemutów chce trzy tysiące pięćset. Jutro będzie się śmiał, gdy mu zaproponuję pięć tysięcy dolarów. Poza tym ma pan własny zaprzęg. Musi pan kupić jeszcze kilka. I to dzisiejszej nocy. Proszę się postarać o najlepsze zaprzęgi. Tę gonitwę wygraają psy i ludzie. Trasa ma sto dziesięć mil, powinien pan zmieniać zaprzęgi, ile razy się da.

— Chce pani koniecznie, żebym spróbował? A nie uważa pani, że to czysty hazard?

— To jest sportowa impreza, chyba się pan orientuje. Gonitwa o milion, w której pańskimi rywalami będzie kilku najlepszych poganiaczy psów z całego kraju. Jeszcze się nie zapisali, ale jutro do wieczora się zgłoszą, a wtedy tylko najbogatsi będą sobie mogli pozwolić na kupno psów. Wielki Olaf jest w Dawson. W zeszłym miesiącu przybył tu z Circle City. Jeśli weźmie udział w tej gonitwie, będzie najgroźniejszym pańskim przeciwnikiem. A drugim będzie Arizona Bill, który od lat jest zawodowym przewoźnikiem i poczytliwym.

— Chciałaby pani, żebym wziął udział w gonitwie jako fuks?

— Otóż to. Mimo wszystko uważają tu pana wciąż za *cheechako*. Nie przeżył pan jeszcze czterech pór roku w Klondike. Nikt nie zwróci na pana uwagi do chwili, gdy się pan pierwszy pokaże na finiszu. Proszę nie zapominać, że jeśli pan nie zdobędzie działki nad Mono Creek, nigdy nie daruję sobie figla, jaki panu spletałam po drodze do Squaw Creek. Pan jeden ma prawo pobić w tym wyścigu starych kolonistów.

— Kto? — zapytał przez stół kapitan Consadine.

— Wielki Olaf — odparła Joy. — Właśnie mówiłam panu Bellew, jaki wytrawny z niego podróżnik.

— Święta racja! — zagrział głos kapitana. — Wielki Olaf jest najlepszym podróżnikiem w kraju Jukonu. W gonitwie po śniegu i lodzie nawet diabła rogatego zostawi w tyle, mogę się o to założyć. W roku 1895 przywiózł rządowe depesze. Dokonał tego, kiedy dwóch kurierów zamarzyło na Chilkoot, a trzeci utonął pod lodem w Trzydziestej Mili.

Do Mono Creek Zawierucha jechał wolno, aby nie zmęczyć psów przed wielkim wyścigiem. Po drodze poznał dobrze każdą milę i rozstawił psie zaprzęgi. Do wyścigu stanęło tylu zawodników, że sto dziesięć mil trasy zamieniło się niemal w jedną wielką wieś. Wzdłuż całego szlaku rozbito obozy i umieszczono w nich rozstawne zaprzęgi. Von Schroder, który brał udział w gonitwie tylko dla sportu, miał jedenaście zaprzęgów, rozstawionych co dziesięć mil. Arizona Bill musiał się zadowolić ośmioma zmianami. Wielki Olaf miał ich siedem. To samo Zawierucha. W gonitwie brało udział ponad czterdziestu zawodników. Nie co dzień, nawet na złotej Północy, nagrodą zwycięzcy w psiej gonitwie jest milion dolarów. Cały kraj został ogołocony z psów. Rozpętała się spekulacja, która doprowadziła do tego, że ceny psów wzrosły dwukrotnie, a nawet czterokrotnie.

Numer trzeci poniżej miejsca odkrycia leżał w odległości dziesięciu mil od ujścia Mono Creek. Dalsze sto mil trzeba było przejechać zamarzniętym łożyskiem Jukonu. Na samej działce rozbito pięćdziesiąt namiotów i umieszczono ponad trzysta psów. Stały tam jeszcze stare żerdki, które osmalił i zabazgrał napisami dwa miesiące temu Cyrus Johnson. Wszyscy zawodnicy wiele razy obchodzili granice działki, bo wyścigi psich zaprzęgów miał poprzedzić bieg z przeszkodami. Każdy uczestnik gonitwy musiał wytyczyć działkę, to znaczy wbić żerdki środkowe oraz cztery narożne i dwukrotnie przekroczyć potok. Dopiero wtedy mógł ruszyć do Dawson psim zaprzęgiem.

Co więcej, nikt nie mógł uprzedzić swych rywali. Działki nie wolno było zająć przed godziną dwunastą w nocy z piątku na sobotę. Dopiero gdy północ uderzy, można będzie wbijać żerdki. Tak zarządził urzędujący w Dawson komisarz pokładów złota, a kapitan Consadine posłał szwadron policji konnej, aby stanęła na straży tego zarządzenia. Powstał spór, czy obowiązuje czas słoneczny, czy policyjny, ale Consadine oświadczył, że miarodajny jest czas policyjny, a ściślej mówiąc, zegarek porucznika Pollocka.

Szlak na Mono Creek biegł łożyskiem potoku i miał niecałe dwie stopy szerokości. Był to wąski kanał między dwiema ścianami zasp śnieżnych, nagromadzonych od wielu miesięcy. Nasuwało się pytanie, w jaki sposób czterdzieści parę sanek, zaprzężonych w trzysta psów, wystartuje do biegu przez tak wąski przesmyk.

— Fiu, fiu! — gwizdnął Krótki. — Zanosi się na galimatias, jakiego świat nie widział. Wiesz co, nie widzę innego wyjścia, tylko trzeba się będzie na siłę przeorać przez ten bigos. Gdyby cały potok pokryty był gładkim lodem, nie zmieściłoby się na nim obok siebie dwadzieścia zaprzęgów. Już teraz wyraźnie widzę, jak się tu zakotłuje, nim pojedą jeden za drugim. Więc jeśli ci coś zawali drogę, mnie zostaw ręczną robotę.

Zawierucha wzruszył ramionami i zaśmiał się sucho.

— Nie, tobie nie wolno! — krzyknął współnik. — Cokolwiek się zdarzy, ręce trzymaj przy sobie. Nie dasz rady poprowadzić psów sto mil z rozbitą kostką.

Zawierucha pokiwał głową.

— Masz rację, Krótki. Nie wolno mi ryzykować.

— Pamiętaj, że przez pierwsze dziesięć mil cała robota należy do mnie, a ty niczym się nie będziesz przejmował. Przepchnę cię do Jukonu. Reszta to twoja rzecz i psów. Schroder postawił swój pierwszy zaprzęg ćwierć mili od działki i ma go rozpoznać po zielonej latarni. A my użyjemy czerwonego światła.

Dzień był jasny i zimny, ale pod wieczór oblicze nieba się zachmurzyło. Noc nadeszła ciepła i ciemna. Zanosiło się na śnieg. Termometr wskazywał piętnaście stopni poniżej zera, było więc, jak na zimę w Klondike, bardzo ciepło.

Parę minut przed północą Zawierucha zostawił Krótkiego z psami na szlaku w odległości pięciuset jardów od startu, a sam przyłączył się do zawodników na działce numer trzeci. Było ich czterdziestu pięciu. Czekali na start gonitwy o milion dolarów, które Cyrus Johnson zostawił w zamrzniętym żwirze. Każdy z nich przyniósł sześć żerde i ciężki, drewniany młot.

Porucznik Pollock, w ogromnej niedźwiedziej szubie, przy świetle ogniska spoglądał na zegarek. Brakowało minuty do północy.

— Gotowi! — zawołał porucznik, podnosząc rewolwer w prawej ręce i patrząc na sekundnik.

Czterdzieści pięć kapturów opadło w tył, z czterdziestu pięciu par rąk zdjęto rękawice, czterdzieści pięć par mokasynów wparło się mocno w ubity śnieg. Równocześnie czterdzieści pięć żerde zostało wbitych w śnieg i tyleż młotów podniosło się w górę.

Huknął strzał. Prawa Cyrusa Johnsona do miliona dolarów wygasły, młoty spadły na żerdki.

Zawierucha wbił żerdkę i już biegł wśród pierwszej dwunastki. Na rogach rozpalono ogniska. Przy każdym z nich stał policjant z listą w ręku i sprawdzał nazwiska zawodników. Każdy musiał wywołać swe nazwisko i pokazać twarz. Chodziło o to, by nikt nie przysłał tu zastępcy, a sam za wcześnie nie ruszył w drogę.

Na pierwszym rogu koło żerdki Zawieruchy wbił swoją von Schroder. Dwa młoty uderzyły równocześnie. Kiedy wbijali żerdki, nadbiegli dalsi zawodnicy i zaczęli się rozpychać łokciami. Przeciskając się przez zwarty tłum, Zawierucha krzyknął swe nazwisko policjantowi. W tej chwili ujrzał, że jakiś zawodnik wpadł na barona, który jak długi rozciągnął się w śnieg. Nie było na co czekać. Zawierucha miał przed sobą jeszcze innych. W słabnącym świetle ogniska zarysowały się przed nim potężne bary Wielkiego Olafa. W południowozachodnim rogu Kit i Olaf razem wbijali żerdki.

Ów wstępny bieg z przeszkodami nie był wcale zadaniem łatwym. Granica działki miała prawie milę długości i biegła przez wyboisty teren przysypany śniegiem. Wszyscy wokół Kita potykali się i przewracali, a on sam też parę razy runął w przód i na kolana. W pewnej chwili Wielki Olaf upadł przed nim tak nagle, że Kit zwałił się na niego. Górną żerdkę środkową trzeba było wbić na skraju wysokiego brzegu, potem zawodnicy zbiegali w dół, przecinali zamrznięte koryto potoku i wspinali się na drugi brzeg. Gdy Zawierucha gramolił się w górę, czyjaś ręka złapała go za nogę w kostce i gwałtownie ściągnęła w tył. W mdłym świetle dalekich ogni nie sposób było zobaczyć, kto się przyczepił. Arizona Bill, którego spotkało to samo, zerwał się i huknął napastnika pięścią w głowę. Zawierucha ujrzał to i usłyszał w chwili, gdy sam się podnosił, nim jednak zdążył po raz wtóry skoczyć na brzeg, czyjaś pięść ogłuszyła go i zwałała w śnieg. Wstał, zatoczył się, ujrzał napastnika. Już miał mu dać hakiem w szczękę, lecz w ostatniej chwili pohamował się, bo przypomniał sobie przestrożę Krótkiego. I znów się przewrócił, uderzony poniżej kolan przez czyjeś ciało, które mu się zwałyło pod nogi.

Był to tylko przedsmak tego, co się będzie działo, gdy zawodnicy dopadną sanek. Pięli się hurmą na brzeg, a niecierpliwi współzawodnicy całymi kłębami ściągali ich w tył. Posypały się ciosy. Komu tylko w zadyszanej piersi starczyło tchu, ten kłął siarczyście. Zawieruchę znów przewrócono i deptano. Leżąc, po omacku szukał zgubionych żerde. Wreszcie udało mu się wypełznąć z kłębowiska ciała i dotrzeć do brzegu nieco dalej. Inni poszli jego śladem, ale na szczęście znaczna część zawodników już go zdążyła wyprzedzić i biegła teraz ku północno-zachodniemu rogowi działki.

Tuż przed czwartym rogiem Zawierucha potknął się, runął jak długi i zgubił żerdkę. Pięć minut macał w ciemnościach, nim wreszcie ją odnalazł. Przez cały ten czas mijali go zdyszani zawodnicy. Dopiero między ostatnim rogiem a łożyskiem potoku zaczął wyprzedzać tych, którym milowy bieg dobrze już dał się we znaki. Na starcie rozpętało się piekło. Z tuzin przewróconych sanek piętrzyło się w jednym miejscu, sto psów zwarło się w walce. Ludzie bili się w tym kotle, odciągali na bok splątane psy, rozpędzali je, tłukąc pałkami.

Zawierucha wyminął kocioł, zeskoczył z brzegu na szlak wyjeżdżony przez sanki i przyspieszył kroku. Na udeptanych przystankach obok wąskiego szlaku sanki i ludzie czekali na zawodników. Zawierucha usłyszał z tyłu skowyt i tupot psich nóg. W ostatniej chwili uskoczył w głęboki śnieg. Przemknęły sanki. Ujrzał kłęczącego na nich mężczyznę, który krzyczał jak opętany. Ledwie minawszy Zawieruchę, sanki nagle stanęły i rozległ się zgiełk walki: podniecone psy zaprzęgu oczekującego przy drodze, wyrwały się i rzuciły na przejeżdżający zaprzęg.

Zawierucha, brnąc w śniegu, wyminął przeszkodę. Ujrzał zieloną latarnię von Schrodera i tuż za nią czerwone światło, oznaczające jego własny zaprzęg. Dwóch ludzi z pałkami w rękę pilnowało psów von Schrodera, odgradzając je od szlaku.

— Chodź, Zawierucha! Chodźże! — usłyszał zaniepokojony głos Krótkiego.

— Idę! — wykrztusił zdyszany głosem.

W czerwonym świetle zobaczył zryty i zdeptany śnieg, a gdy usłyszał, jak sapie Krótki, zrozumiał, że stoczono tu walkę. Podszedł chwiejnym krokiem i zwałił się na sanki. W tej samej chwili Krótki strzelił z bicia i ryknął:

— Marsz, szatany, marsz!

Psy szarpnęły uprząż, Sanie skoczyły naprzód. Były to duże zwierzęta, psy znad Zatoki Hudsonskiej, nagrodzony zaprzęg Hansona. Zawierucha wybrał ten zaprzęg na pierwszy etap, obejmujący dziesięć mil łożyskiem Mono Creek, ciężki kawałek drogi przez dolinę u Ujścia Mono Creek i pierwsze dziesięć mil po Jukonie.

— Ilu przede mną? — zapytał.

— Zamknij gębę i oszczędzaj oddech! — odparł Krótki.

— Hej! Psie syny! Lećcie! Lećcie na złamanie karku!

Biegł za sankami, trzymając się krótkiej linki. Zawierucha nie widział go, tak samo jak nie widział sanek, na których leżał wyciągnięty. Ognie zostały za nimi. Psy co sił w nogach rwały naprzód wśród nocy czarnej jak smoła.

Zawierucha poczuł, że sanie uniosły się na jednej płozie, mijając niewidoczny zakręt. Z przodu słyhać było warczenie i przekleństwa. Siedem wielkich psów bojowych Zawieruchy z całym rozpędem wpakowało się w kocioł. Były to na pół oswojone wilki, a podniecenie owej nocy nad Mono Creek każdego bojowego psa doprowadzało do szaleństwa. Psy z Klondike, którymi kieruje się bez lejc, można zatrzymać tylko głosem, nie sposób więc było opanować walczących bestii, skłębionych w ciasnym przesmyku. Z tyłu wpadały jedne sanki za drugimi i powiększały zamęt. Na tych, którzy już prawie wyciągnęli swoje zaprzęgi, sypała się Wciąż lawina psów, a każde zwierzę było dobrze odkarmione, wypoczęte i rwało się do bitki.

— Trzeba tłuc, wyciągać psy i przebijać się naprzód! — ryknął Krótki współnikowi do ucha. — Uważaj na kostki! Wyciągaj psy, ja będę prał!

Co się działo przez następne pół godziny, tego Zawierucha nigdy nie umiał sobie dokładnie przypomnieć. Wreszcie wylazł zmordowany, z trudem łapiąc oddech. Czuł, że dostał pięścią w szczękę, ramię ucierpiało od uderzenia pałką, gorąca krew ciekła po nodze rozdartej przez psie kły, obydwie rękawy szuby poszarpane były na strzępy. Jak we śnie pomagał Krótkiemu poprawić uprząż na psach. Za nimi toczyła się dalej zażarta walka. Odcięli psa, który już zdychał, i w ciemnościach po omacku naprawili pozrywaną uprząż.

— Teraz kładź się i odsapnij — nakazał Krótki.

Niezmożone psy pognały wśród ciemności. Z Mono Creek skręciły na drugi objazd Ujścia potoku, potem dopadły Jukonu. W miejscu, gdzie się zaczynał główny szlak, ktoś rozpałił ognisko. Tu Krótki rozstai się z Zawieruchą. Sanki pomknęły za galopującymi psami, a Krótki stanął w świetle ogniska, zatoczył się, okrzykiem po raz ostatni dodał ducha przyjacielowi i bezwładnie osunął się w śnieg. Jedno oko miał podbite i zamknięte, kostki palców porozbijane, a z rozdartego kłami ramienia tryskał strumień krwi.

— Ilu przede mną? — spytał Zawierucha, kiedy zostawił na pierwszym etapie zziąbane psy znad Zatoki Hudsona i skoczył na czekające sanki.

— Naliczyłem jedenastu! — zawołał za nim człowiek, który pilnował psów.

Zawierucha gnał dalej.

Do najbliższego postoju, przy ujściu Rzeki Białej, było piętnaście mil. Następne dwadzieścia pięć mil, od Rzeki Białej do Sześćdziesiątej Mili, Zawierucha ze względu na zatory lodowe podzielił na dwa etapy. Ustawił tam swoje najcięższe i najmocniejsze zaprzęgi. Leżał na brzuchu, wyciągnięty jak struna i trzymał się obu rękami sanek. Ilekroć psy nieco zwolniły, klękał i trzymając się jedną ręką, popędzał je krzykiem, okładając batem. Był to jego najslabszy zaprzęg, a jednak, zanim dotarł do Rzeki Białej, minął dwóch zawodników. Przy ujściu tej rzeki lodowy zator stworzył w czasie zamarzania barierę, dzięki której Jukon na przestrzeni pół mili poniżej zmienił się w taflę lodu. Na tej gładkiej trasie zawodnicy mogli zmieniać zaprzęgi w biegu.

Minawszy zator, Zawierucha gnał po gładkiej tafli i wołał na całe gardło:

— Billy! Billy!

Billy usłyszał i odpowiedział. W świetle licznych ognisk płonących na lodzie Zawierucha ujrzał sanki, które wyskoczyły z boku i pędziły za nim. Świeże psy bez trudu dogoniły zaprzęg Zawieruchy. Kiedy sanki znalazły się obok siebie, Zawierucha skoczył, a Billy zsunął się, ustępując mu miejsca.

— Gdzie Wielki Olaf? — zawołał Zawierucha.

— Prowadzi! — odkrzyknął Billy.

Znów ognie zostały w tyle i Zawierucha leciał dalej w czarną noc.

Gdy dojechał do miejsca, w którym droga wiodła labiryntem zjeżonych lodowych brył, zeskokczył między sanki a psy i zaprzęgał się do linki. Na tym odcinku minął trzy zaprzęgi, które utknęły w drodze. Słyszał, jak zawodnicy odcinali psy i naprawiali uprząż. Pośród zatorów na drugim krótkim etapie przed Sześćdziesiątą Milą przegonił jeszcze dwoje sanek. Aby zaś dać mu pojęcie, co się przytrafiło tamtym, jeden z jego psów zwichnął łopatkę i gdy nie mógł dotrzymać kroku zaprzęgowi, inne psy zaczęły wlec go w uprzęży. Rozwścieczeni towarzysze ofiary szarpali ją kłami i Zawierucha musiał poskramiać ich ręką i batem. Ledwie odciął ranne zwierzę, usłyszał z tyłu skowyt psów i znajomy głos. Był to von Schröder. Zawierucha krzyknął: „Uwaga!” Baron rzucił psom komendę, sam napał na drążek sterowy i minął Zawieruchę w odległości paru stóp. Mrok był jednakże tak gęsty, że Zawierucha słyszał, lecz nic nie widział.

Na gładkiej tafli lodu koło factorii w Sześćdziesiątej Mili Zawierucha dogonił jeszcze dwoje sanek. Wszyscy trzej zmienili przed chwilą zaprzęgi i przez pięć minut pędzili obok siebie, klęcząc i głosem oraz batem popędzając oszalałe psy. Zawierucha zapoznał się dokładnie z tym odcinkiem trasy i teraz dostrzegł wysoką sosnę, która zamajaczyła na brzegu w świetle licznych ognisk. Poniżej tej sosny było nie tylko ciemno, lecz — jak to Zawierucha zawczasu spenetrował — urywała się nagle gładka powierzchnia i szlak zwężał się do szerokości sanek. Wychylił się więc, chwycił linkę i przyciągnął sanki do naręcznego psa. Potem chwycił go za tylne nogi i przewrócił. Wściekle warczące zwierzę chciało go złapać za rękę, ale pozostałe psy pociągnęły je za sobą. Psie ciało spełniło skutecznie rolę hamulca. Dwa zaprzęgi wysunęły się naprzód i znikły w ciemnościach.

Dał się słyszeć trzask i zgiełk zderzenia. Zawierucha puścił naręcznego, skoczył do drażka i skierował zaprzęg na prawo, w sypki śnieg, w którym psy ugrzęzły po szyję. Był to morderczy wysiłek, ale w ten sposób Zawierucha minął splątane zaprzęgi i znów wydostał się na ubity szlak.

Od Sześćdziesiątej Mili Zawierucha miał jeden z dwóch najłabszych swych zaprzęgów, wobec czego, choć droga była dobra, ograniczył odcinek do piętnastu mil. Do Dawson i urzędu rejestracji miały go zawieźć dwa następne zaprzęgi. Na te ostatnie dwa etapy wybrał najlepsze psy. Sitka Charley we własnej osobie czekał z ośmioma malamutami, które miały przebiec odcinek dwudziestomilowy, a na ostatni etap, piętnastomilowy, przeznaczył własny zaprzęg, który miał przez całą zimę, i z którym odbył wędrowkę w poszukiwaniu jeziora Niespodzianka.

Dwaj zawodnicy, których zostawił ze splątanymi zaprzęgami w Sześćdziesiątej Mili, już go nie dogonili, ale i on nie zdołał dopędzić trójki jadącej na czele biegu. Psiska, choć nie dostawało im sił żywotnych i szybkości, miały dobre chęci i nawet bez popędzania robiły, co mogły. Zawierusze nie pozostało nic innego, jak leżeć i trzymać się dobrze sanek. Co jakiś czas wynurzał się z ciemności, i w blasku płonącego ognia migwały mu sylwetki mężczyzn w futrach przy czekających w zaprzęgu psach, po czym znów tonął w mroku. Milę za milą gnał, słysząc tylko chrzęst i zgrzyt płóz. Niemal automatycznie trzymał się sanek, kiedy podskakiwały na wybojach lub przechylały się i zarzucały na zakrętach.

Szarzał świt, gdy zmienił zmęczone psy na osiem świeżych malamutów Sitki Charleya. Lżejsze od psów z Zatoki Hudsona, były szybsze i biegły z niestrudzoną lekkością prawdziwych wilków. Sitka Charley krzyknął mu, w jakim porządku jedzie czołówka: prowadzi Wielki Olaf, za nim Arizona Bill, a ostatni jest von Schroder — trzech najlepsi poganiacze w kraju.

Gdy zrobiło się całkiem jasno, Zawierucha ujrzał przed sobą sanki. W pół godziny później jego przodownik galopował tuż za nimi. Dopiero, gdy zawodnik się odwrócił, Zawierucha go poznał. Był to Arizona Bill. Widocznie von Schroder wysunął się na drugie miejsce. Ubity szlak, wiodący wśród miękkiego śniegu, był tak wąski, że przez pół godziny Zawierucha nie mógł wyminąć Billa. Gdy wreszcie za lodowym zaturem wjechali na szeroką, gładką trasę, Zawierucha ukląkł. Wywijając batem i popędzając psy krzykiem, zrównał się z Arizoną Billem i wysunął się naprzód.

Bill nie chciał się poddać, ale pomału zostawał w tyle, i gdy pokazała się ostatnia stacja, odległość między nimi wynosiła już całe pół mili. Zawierucha ujrzał teraz przed sobą Wielkiego Olafa i von Schrödera, którzy mocno do siebie przyłgnęli. Ukląkł i poderwał zmordowane psy do cwału. Po chwili jechał tuż za sankami von Schrodera. Troje sanek wypadło na gładką przestrzeń poniżej zatoru, gdzie czekało mnóstwo ludzi i psów. Do Dawson było piętnaście mil.

Von Schroder, który rozstawił zaprzęgi co dziesięć mil, do następnej zmiany miał ich jeszcze tylko pięć. Dlatego gnał wyciągniętym galopem. Wielki Olaf i Zawierucha zmienili zaprzęgi w biegu. Wypoczęte psy natychmiast nadrobiły to, co zyskał przez ten czas baron. Wielki Olaf minął von Schrodera pierwszy, a za nim na wąski szlak wjechał Zawierucha. Schrodera Zawierucha już się nie bał, ale przed sobą miał najlepszego poganiacza psów w całym kraju. Zdawało się, że nie sposób go minąć. Raz po raz przodownik Zawieruchy dopadał sanek Olafa i za każdym razem Olaf mu umykał. W końcu Zawierucha poprzestał na tym, że rozpaczliwie trzymał się swego poprzednika. Gonitwa nie była przegrana, póki jeden z nich jej nie wygrał, a na ostatnich piętnastu milach może się zdarzyć wiele różnych rzeczy. I rzeczywiście, trzy mile przed Dawson coś się stało. Zdumiony Zawierucha ujrzał, że Wielki Olaf kłęka, przekleństwami i batem dobywając ze zwierząt ostatnią uncję energii. Taki wysiłek należało podjąć na ostatnich stu jardach, a nie trzy mile przed finiszem. Choć było to zwyczajne zarzynanie psów, Zawierucha poszedł za przykładem Wielkiego Olafa. Jego

własny zaprzęg był znakomity. Żadne psy nad Jukonem nie pracowały tej zimy tak ciężko, dlatego zaprzęg Zawieruchy nie miał równego sobie.

Przedostali się przez nieduży zator i znów mknęli po gładkiej powierzchni. Wielki Olaf wysunął się ledwie pięćdziesiąt stóp naprzód. Nagle z boku wyskoczyły jakieś sanki, zmierzając w stronę zaprzęgu Olafa. Zawierucha zrozumiał, czemu jego rywal podjął tak morderczy wysiłek: chciał zyskać dystans na zmianę zaprzęgu. Wypoczęty zaprzęg, czekający tak blisko mety, był dobrze zatajony przez Wielkiego Olafa niespodzianką. Zawierucha podjął rozpaczliwą próbę wyprzedzenia Olafa w czasie zmiany zaprzęgu. Udało mu się pokryć pięćdziesiąt stóp, dzielących go od sanek rywala. Krzykiem i bitem wymógł na psach tyle, że wreszcie jego przodownik galopował pierś w pierś z naręcznym Olafa. Po drugiej stronie sunął świeży zaprzęg. Przy takiej szybkości Wielki Olaf bał się zaryzykować karkołomny skok. Gdyby chybił i upadł, Zawierucha wyrwałby się na czoło i wygrał gonitwę. Wielki Olaf spróbował umknąć i wspaniale poderwał swój zaprzęg, ale przodownik Zawieruchy cwałował dalej obok naręcznego Olafa. Przez pół mili troje sanek rwało obok siebie. Niedaleko końca gładkiej przestrzeni Wielki Olaf zaryzykował. Gdy mknące sanki zatoczyły się ku sobie, skoczył i ledwie się znalazł na nowych sankach, już klęczał i popędzał świeży zaprzęg. Droga przeszła w wąską ścieżkę. Wielki Olaf wpadł na nią o jeden jard przed Zawieruchą.

Za pokonanego można się uznać dopiero wtedy, gdy się poniosło klęskę. Wielkiemu Olafowi nie udało się umknąć. Żaden z zaprzęgów, którymi powoził tej nocy Zawierucha, nie zdołałby wytrzymać takiego morderczego tempa i dorównać wypoczętym psom — żaden, prócz tego właśnie, który miał na finiszu. Niemniej tempo było mordercze. Dlatego, gdy zaczęli okrążyć skalisty brzeg koło Klondike City, Zawierucha poczuł, że siły jego psów zaczynają się wyczerpywać. Niemal niepostrzeżenie zostawał w tyle, a Wielki Olaf zyskiwał stopę po stopie, aż zdobył około dwudziestu jardów przewagi.

Zebrani na lodzie mieszkańcy Klondike City powitali ich salwą okrzyków. Klondike wpada w tym miejscu do Jukonu, a pół mili dalej, na drugim brzegu Klondike, leży Dawson. Nagle zerwała się szalona wrzawa. Zawierucha ujrzał, że z boku gnają w jego stronę jakieś sanki. Poznał wspaniałe zwierzęta. Był to zaprzęg Joy Gastell. Powoziła nim sama Joy. Kaptur szuby z wiewiórczych skórek odrzuciła w tył, zdjęła rękawice i jedną ręką wywijając batem, a drugą trzymała się sanek.

— Skacz! — krzyknęła, gdy jej przewodnik warknął na przodownika Zawieruchy. Zawierucha skoczył i znalazł się na sankach Joy, tuż za nią. Sanki gwałtownie zarzuciły pod wpływem uderzenia, ale Joy trzymała się mocno i klęcząc, dalej wywijając batem.

— Hej! Dalej! Bierz go, bierz! — wołała, a psy skowyczały i wyły, dysząc żądzą prześcignięcia zaprzęgu Wielkiego Olafa.

Kiedy przodownik Joy dopadł sanek Olafa i zaczął doganiać jego pierwszego psa, wielki tłum na dawsońskim brzegu całkiem oszalał. A tłum był istotnie wielki, bo wszyscy porzucili narzędzia pracy nad okolicznymi potokami i przybyli zobaczyć wynik gonitwy. Nie rozstrzygnięty po stu dziesięciu milach wyścig usprawiedliwiał szalone podniecenie gawiedzi.

— Zaraz wyskoczę! — krzyknęła przez ramię Joy.

Zawierucha usiłował protestować.

— Uważaj na ostry zakręt w pół drogi do brzegu — ostrzegła.

Obydwa zaprzęgi biegły pierś w pierś w odległości sześciu stóp od siebie. Wielki Olaf batem i krzykiem zdołał jeszcze przez minutę podtrzymać swój zaprzęg, po czym przodownik by cal po calu zaczął wysuwać się naprzód.

— Uważaj! — zawołała Joy. — Zostaniesz sam. Bierz bat.

W chwili, gdy Zawierucha wyciągnął rękę po bat, usłyszeli ryk Wielkiego Olafa, ale było już za późno. Jego przodownik, wściekły, że go wyprzedzają, rzucił się do ataku i wbił kły w bok przodownika Joy. Psy z obu zaprzęgów rzuciły się sobie do gardeł. Sanki wjechały

na walczące bestie i przewróciły się. Zawierucha zerwał się i chciał podnieść Joy. Ale odepchnęła go, wołając:

— Leć!

Wielki Olaf bynajmniej nie zrezygnował i zdążył już zrobić pięćdziesiąt stóp na piechotę. Zawierucha usłuchał Joy. Gdy Wielki Olaf dotarł do brzegu, Zawierucha deptał mu po piętach.

Urząd rejestracji złota znajdował się na głównej ulicy, za piątą przecznicą. Ulica była nabita ludźmi, jakby miała się odbyć defilada wojskowa. Zawierusze niełatwo przyszło dogonić olbrzymiego przeciwnika, a gdy już tego dokonał, w żaden sposób nie mógł go wyprzedzić. Ramię w ramię biegli obaj wąskim korytarzem między zwartymi szeregami rozkrzyczonej ciżby ludzkiej. To jeden, to znów drugi konwulsyjnym podrygiem wysuwał się o cal naprzód, by natychmiast stracić uzyskaną przewagę.

Jeśli przedtem wzięli tempo zabójcze dla psów, teraz sami gotowi byli się zgodzić na śmierć. Ale ścigali się o milion dolarów. Jedynym wrażeniem, jakie dotarło do świadomości Zawieruchy w tym szaleńczym finiszu, było zdziwienie, że w Klondike jest taka masa ludzi. Nigdy przedtem nie widział ich wszystkich naraz.

Poczuł, że mimo woli zwalnia. Wielki Olaf wysunął się o cały krok naprzód. Zawierusze zdawało się, że serce mu zaraz pęknie. Nóg nie czuł już zupełnie. Wiedział, że same płyną pod nim, ale nie zdawał sobie sprawy, jak się to dzieje, jakim cudem nakazał im jeszcze przyspieszyć, zmusił, by go znów poniosły naprzód i prowadziły obok tamtego olbrzymia.

Zjawiły się przed nimi otwarte drzwi urzędu rejestracji. Obaj zrobili jeszcze jeden, daremny wysiłek. Nie mogli odczepić się od siebie. Razem skoczyli na próg, zderzyli się gwałtownie i runęli na twarze.

Usiedli na podłodze biura, zbyt wyczerpani, by mogli wstać. Wielki Olaf, zlany potem, ciężko dysząc, z trudem łapał powietrze i wymachiwał rękami, na próżno usiłując coś powiedzieć. Potem wyciągnął rękę w sposób nie nasuwający wątpliwości, o co mu chodzi. Zawierucha też wyciągnął dłoń. Podali sobie ręce.

— Remis — usłyszał Zawierucha jak we śnie głos komisarza. Głos był cichutki i bardzo daleki. — Mogę powiedzieć tylko tyle, żeście wygrali obaj. Musicie się podzielić działką. Jesteście współnikami.

— Ty przekłety *cheechako!* — powiedział Olaf, ale w jego głosie brzmiała nuta podziwu. — Nie wiem, jakeś to zrobił, ale zrobiłeś.

Na ulicy hałasował wielki tłum, w biurze było coraz ciasniej. Zawierucha i Wielki Olaf próbowali wstać, przy czym jeden podpierał drugiego. Zawierucha stanął na bardzo niepewnych nogach i zatoczył się jak pijany. Wielki Olaf chybnął się ku niemu.

— Ty! Ta dziewczyna — śliczna bestia, co?

— Śliczna bestia — zgodził się Zawierucha.

NIEDUŻY CARSON

Szkoda, że jesteś taki uparciuch — narzekał Krótki. — Po prostu strach mnie bierze na myśl o tym lodowcu. On nie nadaje się na samotną wyprawę.

Zawierucha skwitował to śmiechem i spojrzał wesoło w górę.

— Mamy już sierpień i od dwóch miesięcy dni są coraz krótsze. Ty się znasz na kwarcu, a ja nie. Ale mogę postarać się o żywność, gdy ty będziesz dalej szukał głównej żyły. Cześć. Wrócę jutro wieczór.

Odwrócił się i poszedł.

— Coś mi mówi, że to się dobrze nie skończy! — wołał za nim Krótki.

Zawierucha po raz wtóry odpowiedział mu śmiechem. Szedł niewielką doliną, co chwila ocierając pot z czoła. Deptał dojrzałe górskie maliny i kruche gałązki paproci, rosnące obok oszczędzonych przez słońce resztek lodu.

Wczesną wiosną wraz z Krótkim jeszcze raz ruszył w górę Rzeki Stewarta i zapuścił się w przedziwny labirynt okolic, w których leżało jezioro Niespodzianka. Całą wiosnę i pół lata strawili na bezowocnych wędrówkach i już mieli zawrócić, gdy nagle ujrzeli zwodnicze jezioro o dnie wyłożonym złotem — jezioro Niespodzianka, które nęciło i miało całe pokolenia poszukiwaczy złota. Rozgościwszy się w starej chacie, odkrytej przez Zawieruchę w czasie jego pierwszej wizyty złożonej jezioru, zdobyli trzy informacje. Po pierwsze — dno jeziora usłane jest gęstą warstwą grubych samorodków. Po wtóre — tam, gdzie jezioro jest płytsze, można nurkować po złoto, ale temperatura wody zagraża życiu. I wreszcie — osuszenie jeziora to ogromne zadanie, któremu nie podoła dwóch ludzi, zwłaszcza, że krótkie lato już się ma ku końcowi. Lecz wcale ich to nie zraziło.

Bryłki złota nie były oszlifowane, co by świadczyło, że przybyły z niedaleka, zaczęli więc szukać głównej żyły. Przeprawili się przez wielki lodowiec, nawisły nad południowym brzegiem Niespodzianki i weszli w splątany labirynt dolinek i kanionów, skąd wody ściekały, albo też swego czasu spłynęły do jeziora.

Dolina, którą teraz zstępował Zawierucha, stopniowo się rozszerzała jak każda normalna dolina, ale na dolnym krańcu wciskała się wąskim przesmykiem między dwie strome ściany skalne i biegła do miejsca, w którym nagle trzecia skała zagraadzała jej drogę. U podnóża tej skały, wśród rumowiska głazów, strumyk zniknął, najwidoczniej znalazłszy sobie podziemne ujście. Zawierucha wdrapał się na szczyt i zobaczył jezioro, które nie było niebieskie, lecz zielone, o soczystym odcieniu pawiego pióra, co dowodziło, że jest płytkie. Dzięki temu dałoby się prędzej osuszyć. Ze wszystkich stron otaczał je chaos gór, których szczyty i turnie, poznaczone pasmami lodu, przybrały osobliwe kształty i ułożyły się w dziwaczne grupy. Nie było w tym wszystkim odrobiny ładu i składu — po prostu geologiczny koszmar. Raczej jakiś wykoślawiony krajobraz z innej planety niż podobny do czegoś kawałek powierzchni kuli ziemskiej. W kanionach widać było mnóstwo lodowców, na ogół niedużych. Na oczach Zawieruchy jeden z nich, dosyć pokaźnych rozmiarów, wiszący nad północnym brzegiem, stoczył się do jeziora, hucząc jak grom i bryzgając wodą. Po drugiej stronie jeziora — w odległości zdawałoby się pół mili, ale Zawierucha dobrze wiedział, że mil pięciu — widać było kępę jodeł i chatę. Spojrzał raz jeszcze, chcąc sprawdzić, czy go wzrok nie myli, i zobaczył wyraźnie, że z komina chaty wije się dym. Widocznie ktoś, najmniej się tego spodziewając, odkrył jezioro Niespodzianka.

Ze szczytu skały Zawierucha zszedł na południe w usłaną kwiatami dolinkę, w której sennie brzęczały pszczoły. Dolinka ta zachowywała się, jak przystało normalnej, rozsądnej dolince, to znaczy prowadziła jak Bóg przykazał do jeziora. Pod jednym wszakże względem nie była w porządku: miała zaledwie sto jardów długości i kończyła się prostopadłą ścianą skalną, tysiąc stóp wysokości. Po tym urwisku spadał strumień, wzbijając obłoki wodnego pyłu.

Tutaj Zawierucha ujrzał drugi dym, który wychodząc z za występu skalnego, leniwie wznosił się w rozgrzanym przez słońce powietrzu.

Okrażając skałę, Zawierucha usłyszał lekkie metaliczne stukanie, w takt którego ktoś wesoło pogwizdywał. Następnie zobaczył jakiegoś niedużego człowieka, trzymającego między kolanami but podeszwą do góry i wbijającego w nią wielkie gwoździe.

— Serwus! — powitał Zawieruchę nieznajomy. — Właśnie należałoby coś przekąsić. W garnku jest kawa, znajdują się też dwa zimne placki i trochę suszonej wołowiny.

— A to świetnie — odparł Zawierucha i usiadł. — Ostatnio odżywiałem się dosyć marnie, ale tam w chacie jest masa jedzenia.

— Po drugiej stronie jeziora? Właśnie tam szedłem.

— Wygląda na to, że nad jeziorem Niespodzianka robi się ludno — uzalił się Zawierucha, dopijając reszty kawy.

— Jezioro Niespodzianka! Pan chyba żartuje? — Na twarzy nieznajomego odmalowało się zdumienie.

Zawierucha wybuchnął śmiechem.

— Tak właśnie ukazuje się ono każdemu. Widzi pan tam na północo-zachodzie te wysokie cyple skalne? Stamtąd ujrzałem jezioro po raz pierwszy. Ni stąd, ni zowąd. Nagle zobaczyłem całe jezioro. A już straciłem nadzieję, że je ujrzę.

— Ja też — przytaknął tamten. — Już zawróciłem i wczoraj wieczór spodziewałem się dotrzeć do Rzeki Stewarta, gdy nagle ukazało mi się jezioro. Jeśli to jest Niespodzianka, to gdzie się podziała Rzeką Stewarta? I gdzie byłem przez cały czas? I skąd pan się tu wziął? I jak się pan nazywa?

— Bellew. Kit Bellew.

— O! Znam pana! - Oczy mu zabłysły. Skwapliwie wyciągnął rękę. — Na pewno bym pana poznał, gdyby pan był ogolony. Na własne oczy widziałem, jak rozbił pan ruletkę pod „Jelenim Rogiem”. Nazywam się Carson, Andy Carson. Bardzo się cieszę, że pana poznałem. Choć niepozornego wzrostu, Carson wyglądał na człowieka tryskającego zdrowiem. Oczy miał czarne i żywe.

— A więc to jest jezioro Niespodzianka? — szepnął z niedowierzaniem.

— Z wszelką pewnością.

— A dno ma wysmarowane złotem?

— Na pewno. Oto próbki. — Zawierucha zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął z pół tuzina samorodków. — Tak to wygląda. Wystarczy dać nurka na dno. Nawet z zamkniętymi oczami można zagarnąć garść złota. A potem trzeba przebiec pół mili, żeby przywrócić obiegi krwi.

— A toś mnie pan uprzedził! — zaklął wesoło Carson, ale widać było, że doznał zawodu. — W każdym razie to, że jednak się tu dostałem, też jest coś warte.

— Coś warte! — zawołał Zawierucha. — Ba! Gdyby nam się tylko udało kiedyś położyć łapę na tym dnie, Rockefeller to golec w porównaniu z nami.

— Przecież to wszystko należy do pana — zaoponował Carson.

— Wcale nie, mój drogi. Trzeba panu wiedzieć, że dzieje poszukiwań złota nie znają odkrycia tak bogatych pokładów. Aby się do nich dostać, będzie dosyć kłopotów dla pana, dla mnie, mojego współnika i całej gromady naszych przyjaciół. Wszystkie potoki Bonanzy i

Eldorado razem wzięte nie są warte pół akra dna Niespodzianki. Chodzi tylko o to, żeby je osuszyć. Zajmie nam to rok lub dwa lata i pochłonie wszystkie pieniądze, jakie nam uda się zebrać, ale zadanie jest wykonalne. Zgoda?

— Jakżeby nie? Już się uważam za milionera i naprawdę boję się przeleźć przez ten wielki lodowiec. Nie mogę sobie teraz pozwolić na złamanie karku. Szkoda, że nie mam więcej tych gwoździ. Właśnie wbijałem ostatni, gdyś pan przyszedł. A co z pańskimi gwoździami? Niech no pan pokaże podeszwy.

Zawierucha wyciągnął nogę.

— Gładkie jak ślizgawka! — zawołał Carson. — Musiał pan zrobić kawał drogi. Czekaj pan, wyciągnę parę gwoździ z moich butów.

Zawierucha nie chciał o tym słyszeć.

— Mam schowaną koło lodowca linkę, jakieś czterdzieści stóp. Używałem jej ze współnikami, gdyśmy się tutaj przeprawiali. Z linką nie sztuka przeleźć.

Wspinaczka była trudna i uciążliwa. Oślepił ich blask słońca, odbijający się od lodu. Złani potem, ciężko dyszeli ze zmęczenia. Zdarzały się miejsca, w których tyle szczelin i rozpadlin zagradzało im drogę, że po godzinie niebezpiecznych wysiłków znajdowali się zaledwie sto jardów dalej.

O godzinie drugiej po południu, nad sadzawką wytopioną w lodzie przez słońce, Zawierucha zaproponował odpoczynek.

— Może byśmy spróbowali tej wołowiny? — powiedział.

— Zaciskałem ostatnio pasa i kolana się pode mną uginają. Zresztą najgorsze mamy za sobą. Jeszcze trzysta jardów i dobrniemy do skał. Tam już droga jest łatwa, jeśli nie liczyć dwóch paskudnych szczelin i trzeciej, najgorszej, która zaprowadzi nas w dół, do występu skalnego. Jest tam kruchy lodowy most, ale jakoś z Krótkim przeszliśmy po nim.

— Jestem lżejszy od pana o czterdzieści funtów — powiedział Carson w pół godziny później, gdy już zjedli. — Pójdę pierwszy.

Stali na skraju olbrzymiej i zapewne dawno powstałej rozpadliny, szerokiej na sto stóp, jeśli nie więcej. Stoki przepaści nie były strome, lecz pochyłe, skruszone ze starości. Stali przed jedynym mostem na drugą stronę, utworzonym przez olbrzymią masę śniegu, która się uleżała, stwardniała i na pół zmieniła w lód. Nie widać było ani spodu tej masy, ani tym bardziej dna rozpadliny. Most kruszył się i topniał, w każdej chwili grożąc zawaleniem. Szczerby znały miejsca, w których odpadły kawały zbitej masy, a na ich oczach urwało się od mostu z pół tony śniegu i spadło przepaść.

— Kiepsko to wygląda — oświadczył Carson, z posepną miną kiwając głową. — Może i nie wyglądałoby tak źle, gdybym nie był milionerem.

— Trzeba jednak spróbować — odparł Zawierucha. — Już widać koniec naszej przeprawy. Nie możemy przecież nocować na lodzie. A innej drogi nie ma.

Przeprowadziliśmy z Krótkim rozpoznanie terenu na odległość mili. Tylko wtedy most jakoś lepiej się trzymał.

— Pójdziemy po jednym, ja pierwszy. — Carson wziął od Zawieruchy zwiniętą linkę.

— Trzeba rozwinąć. Wezmę linkę i kilof. Niech mi pan poda rękę. Złazę.

Pomału, ostrożnie ześliznął się na most i przystanął, żeby poprawić rynsztunek przed niebezpieczną przeprawą. Na grzbiecie miał plecak. Szyję otoczył szerokim, opartym o barki zwojem liny, której jeden koniec mocno związał wokół pasa.

— Odpaliłbym z moich milionów ciężkie pieniądze oddziałowi saperów, żeby mitu wybudowali most. — Jego wesoły, zawadiacki uśmiech mówił co innego. — Zrobi się — dodał. — Jestem kot.

Niczym linoskoczek zbalansował w rękach poziomo kilof i długi kij, który mu zastępował kij alpejski. Ostrożnie wysunął jedną nogę naprzód i cofnął. Widać było, że ciężko zmagają się z sobą.

— Wolałbym być ostatnim golcem — uśmiechnął się. — Jeśli raz przestanę być milionerem, to już drugi raz za nic nie zrobię majątku. Ciężkie jest życie bogacza.

— Nie ma strachu! — zachęcał go Zawierucha. — Już raz przelazłem po tym moście. Może lepiej, żebym ja poszedł na pierwszy ogień?

— Razem ze swoimi czterdziestoma funtami dodatkowego ryzyka! — gorąco zaprotestował mały Carson. — Nic mi nie będzie. Zaczynam! — Wysunął naprzód jedną nogę, stąpnął ostrożnie i lekko, potem zrobił drugi krok. Szedł dalej zwiewnym kroczeniem i zatrzymał się dopiero, gdy przebył dwie trzecie drogi. Przystanął, żeby obejrzyć pęknięcie, przez które musiał przejść. W jego dnie zarysowała się świeża szczelina. Zawierucha przez cały czas nie spuszczał go z oka. Teraz zobaczył, że Carson spoziera na bok, zagłąda w przepaść pod mostem i zaczyna się lekko kołysać.

— Głowa do góry! — zakomenderował ostro. — Już! Naprzód!

Mały Carson usłuchał i resztę drogi przeszedł pewnym krokiem. Drugi brzeg przepaści odtajał trochę w słońcu i był śliski, ale nie stromy. Carson wdrapał się na wąski występ, odwrócił się i usiadł.

— Kolej na pana! — zawołał. — Tylko iść i nie patrzeć w dół. Mnie to złapało. Nie zwlekać. Ta zgnilizna ledwie się trzyma.

Zawierucha zbalansował kij w ręce i ruszył w drogę. Most robił już bokami. Zawierucha poczuł, że most zadrżał mu pod nogami, masa śniegu drgnęła, potem mocniej zachybotła i dał się słyszeć ostry trzask. Za jego plecami coś się działo. Świadczyła o tym choćby twarz Carsona, wydłużona nagle i stężona w oczekiwaniu. Z dołu dobiegał cichy szmer wody, oczy Zawieruchy mimo woli spojrzwały w ziejącą czeluść. Natychmiast odwrócił wzrok. Szybko przebył dwie trzecie drogi i stanął nad dziurą. Ostre krawędzie szczeliny, ledwie tknięte przez słońce, świadczyły, że powstała bardzo niedawno. Już miał przeleźć, gdy nagle szczelina zaczęła się rozstępować przy wtórze donośnych trzasków. Szybko, jednym potężnym susem przeskoczył jamę, ale but ze startymi gwoździemi ześliznął się. Zawierucha upadł na twarz i zjechał w dziurę. Nogi zawisły w powietrzu, lecz w chwili upadku zdołał przerzucić przez szczelinę kij i oparł się na nim pierśią.

Pierwszym wrażeniem, jakiego doznał, było uczucie mdłości, wywołane gwałtownym przyspieszeniem tętna; pierwszą myślą, jaka mu przyszła do głowy, było zdziwienie, że nie poleciał dalej. Za nim most trzeszczał, zgrzytał i trząsł się, aż drżał kij nad przepaścią. Z dołu, z głębi lodowca, dobiegało głucho dudnienie. To wielkie kawały mostu leciały na dno. A jednak most jeszcze się trzymał, choć stracił oparcie o brzeg, z którego Zawierucha nań wszedł, i chociaż zawalił się w środku. Ta część mostu, którą Zawierucha miał już za sobą, pochylona się pod kątem dwudziestu stopni. Zobaczył, że Carson, przycupnąwszy na występie, wpiera się nogami w topniejący lód i szybko odwija linę z ramion.

— Czekaj! — zawołał Carson. — Nie ruszaj się, bo ani chybi zawalisz ten cały interes.

Jednym spojrzeniem ocenił odległość, zdjął z szyi chustkę i przywiązał ją do liny, którą jeszcze trochę przedłużył drugą chustką, wyciągniętą z kieszeni. Lina, zrobiona z postronków od sanek i splecionych z nimi krótkich rzemyków z niewyprawionej skóry, była lekka i mocna. Carson rzucił linę tak zręcznie i celnie, że Zawierucha od razu ją złapał i zaczął się po niej wspinać na rękach, chcąc w ten sposób wydostać się z matni. Ale Carson, który zdążył już opasać się liną, pohamował jego zapędy.

— Otocz się liną w pasie! — rozkazał.

— Jeśli polecę, pociągnę ciebie za sobą — zaoponował Zawierucha.

Mały Carson okazał się bardzo stanowczy

— Zamknij gębę! Twój głos wystarczy, żeby cały ten kram runął.

— Jeśli polecę... — znów zaczął Zawierucha.

— Milczeć! Mowy nie ma, żebyś poleciał. Rób, co ci każe. O tak, pod pachami. Tylko mocno. Dobra! Odjazd! Zaczynaj, ale leciutko. Będę ciągnął. Naprzód, pomalutku... Dobra jest. Spokojnie, spokojnie!

Zawierucha był o dwanaście stóp od brzegu, gdy most jął się walić na dobre. Bez hałasu, tylko szarpiąc gwałtownie, osiadał coraz niżej.

— Prędej! — krzyknął Carson, przebierając szybko rękami, żeby ściągnąć linę, luzowaną przez Zawieruchę w miarę posuwania się naprzód.

Katastrofa nastąpiła w chwili, gdy Zawierucha wczepił się palcami w lodową ścianę przepaści. Walący się most ciągnął go w dół. Carson, siedząc, wpierał w lód szeroko rozstawione nogi i co sił ciągnął linę. Zdołał wpakować Zawieruchę na ścianę, ale sam przy tym wyleciał ze swej niszy. Jak kot obrócił się w powietrzu twarzą do ściany i jął rozpaczliwie czepiać się lodu, wciąż zjeżdżając w dół. Czterdzieści stóp niżej na naprężonej linie wisiał Zawierucha i tak samo rozpaczliwie przyłgnął do ściany. Gdy potężny huk oznajmił, że most runął na dno przepaści, obaj już się czegoś trzymali. Carson dokonał tego pierwszy i zaraz podciągnął linę. W ten sposób wzmocnił pozycję Zawieruchy.

Obaj wylądowali w płytkich niszach. Ta, do której dostał się Zawierucha, była tak płytka, że chociaż przyciskał się do niej, jak mógł, byłby spadł, gdyby nie oparcie, jakie miał w linie. Ze swej półki nie mógł spojrzeć w dół. Minęło parę minut, w czasie których rozważali sytuację i robili szybkie postępy w sztuce przylegania do mokrego, oślizłego lodu. Mały Carson przemówił pierwszy

— Psiakrew! — powiedział. A w minutę później: — Gdybyś mógł chwilę utrzymać się sam i zluźnić linę, tobym się odwrócił. Spróbuj.

Zawierucha przez chwilę utrzymał się bez pomocy liny.

— Dam radę — oznajmił. — Powiedz, jak będziesz gotów. Pospiesz się.

— Trzy stopy niżej miałbym na czym stanąć. Zrobię to raz dwa. Jesteś gotów?

— Już.

Niełatwo było ześliznąć się jard niżej, odwrócić się i usiąść. Ale jeszcze trudniej przyszło Zawierusze spłaszczyć się i utrzymać w pozycji, wymagającej ogromnego wysiłku mięśni. Już czuł, że pomalutku zaczyna osuwać się w dół, gdy lina znów się naprężyła. Spojrzał w górę na twarz towarzysza. Zauważył, że jego opalone policzki oblekła żółtawa bladeść, jakby ucięła z nich cała krew. Przyszło mu na myśl, że warto by zobaczyć własną twarz. Gdy jednak ujrzał, że Carson drżącą ręką sięga do pochwy, w której miał nóż, zrozumiał to jako zapowiedź końca: zaraz odetnie linę.

— Nie zwracaj n-na m-mnie uwagi — mówił mały Carson, szczękając zębami. — Wcale się nie boję. To tylko nerwy, cholera. Z-z-z-zaraz przejdzie.

Zawierucha ujrzał, że Carson zgiął się wpół i drżąc, w bardzo niezręcznej pozycji, jedną ręką lekko napina linę, a w drugiej trzyma nóż i wybija dziury w lodzie — oparcie dla stóp.

— Carson — szepnął. — Jesteś równy gość.

Tamten odpowiedział uśmiechem, w którym było coś upiornego i wzniosłego zarazem.

— Nigdy nie znosiłem dużych wysokości — wyznał. — Dostawałem zawrotu głowy. Pozwól, że trochę odsapnę i poczekam, aż mi się rozjaśni w głowie. Potem pogłębnię te dziury i będę mógł cię wyciągnąć.

Zawierusze zrobiło się raźniej.

— Słuchaj, Carson. Trzeba odciąć linę. W żaden sposób nie dasz rady wytaszczyć mnie w górę. Nie ma sensu, byśmy obaj zginęli. Masz nóż, to ciachnij.

— Stul gębę! — odparł z oburzeniem Carson. — Nic tu nie masz do gadania.

Nie uszło uwagi Zawieruchy, że gniew wpłynął na uspokojenie nerwów Carsona. Jego własne nerwy były wystawione na znacznie cięższą próbę: sam nie mógł zrobić nic, tylko przyciskać się do ściany.

Jęk Carsona i okrzyk: „Trzymaj się!” ostrzegły go o niebezpieczeństwie. Przytulił twarz do lodu i z najwyższym wysiłkiem przyłgnął całym ciałem do ściany. Poczuł, że lina się poluzniła. Carson zsuwał się ku niemu. Nie śmiał spojrzeć w górę, aż poczuł, że lina się naprężyła. Widocznie Carson znów znalazł oparcie.

— Psiamać, niewiele brakowało — odezwał się Carson, dzwoniąc zębami. — Zjechałem cały jard. Teraz poczekaj. Muszę wykopać nowe dziury. Gdyby ten pieroński lód nie był taki mokry, już byśmy wyleźli.

Mały Carson lekko napiął linę lewą ręką a nożem w prawej dziobał i siekał lód. Minęło pięć minut.

— Posłuchaj, co zrobiłem — zawołał Carson. — Wybiłem szczeble pod stopy i chwytę dla nas obydwu. Pociągnę lekko linę, a ty się wspinasz i trzymaj ściany, tylko pomalutku. Wiesz, co? Przytrzymam cię teraz na linie, a ty się pozbadź plecaka. Jasne?

Zwierucha kiwnął głową i jak najostrożniej odpiął rzemienie, po czym potrząsnął ramionami i zrzucił plecak. Carson ujrzał, jak plecak ześliznął się z występu i zniknął.

— Teraz spławię mój plecak! — zawołał Carson. — A ty czekaj i niczym się nie przejmuj.

W pięć minut później zaczęła się ciężka wspinaczka. Zawierucha wytarł ręce o drugą stronę rękawów i wpił się w ścianę; wstrzymywał oddech, czepiał się, przyklejał, spłaszczając, przez cały czas podtrzymywany przez linę. Bez pomocy nie dałby sobie rady. Przebył już trzecią część drogi. Ściana w tym miejscu była bardziej stroma, a lód gładniejszy. Nagle poczuł, że lina się obluźnia. Posuwał się coraz wolniej. Nie było się na czym oprzeć. Mimo rozpaczliwych wysiłków musiał przystanąć i czuł, że z wolna zaczyna zjeżdżać.

— Zjeżdżam! — zawołał.

— Ja też — odpowiedział Carson, zgrzytając zębami.

— To puść linę.

Zawierucha poczuł, że tamten szarpie linę, na próżno usiłując ją naprężyć. Sam obsuwał się coraz szybciej. Minąwszy stopień, z którego zaczął wspinaczkę, ujrzał Carsona; przewrócił się i jak szalony wymachiwał rękami i nogami, chcąc się zatrzymać. Zawierucha był wielce zdziwiony, że nie poleciał za występem w przepaść. Lina przytrzymała go, gdy staczał się po stromym stoku, potem szybko ustąpiła. Zatrzymał się na nowym progu z wgłębieniem w ścianie. Carsona nie było widać — schronił się w niszy, którą zajmował przedtem Zawierucha.

— Psiakrew! — drżącym głosem kłął Carson. — Psiakrew!

Nastąpiła cisza. I znów lina zaczęła się ruszać.

— Co robisz? — krzyknął Zawierucha.

— Robię więcej wrębów dla naszych rąk i nóg — odparł niepewnym głosem Carson.

— Poczekaj chwilę. Tylko patrzeć, jak cię tu wciągnę. Przepraszam, że się trochę jąkam. To tylko z podniecenia. Wszystko w porządku. Poczekaj, zobaczysz.

— Lód topnieje i prędzej czy później polecisz za mną. Jedyna rada — odciąć linę. Po co obaj mamy zginąć? Rozumiesz? Jesteś największym człowiekiem wśród małych mężczyzn, ale zrobiłeś już, co mogłeś. Ucinaj.

— Zamknij gębę. Tym razem wybije dziury takie, że parę koni bym wciągnął.

— Trzymałeś mnie już dosyć długo — nalegał Zawierucha. — Przez cały czas nic, tylko zjeżdżasz coraz niżej.

— Ale przez cały czas się uczę. Teraz będę cię ciągnął tak długo, aż się stąd wydostaniemy. Kape? Kiedy Bóg dał mi lekką wagę, na pewno wiedział, co robi. Ale nie gadaj. Jestem zajęty.

Nastąpiła chwila milczenia. Zawierucha słyszał metaliczne stukanie noża. Parę odprysków lodu spłynęło na dół. Chciało mu się pić. Rękami i nogami trzymając się ściany, wargami łowił kawałki lodu, które topniały mu w ustach.

Usłyszał z góry westchnienie, które przeszło w jęk rozpacz. Linka obsunęła się. Przyłgął do ściany. Linka napięła się ponownie. Spojrzał w górę i natężając wzrok zobaczył, że zza występu ukazał się nóż, zjeżdżając do niego ostrzem na dół. Podstawił twarz, boleśnie skaleczony cofnął policzek i jeszcze raz go podstawił — nóż się zatrzymał.

— Dureń ze mnie! — biadał Carson.

— Dobra jest, trzymam go — odparł Zawierucha.

— Wiwat! Czeka! Mam w kieszeni cały kłębek sznurka. Spuszczę ci go i odeślesz mi nóż.

Zawierucha milczał. Walczył z myślą, która przyszła mu nagle do głowy.

— Jedzie sznurek! Powiedz, jak złapiesz.

Scyzoryk na sznurku ześliznął się po lodzie. Zawierucha chwycił go, zębami i jedną ręką błyskawicznie wyciągnął większe ostrze i upewnił się, że nie jest tępe. Wówczas przywiązał nóż do zwisającego sznurka.

— Ciągnij — zawołał.

Nóż poszedł w górę. Zawierucha odprowadził go wzrokiem. Lecz przed oczyma miał co innego. Widział małego człowieczka, równie wystraszonego jak nieugiętego. Małec ten drżał i kłapał zębami, kręciło mu się w głowie, a jednak przewyciężył mdłości i rozpacz, aby odegrać rolę bohatera. Od pierwszego spotkania z Krótkim nikt tak Zawierusze nie przypadł do serca. Oto prawdziwy pożeracz mięsa, serdeczny druh, gotów życie oddać za drugiego, niezachwiany w swym męstwie, nawet gdy się trzęsie ze strachu. Zawierucha rozważył z zimną krwią sytuację. Dla obydwu nie było żadnych widoków. Nieustannie ześlizgiwali się w dół. To właśnie on jako cięższy ściąga za sobą małego Carsona. Małutki przylepiał się do ściany jak mucha. Gdyby był sam, mógłby się uratować.

— Teraz migiem się stąd wydostaniemy — usłyszał Zawierucha głos z góry.

W głosie Carsona znać było, jak strasznie się sili na wesołość i optymizm. To przesądziło o decyzji Zawieruchy.

— Słuchaj — powiedział stanowczym tonem. — Posłałem ci nóż, żebyś za jego pomocą się stąd wydostał. Rozumiesz? A ja odetnę się scyzorykiem. Jest nas tu o jednego za dużo.

— Albo wejdzie dwóch, albo żaden. — Drżący głos Carsona brzmiał stanowczo. — Jeśli wytrzymasz jeszcze chwilę...

— To i tak trwa już za długo!

— Czeka! — wrzasnął Carson. — Nie zrobisz tego! Dasz się wciągnąć. Musi nam się udać. Zobaczysz. Zaraz wybije takie dziury, że dom ze stodołą będzie można wywindować. Zawierucha nie odpowiedział. Pomału, spokojnie, wpatrując się jak urzeczony w scyzoryk, piłował linkę, aż przeciął jeden z trzech rzemyków.

— C o t y r o b i s z ? — krzyknął rozpaczliwie Carson. — Mówię ci, obaj albo żaden. Zaraz wyleziemy. Czeka! Na miłość Boską, czeka! Zawieruchę, wpatzonego w przecięty rzemyk w odległości pięciu cali od oczu, zdjął strach. Nie chciał umrzeć. Wzdrygał się przed zawrotną przepaścią pod nogami, a paniczny strach podszeptał mu niedorzeczną nadzieję, że uratuje go zwłoka. Zdecydował się na kompromis.

— Dobrze! — zawołał. — Poczekam. Rób, co możesz. Ale, Carson, jeśli jeszcze raz obaj zaczniemy zjeżdżać, odetnę linkę.

— Daj spokój. Pójdziemy, ale w górę. Ja się przyklejam jak plaster. Mógłbym się tu trzymać, choćby ściana była dwa razy stromsza. Już wyrąbałem porządną dziurę na jedną nogę. Proszę mi nie przeszkadzać w pracy.

Mijały długie minuty. Zawierucha całą uwagę skupił na nieznacznym bólu palca, wywołanym przez zadrę kolo paznokcia. Trzeba ją było obciąć rano, już wtedy dokuczwała — myślał. Postanowił, że jak tylko się wydostanie z przepaści, natychmiast obetnie tę zadrę. Jeszcze raz z bliska przyjrzał się palcowi i zadrze, ale innymi oczyma. W ciągu minuty, w najlepszym razie — paru minut, ta zadra i ten palec, tak mądrze ukształtowany i tak sprawny, mogą należeć do zmasakrowanego trupa na dnie przepaści. Wmawiał sobie, że drży na całym ciele, bo przemókł od tającego lodu, ale w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

Usłyszał, że Carson dyszy i pojękuje. Nagle zluźniona lina ostrzegła go o niebezpieczeństwie. Zaczął się obsuwać, bardzo wolno. Lina naprężyła się mocno, ale on ześlizgiwał się dalej. Widocznie Carson nie mógł go utrzymać i zjeżdża razem z nim. Jednej nogi nie miał już na czym oprzeć, widział, że zwisa nad przepaścią. Wiedział też, że jeszcze chwila, a spadając pociągnie za sobą Carsona.

Na oślep, rozpaczliwie przejechał ostrzem noża po linie, ujrzał, jak rzemyki się urwały, poczuł, że ześlizguje się coraz szybciej — runął w dół.

Co stało się potem, nie wiedział. Nie stracił przytomności, ale nagle i niespodziewanie coś się stało. Upadek nie był śmiertelny. Niemal natychmiast chlapnął nogami w wodę, usiadł z rozmachem, a zimna woda chlusnęła mu w twarz. Zrazu wydało mu się, że przepaść nie była tak głęboka, jak myślał, że bezpiecznie wylądował na jej dnie. Ale szybko się zorientował w sytuacji. Lodowa ściana wznosiła się w odległości dwunastu stóp od niego. Znalazł się w basenie, jaki w lodowej półce wyżłobiła woda, ściekająca z górnego występu. Woda miała dwie stopy głębokości i wypełniała basen po brzegi. Wychylił się i spojrzał w dół. Wąska przepaść miała paręset stóp, na jej dnie pienił się strumień.

— Och, coś ty zrobił! — jęczał Carson.

— Słuchaj! — zawołał Zawierucha. — Jestem zdrow jak ryba i siedzę po szyję w bajorze. Są tu również obydwie nasze plecaki. Zaraz na nich sobie usiądę. Miejsca jest na sześciu chłopa. Jeśli się ześlizniesz, trzymaj się ściany, a wylądujesz tutaj. Na razie jednak spróbuj wleźć. Skoczysz do chaty. Tam ktoś jest — widziałem dym. Weź linę albo coś, z czego można ją zrobić, wracaj i bierz mnie na wędkę.

— Nie bujasz? — zapytał Carson.

— Nie, jak pragnę szczęścia. No, ruszaj się żywo, bo dostanę kataru i skonam.

Zawierucha na rozgrzewkę kopał obcasem kanał w brzegu basenu. Gdy już cała woda wyciekła, daleki okrzyk oznajmił, że Carson wylazł na szczyt lodowca.

Potem Zawierucha zajął się suszeniem ubrania. Było już dobrze po południu, ale słońce przygrzewało mocno. Wyjął odzież i rozłożył na słońcu. Miał wodoszczelne pudełko zapalek, udało mu się osuszyć trochę tytoniu i bibułki — skrzył papierosy.

W dwie godziny później siedział nago na plecakach i palił papierosa, gdy nagle usłyszał dobrze znany głos.

— Hej! Zawierucha! Zawierucha!

— Joy Gastell! — odkrzyknął. — Skąd się tu pani wzięła?

— Z pańskiej chaty. Czy jest pan ranny?

— Nawet nie zadraśnięty!

— Ojciec spuszcza linę. Widzi ją pan?

— Tak. Już trzymam. Hm, proszę poczekać chwilkę.

— Co się stało?

— Ubieram się

— Co takiego?

— Bo się kapałem. Już. Gotowi? Ciągnąć!

Najpierw posłał plecaki, za co dostał reprimendę od Joy. Wjechał na górę drugim transportem.

Joy Gastell patrzyła na niego rozpalonymi oczami. Ojciec i Carson zwijali linę.

— Jak pan mógł odciąć się od liny? Carson mi wszystko powiedział. Poświęcił pan siebie, żeby go ocalić.

— Ależ skąd znowu? — zełgał Zawierucha. — Cały czas widziałem prosto pod sobą ten pływacki basen.

KRACH NA RYNKU JAJCZARSKIM

Zdarzyło się pewnego zimowego, mroźnego poranka w wielkim magazynie Alaskańskiego Towarzystwa Handlowego w Dawson, że Lucille Arral skinęła głową na Zawieruchę Bellewa. Stała przy ladzie z towarami łokciowymi, a sprzedawca właśnie poszedł do magazynu po towar. Zawierucha ochoczo dał posłuch życzeniu Lucille.

W całym Dawson nie było mężczyzny, który by obojętnie przyjął względy, okazane mu przez Lucille Arral, śpiewaczkę grającą rolę subretki w niedużej trupie teatralnej, która co wieczór występowała w miejscowej Wielkiej Operze.

— Nudy śmiertelne — narzekała, ślicznie wydymając wargi. — Od tygodnia nie było żadnej gonitwy. Obiecany przez Skiffa Mitchella bal maskowy został odłożony. Złoty piasek przestał przechodzić z rąk do rąk. Dobre dwa tygodnie minęło od chwili, gdy przyszła poczta ze świata. Miasto zaryło się na zimę i śpi jak suseł. Coś trzeba zrobić. Potrzęsnać ludźmi. Tylko pan i ja moglibyśmy rozruszać towarzystwo. We dwójkę. Zerwałam z Charleyem Dziką Wodą, wie pan?

Zawierucha oczyma duszy ujrzał siebie w takiej oto sytuacji: na śnieżnej pustyni w zimnej poświacie polarnego księżyca leży zastrzelony jak pies przez wyżej wspomnianego Dziką Wodę, który załatwia te rzeczy szybko i sprawnie.

— Wcale nie chodzi mi o to, o czym pan myśli, dziękuję pięknie — strofowała go, śmiejąc się wesoło, Lucille. — Proszę mi wierzyć, łaskawy panie, że nie zamierzam zalecać się do pana, a kto by się ośmielił wyznać mi swoją miłość, miałby do czynienia z Dziką Wodą. Pan go zna. Zresztą, hm, bądźmy szczerzy. Dziką Wodę uważa, że to ja z nim zerwałam.

— Krótko mówiąc, zerwała pani, czy nie?

— Ale niech to zostanie najściślej między nami — nie! Narobiłam tylko szumu, żeby mu się zdawało, że zerwałam. Doigrał się.

— A ja co tu mam do rzeczy? Potrzebny jestem na przynętę czy też na kozła ofiarnego?

— Ani jedno, ani drugie. Ośmieszysz pan Dziką Wodę, ubawi Dawson, a co najważniejsze, nauczymy go more-su. To mu się przyda. Za dużo sobie pozwała. To, że ma więcej bogatych działek, niż potrafi zliczyć...

— I to, że się zaręczył z najpiękniejszą małą kobietką na Alasce... — wtrącił Zawierucha.

— Właśnie, dziękuję panu, to jeszcze nie powód, żeby mu się przewróciło we łbie. Wczoraj wieczór zerwałam z nim ostatecznie. Teraz chodzi po mieście i obnosi się ze swym złamanym sercem. Tuśmy doszli do sedna sprawy. Przepadam za jajkami.

— Cóż mają do tego jajka?

— Bardzo dużo. Niech pan słucha dalej. Ogromnie lubię jajka. W Dawson jest krucho z jajkami.

— Na pewno. Wiem o tym. Największe zapasy posiada restauracja Slavovitcha. Szynka z jednym jajkiem — trzy dolary. Z dwoma — pięć dolarów. To znaczy, że jajko w detalu kosztuje dwa kawałki. Tylko bogacze, Arralowie i Dzikie Wody, mogą sobie pozwolić na takie zbytki.

— On też lubi jajka. Ale nie o to chodzi. Ja przepadam za nimi. Co dzień o jedenastej rano jem śniadanie u Slavovitcha. Zjadam zawsze dwa jajka. — Przerwała, żeby wrażenie było większe. — Proszę sobie wyobrazić, na razie tylko wyobrazić, że ktoś wykupi wszystkie jajka.

Zamilkła. Zawierucha patrzył na nią z niewyraźną miną.

— Nie rozumie pan — powiedziała.

— Proszę mówić dalej. To dla mnie za trudne. O co chodzi?

— Głuptas! Zna pan Dziką Wodę. Gdy zobaczy, że tęsknię za jajkami, a ja wiem, jak trzeba tęsknić, to co zrobi?

— Słucham.

— Ano właśnie. Zacznie uganiać się za gościem, który zagarnął wszystkie jajka. I kupi całą pulę, nie oglądając się na cenę. Scena pierwsza: O jedenastej przychodzę do Slavovitcha. Przy sąsiednim stole Dziką Woda. Codziennie tam jest. „Dwa jajka smażone” — mówię do kelnera. „Bardzo żałuję, panno Arral — odpowiada — ale już jajek nie mamy”. Wtedy Dziką Woda się msza i swym niedźwiedzim basem woła: „Kelner! Sześć jajek na miękko”. A kelner: „Tak jest, panie hrabio”. I przynosi jajka. Scena druga: Dziką Woda patrzy na mnie z ukosa, ja mam minę jak obrażony sopel lodu i wołam kelnera. „Bardzo żałuję, panno Arral — powiada — ale to są jajka pana Dzikiej Wody. Rozumie pani, jego własność”. Scena trzecia: Dziką Woda triumfalnie, udając, jak urnie najlepiej, że nic nie słyszał, zjada sześć jajek. Następna scena: Slavovitch osobiście przynosi mi dwa smażone jajka i mówi: „Ukłony od pana Dzikiej Wody dla pani dobrodziejki”. Nie ma rady, muszę uśmiechnąć się do Dzikiej Wody i znów nastaje zgoda, a on uważa, że jeszcze go tanio kosztowało, nawet jeśli musiał zapłacić spekulantowi dziesięć dolarów za każde jajko.

— Słucham, co dalej? — dopominał się Zawierucha. — Na jakiej stacji ja wsiałam do tego pociągu i przy jakiej pompie zostanę z niego wyrzucony?

— Nikt pana nie wyrzuci. Zajedzie pan tym pociągiem z jajami do stacji końcowej. Bo to p a n kupi jajka. Proszę dziś jeszcze wziąć się do roboty. Może pan kupić każde jajko w Dawson za trzy dolary i odsprzedać je Dzikiej Wodzie za cenę, jaka się panu żywnie podoba. Potem wszyscy będą się z niego śmiali. I zrzędzie mu mina. Zarobi pan ciężką forszę. A Dawson obudzi się ze snu z wielkim ha! ha!

— Hej! Krótki! — zawołał Zawierucha na współnika, który niedbałym krokiem rąco pomykał drugą stroną głównej ulicy, ostentacyjnie trzymając pod pachą gołą butelkę z zamrożonym płynem.

Zawierucha przeszedł przez ulicę.

— Gdzieś się obracał całe rano? Szukałem cię wszędzie.

— Byłem u doktora — odparł Krótki, pokazując butelkę.

— Z Sally coś kiepsko. Wczoraj wieczór w czasie karmienia zobaczyłem, że jej z ogona i boków wypadają kudły. Doktor mówi...

— Nie zwracaj głowy — przerwał mu niecierpliwie Zawierucha.

— Co z tobą? — z oburzeniem zapytał Krótki. — Sally będzie świecić golizną na takim okropnym mrozie! Ja ci mówię, że suka jest chora. Doktor powiada...

— Sally może poczekać. Słuchaj...

— A ja ci mówię, że nie może. Jesteś okrutny dla zwierząt. Suka zamrze na śmierć. Czymże się tak gorączkujesz?

— Chcę, żebyś mi kupił jajek...

— Naturalnie. I wody kolońskiej, tudzież pudru, proszę bardzo. A biedna Sally niech wylinieje do gołej skóry! Słuchaj. Jeśli masz wielkopańskie zachcianki, idź sam i kup sobie jajek. Mnie wystarczy fasola i bekon.

— Sam też będę kupował. Chciałbym tylko, żebyś mi pomógł. A teraz zamknij twarz. Ja mam głos. Pójdiesz zaraz do Slavovitcha. Płać nawet po trzy dolary za sztukę, ale musisz kupić wszystkie jajka, jakie ma w spiżarni.

— Po trzy dolary! — jęknął Krótki. — Nie dalej jak wczoraj wieczór słyszałem, że Slavovitch ma schowane co najmniej siedemset jaj. Dwa tysiące sto dolarów za nabiał! Słuchaj, leć natychmiast do doktora. On się tobą zajmie. I weźmie za pierwszą receptę tylko uncję złotego piasku. Cześć! Posuwam dalej.

Już odchodził, gdy Zawierucha złapał go za ramię i okręcił w kółko.

— Wiesz, Zawierucha, że dla ciebie zrobiłbym wszystko — uroczyście zapewnił go Krótki. — Gdybyś miał katar i leżał w łóżku z obiema rękami przetrąconymi, tobym dzień i noc siedział przy tobie i ucierał ci nosa. Ale niech mnie piekło na wieki pochłonie, jeśli zmarnuję dwa tysiące sto dolarów jak złoto na nabiał, wszystko jedno, czy dla ciebie, czy kogo innego.

— Ależ ja chcę ubić interes. Postanowiłem wykupić wszystkie co do jednego jajka w Dawson, Klondike, nad Jukonem. Musisz mi pomóc. Nie mam teraz czasu klarować ci, o co chodzi. Zrobię to potem. A w tej chwili trzeba skupić jajka. Goń do Slavovitcha i bierz cały jego zapas.

— Ale co mu powiedzieć? Od razu się domyśli, że sam wszystkich nie zjem.

— Nie mów nic. Niech przemówi forsa. Za gotowane bierze po dwa dolary. Daj mu za surowe nawet po trzy, jeśli przyrzeknie nie mówić nikomu, że sprzedał je tobie. Gdyby się dopytywał, to powiedz, że masz zamiar chować kurczęta. Najważniejsze, byśmy dostali te jajka. Potem szukaj dalej, wyniuchaj każde jajko w Dawson i kup. Zrozumiano? Kup! W knajpce naprzeciw Slavovitcha mają trochę jajek. Kup. Ja idę do Klondike City. Jest tam jeden staruszek kuternoga bez grosza przy duszy, który ma sześć tuzinów jajek. Trzymał je przez całą zimę, czekając na zwyczajną nadzieję, że dostanie tyle, aby mu starczyło na drogę z powrotem do Seattle. No, już cię nie ma! Słyszałem też, że ta kobiecina, co mieszka za tartakiem i robi mokasyny, ma parę tuzinów.

— Dobra, niech ci będzie, Zawierucha. Slavovitch to chyba najpoważniejszy jajczarz. Trzeba będzie zawrzeć z nim umowę, czarno na białym, żeby mucha nie siadła, a przedtem skupić jajka od różnych małych chomików.

— Pięknie. Leć. Wieczorem wszystko ci powiem.

Krótki wywinął parę młynców butelką.

— Najpierw muszę podkurować Sally. Jajka mogą trochę poczekać. Jeśli ich do tej pory nie zjedli, to nie zdążą wtroić, kiedy będę kurował biednego, chorego psa, który nie raz i nie dwa uratował nam życie.

Nigdy jeszcze tak szybko nie ogołocono rynku z towaru. W ciągu trzech dni każde dawsońskie jajko, o którym było wiadomo, z wyjątkiem paru tuzinów, znalazło się w rękach Zawieruchy i Krótkiego. Zawierucha mniej się liczył z pieniędzmi. Bez cienia wstydu przyznał się, że staruszkowi z Klondike City dał po pięć dolarów za siedemdziesiąt dwa jajka. Krótki dokonał znacznie poważniejszych transakcji na korzystniejszych warunkach. Dał tylko po dwa dolary za sztukę kobiecie wyrabiającej mokasyny i chełpił się, że ze Slavovitchem wyszedł na swoje, bo 715 jaj kupił po dwa i pół dolara. Natomiast sierdził się bardzo na właściciela knajpki naprzeciw Slavovitcha, który zdarł z niego po dwa dolary siedemdziesiąt pięć centów za 134 sztuki drobnicy.

Paru tuzinów jaj nie zdołali jednak zakupić. Znajdowały się w rękach dwóch osób. Jedną z nich, z którą targował się Krótki, była Indianka mieszkająca w chacie na wzgórzu za szpitalem.

— Dziś ją dostanę — oświadczył na drugi dzień rano Krótki. — Pomyjesz naczynia, a ja szybko się z kobietą uwinę, jeśli diabli mnie nie wezmą, gdy będę w nią wmawiał złoty piaseczek. Z mężczyzną, to rozumiem. Ale te przekłete baby... pojęcie ludzkie przechodzi, jak

potrafią zmordować człowieka, który chce u nich coś kupić. Sprzedać możesz im wszystko, kupić — ani rusz. Myślałby kto, że te jajka są ze szczerego złota.

Kiedy Zawierucha wrócił pod wieczór do domu, Krótki przykucnąwszy na podłodze, wcierał Sally maść w ogon z miną tak obojętną, że aż podejrzaną.

— Co dobrego? — zapytał niedbale Krótki po dłuższej chwili milczenia.

— Nic nowego — odparł Zawierucha. — Jak ci poszło ze *squaw*?

Krótki nie odpowiedział, tylko z triumfalną miną wskazał głową na wiaderko z jajkami stojące na stole.

— A mój facet — przyznał się Zawierucha — dopiero, gdy mu zaproponowałem dziesięć dolarów, oświadczył, że jajka są już sprzedane. Żle z nami, Krótki. Na rynku pojawiła się konkurencja. Te dwadzieścia osiem jajek może nam popsuć szyki. Widzisz, spekulant wygrywa, jeżeli złapie cały towar i nic mu nie umknie z rąk...

Przerwał i ze zdumieniem spojrział na współnika. Wyraz twarzy Krótkiego zupełnie się zmienił — pod maską niewzruszonego spokoju malowało się na niej podniecenie. Zamknął pudełko z maścią, nie spiesząc się wytarł dokładnie ręce o futro Sally, wstał, podszedł do kąta, spojrział na termometr i wrócił. Potem przemówił głosem cichym, bezbarwnym i nad wyraz uprzejmym.

— Czy byłbyś łaskaw powtórzyć jeszcze raz, ilu jajek facet nie chciał ci sprzedać?

— Dwudziestu ośmiu.

— Hm — mruknął Krótki pod nosem, lekko kiwnąwszy głową na znak, że usłyszał.

— Zechciej więc zauważyć swymi ślicznymi oczkami wiaderko stojące na stole. Zobaczył? Zawierucha kiwnął głową.

— Jedno pragnąłbym ci powiedzieć. W tym wiaderku jest dokładnie, ani mniej, ani więcej, tylko dwadzieścia osiem jajek, a każde z nich, tak jak je widzisz, kosztuje równiutko siedem dolarów. A ten łapserdak, z którym się targowałeś, to Indianin, wielkie chłopisko? Zawierucha kiwnął głową.

— I skórę z jednego policzka zdarł mu szary niedźwiedź, gdy go pacnął łapą. Tak? Handlarz psami, no nie? Nazywa się Jim Zdarta Twarz. Prawda? Czy podążasz za biegiem moich myśli?

— Chcesz powiedzieć, żeśmy podbijali cenę...

— Jeden przeciw drugiemu. Jasne. Ta *squaw* jest jego żoną. Mieszkają na wzgórzu za szpitalem. Mogłem dostać jajka po dwa dolary sztuka, gdybyś w to nie wścibił nosa.

— Ja też bym kupił po dwa — roześmiał się Zawierucha — gdybyś ty się nie wtrącał, niech cię kolka! Ale nic nie szkodzi. Wykupiliśmy wszystkie jajka. To wielka rzecz. Następną godzinę Krótki spędził na gryzmoleniu resztką ołówka po marginesie gazety sprzed trzech lat. W miarę, jak rosły i gmatwały się kolumny cyfr, rachmistrz był w coraz lepszym humorze.

— Po prostu buzi dać — powiedział w końcu. — Nielicho? Chyba. Pozwól, że podam ci wyniki obliczeń. W naszym posiadaniu znajdują się w tej chwili dokładnie 973 jajka. Kosztowały nas ni mniej ni więcej, tylko 2760 dolarów, licząc złoty piasek po 16 uncji i nie licząc straty czasu. A teraz posłuchaj. Jeśli stukniemy Dziką Wodę na 10 dolarów za sztukę, to zarobiliśmy na czysto dokładnie 6970 dolarów. To się nazywa totalizator. Mówię ci na wypadek, gdyby tu ktoś zajechał psim zaprzęgiem i spytał, o co w tym chodzi. Dawaj grabę, Zawierucha. Powinienem ci podziękować, ale języka w gębie zapomniałem. Totalizator! Odtąd, zamiast na kuce, zawsze będę stawiał na kurczaki.

O jedenastej w nocy Krótki obudził Zawieruchę, który już spał jak zabity. Szuba Krótkiego ziała mrozem.

— Przyniosłem ci dobre nowiny. Mówiłem ze Slavovitchem. A właściwie on ze mną mówił, bo pierwszy zaczął. „Słuchaj, Krótki — powiada — chcę z tobą pogadać o tych

jajkach. Jak przyrzekłem, pary z gęby nie puściłem. Nikt nie wie, że ci sprzedałem te jajka. Ale jeśli kupiłeś je na handel, to ci mogę coś szepnąć na ucho”. No, i szepnął mi. Zgadnij, co?

— Proszę, powiedz.

— Pewno nie uwierzysz, ale w grę wchodzi Charlie Dzika Woda. Chce kupić jajka. Przychodzi do Slavovitcha i daje mu po pięć dolarów, a na odchodnym — osiem. Ale Slavovitch wszystko sprzedał. Dzika Woda odgraża się, że mu rozwali pałkę, gdyby wyszło na jaw, że gdzieś zamelinował jajka. Na to Slavovitch powiada, że je sprzedał, ale nie może powiedzieć, komu. A mnie prosił, bym mu pozwolił ujawnić nazwisko nabywcy. „Krótki — powiada. — Dzika Woda przyleci do ciebie. Możesz go rąbnąć na osiem dolarów za sztukę”. „Osiem? Powiedz to swojej babci — mówię. — Da dziesięć i jeszcze będzie prosił”. Na koniec powiedziałem Slavovitchowi, że się jeszcze namyślę i rano dam mu odpowiedź. Oczywiście pozwolimy, żeby nas wydał. No nie?

— Ma się rozumieć. Jak tylko wstaniesz, zawiadom Slavovitcha. I niech mu powie obydwu nazwiska współników.

W pięć minut później Krótki znów obudził Zawieruchę.

— Słuchaj! No! Zawierucha!

— Co?

— Ani centa poniżej dziesięciu dolarów. Prawda?

— Jasna rzecz. Dobrze — sennym głosem odparł Zawierucha.

Na drugi dzień w południe Krótki postawił na stole garnek fasoli, dzbanek z kawą, racuchy na patelni, puszkę z masłem i puszkę skondensowanego mleka, dymiący półmisek z łosiną na bekonie, gęsty kompot z suszonych brzoskwiń i zawołał:

— Żarcie na stole. Ale przedtem zobacz, jak tam Sally.

Zawierucha odłożył uprząż, którą łątał, otworzył drzwi i ujrzał, jak Sally dzielnie odpędza od swego jądła sforę psów z sąsiedniej chaty. I zobaczył coś jeszcze, bo natychmiast zatrzasnął drzwi i doskoczył do kuchni. Na pierwszej fajerce postawił patelnię, jeszcze gorącą po łosinie, która się na niej smażyła. Rzucił na patelnię spory kawałek masła, złapał jajko i rozbił je na skwierczący tłuszcz. Gdy sięgnął po następne, Krótki dopadł go i złapał za ramię.

— Ejże! Co ty wyprawiasz? — zawołał.

— Smażę jajecznicę — poinformował Zawierucha, tłukąc drugie jajko i odpychając rękę przyjaciela.

— Gorzej ci? — spytał poważnie zaniepokojony Krótki, gdy Zawierucha rozbił trzecie jajko i wyprostowanym ramieniem zręcznie odepchnął współnika od pieca. — A możeś do reszty zbzikował? Już pękło trzydzieści dolarów.

— Razem pęknie sześćdziesiąt — brzmiała odpowiedź. Zawierucha tłukł właśnie czwarte. — Zjeżdżaj z drogi, Krótki. Dzika Woda idzie pod górkę, będzie tu za pięć minut.

Krótki westchnął głęboko. Zrozumiał i doznał ulgi. Siadł do stołu. Gdy dało się słyszeć oczekiwane stukanie do drzwi, Zawierucha siedział za stołem, naprzeciw Krótkiego, a przed każdym z nich stał talerz z gorącą jajecznicą Z trzech jaj.

— Wejść! — krzyknął Zawierucha.

Charley Dzika Woda, młody olbrzym atletycznej budowy, bez mała sześć stóp wzrostu, a wagi równo sto dziewięćdziesiąt funtów, wszedł do izby i podał im rękę.

— Siadaj, Dzika Woda, zjesz coś niecoś z nami — zapraszał Krótki. — Zawierucha, usmaż mu parę jajek. Założę się, że już nie pamięta, kiedy ostatni raz wsuwał jajko.

Zawierucha rozbił na gorącą patelnię trzy jajka i po chwili postawił jajecznicę przed gościem, który tak jakoś dziwnie wybałuszył na nią oczy, iż Krótki — jak się przyznał potem — bał się, że Dzika Woda zgarnie jajecznicę do kieszeni i ucieknie.

— Sami powiedzcie — przechwalał się Krótki — czy tam w Stanach różni wielcy panowie lepiej sobie podjadają od nas? Pan, ja i Zawierucha wbijamy jajek za dziewięćdziesiąt dolarów i ani się oka nie zmruży.

Dzika Woda spojrział na jajecznicę, błyskawicznie znikającą z talerzy, i skamieniał.
— Bez krępacji, prosimy — zapraszał Zawierucha.
— Nie... nie kosztują chyba dziesięć dolarów sztuka? — wykrztusił Dzika Woda.
Krótki podjął wyzwanie.
— Każda rzecz kosztuje tyle, ile można za nią dostać, prawda? — zapytał.
— Tak, ale...
— Ale co? Mówię panu, co możemy dostać. Dziesięć dolarów sztuka, właśnie tyle.
Masz pan tutaj, w osobie Zawieruchy i mojej, jajczarski trust, o tym pan nie zapominaj. Jak my mówimy: dziesięć dolarów sztuka, to po tej cenie towar leci. — Wytarł talerz racuchem.
— Zjadłbym jeszcze ze dwa. — Westchnął i nałożył sobie fasoli.
— Nie można się tak obżerać jajkami — zaprotestował Dzika Woda. — Tak się nie godzi.
— Kiedy my mamy słabość do jajek — wyłuszczył mu Krótki.
Dzika Woda bez większego przekonania skończył swoją jajecznicę i nieufnie spojrział na obu przyjaciół.
— Słuchajcie, chłopaki — zaczął nieśmiało. — Moglibyście wyświadczyć mi wielką przysługę. Sprzedajcie mi, pożyczcie albo dajcie tuzin tych jajek.
— Jasne — odparł Zawierucha. — Znam ten ból, wiem, co znaczy mieć ochotę na jajka. Ale nie jesteśmy już tacy biedni, żebyśmy brali forszę za poczęstunek. Niech pan nie płaci... — Tu tęgi kopniak pod stołem oznajmił mu, że Krótki się zaniepokoił. — Powiedziałaś: tuzin. Tak?
Dzika Woda kiwnął głową.
— No to już, Krótki — mówił dalej Zawierucha. — Ugotuj mu dwanaście jaj.
Doskonale go rozumiem. Swego czasu sam mogłem zjeść tuzin jajek za jednym zamachem.
Krótki skoczył do pieca, ale Dzika Woda położył mu rękę na ramieniu.
— Nie chciałem jajek na miękko. Potrzebne mi są surowe.
— Na wynos?
— Właśnie.
— To już nie ma nic wspólnego z gościnnością — zauważył Krótki. — To jest...
handel.
Zawierucha przytaknął ruchem głowy.
— To zupełnie co innego — powiedział. — Myślałem, że pan po prostu chce je zjeść.
Widzi pan, myśmy skupili jajka w celach spekulacyjnych.
Niebieskie oczy Dzikiej Wody błysnęły jeszcze groźniej niż zwykle.
— Zapłacę — powiedział ostro. — Ile chcecie?
— Ale nie za tuzin — odparł Zawierucha. — Dwunastu jajek nie możemy sprzedać.
Nie jesteśmy detaliści, tylko spekulanci. Popsulibyśmy sobie rynek. Skupiliśmy wszystkie jajka co do jednego i albo sprzedamy wszystko, albo nic.
— Ile ich macie i co byście chcieli dostać?
— Krótki, ile tego jest? — spytał Zawierucha.
Krótki chrząknął i zaczął liczyć na głos.
— Zaraz, zaraz, 973 mniej 9 to by było 962. Cały kram, po dziesięć sztuka, kosztowałby plus minus 9620 dolarów. Oczywiście, mój drogi, interes jest czysty i zwracamy forszę za każde zepsute jajko. Ale takich nie ma. Jediną rzeczą, jakiej nie widziałem w Klondike, jest zepsute jajko. Jeszcze się taki wariat nie znalazł, co by tu przywoził śmierdzący nabiał.
— Słusznie — dodał Zawierucha. — Zwracamy forszę za zbuki. Oto nasza oferta: 9620 dolarów za wszystkie jajka w całym Klondike.
— Możesz pan podbić cenę do dwudziestu dolarów i zarobić drugie tyle — radził Krótki.

Dzika Woda smutnie potrząsnął głową i nałożył sobie fasoli.

— Za drogo, Krótki. Nie potrzebuję tylu jaj. Wziąłbym dwa tuziny i dałbym po dziesięć dolarów sztuka. Dam po dwadzieścia, ale przecież nie kupię wszystkich.

— Wszystko albo nic — brzmiało ultimatum Zawieruchy.

— Coś wam powiem — zaczął się nagle zwierzać Dzika Woda. — Będę z wami całkiem szczerzy, tylko niech to zostanie między nami. Wiecie, że byłem zaręczony z panną Arral. Widzicie — zerwała ze mną. Pewnie słyszeliście o tym. Wszyscy słyszeli. Właśnie dla niej potrzebne mi są te jajka.

— Masz ci los! — parsknął Krótki. — Teraz dopiero rozumiem, czemuś pan chciał mieć jajka w skorupach. Ale tego się po panu nie spodziewałem.

— Czego?

— To nikczemna podłość, rozumiesz? — krzyknął Krótki, oburzony do żywego. — Wcale bym się nie dziwił, gdyby ktoś nafaszerował ci łeb drobnym ołowiem, boś sobie na to, bracie, zasłużył. Słuchaj, Dzika Woda. Zbłądziłeś. Nasza publiczność w Wielkiej Operze nigdy tego nie ścierpi. Że panna Arral jest aktorką, to jeszcze nie powód, by na oczach publiczności walić w nią kurzymi jajkami.

Przez chwilę zdawało się, że Dzika Woda pęknie ze złości lub tknie go apopleksja. Ale łyknął kawy gorącej jak piekło i pomału się uspokoił.

— Mylisz się, Krótki — oświadczył z lodowatym chłodem.

— Nie mam zamiaru obrzucać panny Arral jajami. Zrozum, człowieku! — krzyknął, znów się rozgrzewając. — Chcę jej dać te jajka na talerzu, smażone — takie właśnie lubi.

— Wiedziałem, że pan świństwa by nie zrobił! — krzyknął z uniesieniem Krótki.

— Dobrze, już dobrze — wybaczył mu Dzika Woda. — Ale wróćmy do rzeczy.

Wiecie, na co potrzebuję jajek. I dlatego tak strasznie mi na tym zależy.

— I weźmiesz je pan za 9620 dolarów? — zapytał Krótki.

— Szantaż, tak się to nazywa! — rozsierdził się Dzika Woda.

— Tylko interes — odparł Zawierucha. — Nie sądzi pan chyba, że uganiał się za jajkami dla zdrowia?

— Bądźcież rozsądni — tłumaczył Dzika Woda. — Potrzeba mi tylko dwóch tuzinów. Dam po dwadzieścia dolarów za sztukę. Cóż bym zrobił z resztą tych jajek? Całe lata przeżyłem w tym kraju, nie widząc jajek i na przyszłość też się jakoś bez nich obejdę.

— Czego się tu gorączkować? — uspokajał go Krótki. — Nie chcesz pan, w porządku. Na siłę ich panu nie wepchniemy.

— Ależ chcę!

— No to pan wiesz, ile kosztują: 9620 dolarów. Jeśli rachunek się nie zgadza, chętnie go sprostuję.

— Ośmielę się zauważyć, że panna Arral warta jest ceny tych jajek — dodał spokojnie Zawierucha.

— Warta! — Dzika Woda zerwał się z krzesła w krasomówczym zapale. — Warta jest całego złotego piasku w całym Klondike! — Usiadł i mówił dalej, już nieco spokojniej.

— Ale z jakiej racji miałbym puścić na śniadanie dla niej dziesięć tysięcy dolarów? Mam propozycję. Pożyczcie mi dwa tuziny. Oddam je Slavovitchowi. Będzie ją karmił jajkami i przekazywał wyrazy uszanowania ode mnie. Najstarsi ludzie nie pamiętają, kiedy ostatni raz się do mnie uśmiechnęła. Jeśli jajka zyskają mi jej uśmiech, biorę od was cały majdan.

— Czy zechciałby pan podpisać taką umowę? — zapytał szybko Zawierucha.

Dzika Woda zasapał.

— Ależ wy tu na górcie macie dryg do interesów — powiedział z lekką chrypką.

— Przyjeliśmy tylko pańską propozycję — odparł Zawierucha.

— Pięknie. Dawajcie papier! Skończmy z tym raz, a prędko! — krzyknął Dzika Woda ze złością.

Zawierucha sporządził kontrakt, w którym Dzika Woda zobowiązał się wziąć wszystkie jajka, jakie mu zostaną dostarczone, po dziesięć dolarów sztuka, pod warunkiem, że dwa tuziny pobrane zaliczkowo przyczynią się do pojednania między nim a Lucille Arral. Dzika Woda już miał podpisać, lecz nagle wstrzymał się z piórem w ręce.

— Chwileczkę — powiedział z naciskiem. — Jeżeli kupię jajka, to dobre.

— Nie ma w Klondike zepsutych jaj — parsknął Krótki.

— Niemniej jednak, gdybym znalazł zepsute jajko, zwróćcie mi dziesięć dolarów.

— Oczywiście — załagodził spór Zawierucha. — Tego wymaga uczciwość.

— Każde zgniłe jajko, które nam pan zwrócisz, zjem osobiście — zapewnił Krótki.

Zawierucha dopisał w umowie słówko „dobre”, Dzika Woda złożył podpis, otrzymał na próbę dwa tuziny jaj w blaszanym wiaderku, wciągnął rękawice i otworzył drzwi.

— Czołem, zbóje! — mruknął na pożegnanie i trzasnął drzwiami.

Na drugi dzień rano Zawierucha był świadkiem przedstawienia, jakie się odbyło u Slavovitcha. Zaproszony przez Dziką Wodę, siedział z nim przy jednym stoliku, a przy sąsiednim siedziała Lucille Arral. Scena rozegrała się jota w jotę tak, jak to przewidziała Lucille.

— Nie dostaliście jeszcze jajek? — płaczącym głosem zapytała kelnera.

— Nie, łaskawa pani. Ludzie mówią, że ktoś wykupił wszystkie jajka w Dawson. Pan Slavovitch stara się kupić parę sztuk specjalnie dla pani. Ale ten, co je trzyma, nie chce ustąpić.

W tym momencie Dzika Woda skinął na właściciela restauracji, położył mu rękę na ramieniu i przyciągnął jego głowę ku sobie.

— Słuchaj, Slavovitch — szepnął ochryplym głosem. — Dałem ci wczoraj dwa tuziny. Gdzie są te jajka?

— W kasie pancernej. A sześć ogrzałem, żeby odtajały i trzymam je do pańskiej dyspozycji, na każde zawołanie.

— To nie dla mnie — coraz ciszej szeptał Dzika Woda. — Usmażysz dwa jajka i podasz panie Arral.

— Zajmę się tym osobiście — zapewnił Slavovitch.

— A nie zapomnij przekazać ukłonów ode mnie — zakończył rozmowę Dzika Woda, uwalniając ramię restauratora z żelaznych kleszczy.

Piękna Lucille Arral żałośnie spoglądała na platek bekonu i *purée* kartoflane z puszki na swym talerzu, gdy Slavovitch postawił przed nią dwa smażone jajka.

— Ukłony od pana Dzikiej Wody — usłyszeli.

Zawierucha przyznał w duchu, że Lucille błysnęła aktorstwem wysokiej próby. Nagle twarz jej pojaśniała, odruchowo odwróciła głowę. Już, już zakwitał mimowolny uśmiech, ale został opanowany wspaniałym wysiłkiem woli. Głowa też została przywołana do porządku. Lucille powiedziała coś do restauratora.

Zawierucha poczuł pod stołem, że mokasyn Dzikiej Wody kopnął go w kostkę.

— Czy zje? Powiedz! Zje, czy nie? — nerwowo szeptał Dzika Woda.

Z ukosa spoglądali na sąsiedni stolik. Widać było, że Lucille Arral się waha. Zrobiła gest, jakby chciała odepchnąć talerz, a jednak ostatecznie uległa pokusie.

— Biorę te jaja — powiedział Dzika Woda do Zawieruchy.

— Umowa obowiązuje. Widziałeś ją? Czyś widział! Prawie że się uśmiechnęła. Znam ją. Jeszcze dwa jajka jutro, a przebaczy mi i pogodzimy się. Żeby nie ona, tobym ci ręce ścisnął, taki jestem wdzięczny. Nie jesteś zbójem, tylko dobroczyńcą.

Zawierucha wrócił rozpromieniony do chaty na wzgórzu. W domu zastał jednak Krótkiego przy pasjansie, w czarnej rozpaczy. Od dawna wiedział, że ilekroć wspólnik rozkłada na stole pasjansa, jest to widomy znak, iż świat się kończy.

— Odejdź, nie odzywaj się do mnie — tymi słowy powitał go Krótki.

Ale szybko potok wymowy przerwał tami milczenia.

— Cały ten interes z Dzika Woda wziął w łeb — jęczał. — Monopol szlag trafił. Jutro we wszystkich knajpach będą sprzedawać ajerkoniak po dolarze szklaneczka. Każda wygłodzona sierota będzie się opychała jajkami. Wiesz, na co wpadłem? Na typa z trzema tysiącami jaj — rozumiesz? Trzy tysiące, które dopiero co przytaszczył z Czterdziestej Mili.

— Bajki — z niedowierzaniem odparł Zawierucha.

— Diabła tam bajki! Widziałem te jaja. Gość się nazywa Gautereaux, fałszywy, niebieskooki, francuski pies z Kanady. Spytał się najpierw o ciebie, potem wziął mnie na bok i dźgnął w samo serce. Ruszył się, gdy usłyszał, że skupujemy jajka. Wiedział o trzech tysiącach w Czterdziestej Mili, pojechał tam i kupił. „Pokaż” — mówię. Pokazał. Jego psie zaprzęgi i dwóch indiańskich poganiaczy odpoczywało nad rzeką. Właśnie przybyli z Czterdziestej. A na sankach leżały skrzynki od mydła, takie małe, drewniane skrzyneczki. Wzięliśmy jedną i otwarli za lodowym zatorem na środku rzeki. Jaja! Pełno jaj, wszystkie poukładane w trocinach. Zawierucha, przerznięliśmy obaj. Gra była hazardowa. Wiesz, co ten łobuz miał czelność mi powiedzieć? Że wszystkie te jaja mogą być nasze po dziesięć sztuk. A może chcesz wiedzieć, co robił, gdy wychodziłem z jego chałupy? Malował szyld: „Jaja na sprzedaż” Oświadczył, że daje nam pierwszeństwo, po dziesięć dolarów sztuka, do drugiej południu. A jeśli do drugiej nie damy forsy, zawali rynek górą jaj. Powiedział jeszcze, że się handlem nie zajmuje, ale tym razem wystarczyło spojrzeć, by zwiertzyć dobry interes. Spojrzeć na ciebie i na mnie — to chyba miał na myśli.

— Nie ma zmartwienia — wesoło orzekł Zawierucha. — Trzymaj fason. Dzika Woda przyjdzie tu odebrać towar o drugiej. Kup jajka u tego Gautereaux. Staraj się stargować cenę, ale jeśli nawet zapłacisz po dziesięć dolarów, Dzika Woda weźmie nabiał od nas po tej samej cenie. A gdybyś dostał je taniej, tym lepiej, jeszcze zarobimy. No, zmykaj. Musisz być tutaj z towarem najpóźniej o drugiej. Pożycz psy od pułkownika Bowie i weź nasz zaprzęg.

— Ej, Zawierucha! — zawołał Krótki za swym wspólnikiem, który schodził już z pagórka. — Weź lepiej parasol. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zaczął padać jajowy deszcz, zanim wrócisz do domu.

Zawierucha znalazł Dziką Wodę w szynku panów M. i G. Burzliwa rozmowa trwała pół godziny.

— Zebraliśmy jeszcze trochę jajek — od niechcienia napomknął Zawierucha, gdy Dzika Woda już się zgodził przynieść o godzinie drugiej złoty piasek do chaty wspólników i uiścić gotówką należność za towar.

— Poluje pan na jajka szczęśliwiej niż ja — przyznał Dzika Woda. — Ile ich pan teraz ma? Ile więc muszę wytargać piaseczku na waszą górę?

Zawierucha zajrzał do notesu.

— Obecny stan magazynu, wedle danych Krótkiego, wynosi 3962 jajka, co pomnożone przez dziesięć.

— Czterdzieści tysięcy dolarów! — ryknął Dzika Woda. — Mówił pan przecież, że jest tego coś około 900 sztuk. To rozbój! Mowy nie ma!

Zawierucha wyciągnął umowę z kieszeni i wskazał palcem na klauzulę, z której wynikało, że zapłata nastąpi przy odbiorze towaru.

— Ile jajek ma być dostarczone, o tym w umowie nie ma ani słowa. Zgodził się pan zapłacić po dziesięć dolarów za każde dostarczone przez nas jajko. O cóż chodzi? Jajka są, a podpisany kontrakt jest podpisanym kontraktem. Choć wyznam szczerze, mój drogi, że o tych

nowych jajkach dowiedzieliśmy się później. Ale musieliśmy je kupić, bo inaczej nasz monopol byłby złamany.

Przez długie pięć minut panowała cisza, od której dech zamierał w piersi. Dzika Woda zmagał się z sobą aż w końcu, choć niechętnie, uległ.

— Wdepnąłem — powiedział złamanym głosem. — Gdzie spojrzeć, jaja wyrastają spod ziemi jak grzyby po deszczu. Im prędzej z tym skończymy, tym lepiej, bo mi się jeszcze lawina jaj zwali na głowę. Będę o drugiej. Czterdzieści tysięcy dolarów!

— Tylko trzydzieści dziewięć tysięcy sześćset dwadzieścia — sprostował Zawierucha.

— Piasek będzie ważył dwieście funtów! — krzyknął Dzika Woda, bliski szaleństwa. — Muszę wywieźć go na górę psim zaprzęgiem.

— Pożyczymy naszych zaprzęgów, żeby pan mógł zabrać wszystkie jajka — zaofiarował się Zawierucha.

— Gdzież ja to złożę? No, nic. Będę o drugiej. Ale póki mego życia, jajka do ust nie wezmę. Na samą myśl niedobrze mi się robi.

O wpół do pierwszej Krótki podwójnym zaprzęgiem wywindował sanki z jajkami od Gautereaux na stromą górkę.

— Nasz zysk prawie się podwoi — mówił do Zawieruchy, gdy układali stopy skrzynek w izbie. — Urwałem dwa dolary na sztuce. Pieklił się przez chwilę, klnąc po francusku, ale ustąpił. Te dwa dolary to nasz czysty zysk, a jajek jest trzy tysiące. Zapłaciłem wszystko. Oto kwit.

Zawierucha wyciągnął wagę i przygotowywał się do spotkania z nabywcą, a Krótki pograżył się w obliczeniach.

— Już mam — triumfalnie oznajmił Krótki. — Zarobimy 12 970 dolarów. Krzywdy Dzikiej Wodzie nie wyrządzimy. Odzyska pannę Arral. Poza tym będzie miał jajka. Wszyscy robią świetny interes. Nikt nie traci.

— A do tego Gautereaux zarobił 24 000 — uśmiechnął się Zawierucha. — Oczywiście trzeba odjąć to, co sam zapłacił i co kosztował go transport. A Dzika Woda, jeśli utrzyma monopol, też może zarobić.

Punkt o drugiej Krótki, który stał na czatach, zobaczył, że Dzika Woda idzie pod górę. Po chwili wszedł do izby. Minę miał tęgą i rzeczową. Zdjął ogromną niedźwiedzią szubę, powiesił ją na gwoździu i siadł za stołem.

— No, zbóje, dawajcie te jajka! — zagaił. — Od tej chwili, jeśli wam życie miłe, radzę nie wspominać przy mnie o jajkach.

Zaczęli od zbieraniny, która złożyła się na pierwszą partię. Wszyscy trzej liczyli. Gdy doszli do dwunastu, Dzika Woda nagle rozbił jedno o krawędź stołu i zręcznie je obrał.

— Ej! Wolnego! — zaprotestował Krótki.

— Moje jajko, czy nie? Dziesięć dolarów płacę, prawda? Kota w worku nie kupuję. Jak się wypluwa z siebie dziesięć kawałków za jedno jajko, to się chce wiedzieć, co się bierze.

— Jeśli to jajko panu nie odpowiada, mogę je wtroić — złośliwie zaofiarował się Krótki.

Dzika Woda obejrzał, powąchał i potrząsnął głową.

— Nie trzeba, Krótki. Jajko jest dobre. Daj wiaderko. Sam zjem na kolację.

Dzika Woda rozbił jeszcze na próbę trzy świeże jajka i ostrożnie włożył je do wiaderka, które postawił za sobą.

— O dwa więcej, niż ci się zdawało, Krótki — stwierdził Dzika Woda, gdy skończył liczyć. — 964, a nie 962.

— Mój błąd — uprzejmie przyznał Krótki. — Dorzucimy je na szczęście.

— Możesz sobie na to pozwolić — burknął Dzika Woda.

— Dziewięć tysięcy sześćset dwadzieścia dolarów. Już płacę. Zawierucha, pisz pan rachunek.

— Czy nie lepiej policzyć resztę i zapłacić za wszystko razem? — podsunął Zawierucha.

Dzika Woda potrząsnął głową.

— Nie jestem mocny w rachunkach. Skończmy najpierw z jedną partią, to nie będzie pomyłek.

Podszedł do swego futra i z bocznych kieszeni wyciągnął dwa worki piasku, okrągłe i długie jak bolońskie kiełbasy. Zawieruchę zaniepokoiło to, że po opłaceniu pierwszej partii w workach zostało piasku nie więcej niż za paręset dolarów.

Postawili skrzynkę od mydła przy stole i zaczęło się liczenie trzech tysięcy jaj. Gdy doszli do stu, Dzika Woda znów wyrznął jajkiem o krawędź stołu. Jajko nie rozbiło się, lecz stuknęło, jakby było z marmuru.

— Zamarzło na mur — zauważył Dzika Woda i rąbnął jajkiem jeszcze mocniej.

Podniósł je w górę. Zobaczyli, że skorupka w miejscu uderzenia rozprysła się w drobny mak.

— Fiu, fiu — gwizdnął Krótki. — Musi być zamrożone na kość, skoro przyjechało z Czterdziestej Mili. Zaraz je rąbnę siekierą.

— Dawaj! — zawołał Dzika Woda.

Zawierucha przyniósł siekierę. Dzika Woda miał rękę i oko leśnego drwala, toteż przerąbał jajko równo na połowę. W środku wyglądało dość nieciekawie. Zawierusze dreszcz złego przecucia przebiegł po kościach. Krótki okazał więcej męstwa. Jedną połówkę podniósł do nosa.

— Pachnie ładnie — oświadczył.

— Ale wygląda całkiem marnie — zaoponował Dzika Woda. — Jak może zatrać, kiedy smród zamarzał razem z całą resztą. Trzeba poczekać.

Obie połówki rzucił na patelnię i postawił ją na pierwszej fajerce rozpalonego pieca. Trzech mężczyzn z rozwartymi nozdrzami czekało bez słowa i tylko pociągało nosami. Z wolna niewątpliwa woń zaczęła powiewać po izbie. Dzika Woda wstrzymał się od komentarzy, a Krótki też milczał jak zaklęty, choć nie miał najmniejszej wątpliwości.

— Wyrzuć to za okno! — krzyknął, krztusząc się, Zawierucha.

— Niby po co? — zapytał Dzika Woda. — Musimy przecież sprawdzić resztę.

— Nie tutaj. — Zawierucha kaszlał i walczył z mdłościami.

— Rąb. Poznamy na oko. Wyrzuć, Krótki. To też! Tfu! Nie zamykaj drzwi!

Otwierali skrzynkę po skrzynce. Jajko po jajku, wybierane na chybił trafił, rąbali na pół. Wszystkie zionęły beznadziejną i nieodwołalną zgnilizną.

— Nie będę się dopominał, żebyś je zjadł, Krótki — szydził Dzika Woda. — Jeśli panowie pozwolą, to będę stąd wiał co sił w nogach. Kontrakt mówił o d o b r y c h jajkach. Jeśli pożyczycie mi sanek z zaprzęgiem, to odwiozę świeże jaja, zanim dosięgnie je ta zaraza. Zawierucha pomógł mu załadować sanki. Krótki usiadł za stołem i zaczął rozkładać pasjansa.

— Powiedz pan, od jak dawna trzymaliście te zapasy? — spytał Dzika Woda, wyciągając rękę na pożegnanie.

Zawierucha nie odpowiedział. Spojrzał na współnika, zobaczył, że jest zajęty, i wziął się do wyrzucania za drzwi skrzynek po mydle.

— Jak mówisz, Krótki, ileś zapłacił za te trzy tysiące? — słodko zapytał Zawierucha.

— Po osiem. Idź do cholery. Nie odzywaj się do mnie. Umiem liczyć tak samo, jak ty. Na tym krachu straciliśmy siedemnaście tysięcy. Dawno obliczyłem — kiedyśmy czekali, żeby zapachniało to pierwsze jajko.

Zawierucha myślał parę minut, po czym znów przerwał milczenie.

— Słuchaj, Krótki. Czterdzieści tysięcy dolarów waży dwieście funtów. Dzika Woda wszedł na górę bez sanek, a te dwa worki złotego piasku, które wyjął z kieszeni futra, ważyły

najwyżej po dwadzieścia funtów. Umówiliśmy się, że zapłata nastąpi przy dostawie towaru. Przyniósł tylko tyle piasku, ile kosztowały nie zepsute jajka. N i g d y nie miał zamiaru płacić za tamte trzy tysiące. Wiedział, że są zepsute. Ale jakim cudem wiedział?

Krótki zgarnął karty, zaczął je tasować i nagle przerwał.

— Fiu! Dziecko ci odpowie. Straciliśmy siedemnaście tysięcy. Tyleż samo zarobił Dzika Woda. Te jajka Gautereaux przez cały czas należały do Dzikiej Wody. Czy jeszcze coś chciałbyś wiedzieć?

— Tak. Zdrowy rozsądek nakazywał sprawdzić, czy jajka nie są zepsute i dopiero potem zapłacić. Czemuś tego nie zrobił?

— Drugie pytanie również łatwe, jak pierwsze. Dzika Woda obliczył swoją złodziejską sztukę z dokładnością do jednej sekundy. Nie miałem czasu na żadne sprawdzanie. Musiałem dobrze się uwijać, żeby zdążyć na termin dostawy.

Pasjans nie wyszedł Krótkiemu właśnie po raz szesnasty z rzędu, a Zawierucha zaczął krzątać się kolo kolacji, gdy do drzwi zastukał pułkownik Bowie, wręczył Zawierusze list i poszedł do domu.

— Widziałeś jego gębę? — pinił się ze złości Krótki. — O mało nie pękł, tak się wstrzymywał. Kroci się wielkie „ha! ha!” z ciebie i ze mnie. Człowiek nie będzie śmiał pokazać twarzy w Dawson.

List był od Dzikiej Wody. Zawierucha przeczytał go na głos.

Moi drodzy!

Przesyłani wyrazi należnego szacunku i proszę o łaskawe przybycie dziś wieczór na kolację u Slavovitcha. Będzie panna Arral, jako też Gautereaux. Byliśmy współnikami w Cierce City pięć lat temu. Równy to gość i będzie moim drużbą. Teraz o jajkach. Przybyły do tej krainy przed czterema laty. Były zepsute, gdy przyjechały. Były zepsute, nim opuściły Kalifornię. I takie już zostały. Jedną zimę spędziły w Carluk, drugą w Nutlik, a ostatnią w Czterdziestej Mili, gdzie zostały sprzedane, bo nie opłacono składowego. Tę zimę spędzą zapewne w Dawson. Nie trzymaj ich pan w ciepłej izbie. Lucille dodaje od siebie, że jednak Wy, ona i ja rozruszaliśmy nieco Dawson — zabawa warta siedemnastu tysięcy. A ja uprzedzam, że za trunki płacicie Wy i wszystko będzie w porządku.

Szczerze oddany

Dz. W.

— Co ty na to? — spytał Zawierucha. — Oczywiście przyjmujemy zaproszenie. Prawda?

— Powiem tylko jedno — odparł Krótki. — Dzika Woda lekko zniesie każdą klęskę. To dobry aktor, cholernie zdolny. I jeszcze coś, wszystko źle obliczyłem. Dzika Woda zarobił siedemnaście tysięcy, to fakt, ale nie koniec na tym. Zrobiliśmy mu prezent z wszystkich dobrych jajek w całym Klondike — 964, w czym dwa dodane na szczęście. A ten psubrat i podlec miał jeszcze, cholernik, czelność wynieść w wiaderku trzy dobre jajka rozbite na próbę. Wreszcie moja trzecia i ostatnia uwaga. Ty i ja jesteśmy prawdziwymi poszukiwaczami złota i doświadczonymi górnikami. Ale tam, gdzie w grę wchodzi sprawy finansowe, jesteśmy najostateczniejszymi frajerami wśród gości, którzy chcą szybko zrobić forszę. Wobec czego zostają nam skaliste góry i wysokie lasy. A jeśli kiedy choćby słowem wspomnisz przy mnie o jajkach, z miejsca wypowiem spółkę. Zrozumiał?

JAK WIESZANO CULTUSA GEORGE'A

Pięli się w górę przez głęboki, sypki śnieg, na którym nie było śladów sanek ani mokasynów. Prowadził Zawierucha, krusząc ciężkimi, krótkimi raketami chrupkie kryształki śniegu. Praca wymagała tęgich płuc i mocnych mięśni. Zawierucha parł naprzód, nie szczczędząc sił. Torowanym przez niego szlakiem ciągnęło jeden za drugim sześć psów, a kłębny pary bijące im z pysków świadczyły, że zwierzęta ciężko pracują, a mróz jest tęgi. Między naręcznym a sankami mordował się Krótki napierając na drążek sterowy i linkę, ciągnął bowiem sanki razem z psim zaprzęgiem. Co pół godziny zmieniali się, gdyż ubijanie śniegu raketami było bodaj jeszcze cięższą pracą niż ciągnięcie sanek.

Dzięki temu, że nie tylko zaprzęg, ale i ludzie byli silni i wypoczęci, mogli sprostać niełatwemu zadaniu: mieli w środku zimy przeprowić się przez łańcuch górski. Aby w tak ciężkich warunkach zrobić w ciągu dnia dziesięć mil, trzeba się było porządnie napracować. Trzymali się dobrze, ale gdy wieczorem włązili do futrzanych śpiworów, padali ze zmęczenia. Przed sześcioma dniami opuścili gwarny obóz Mucluc nad Jukonem. W ciągu dwóch dni zrobili z naładowanymi sankami pięćdziesiąt mil szlakiem w górę Potoku Łosia. A potem zaczęły się zapasy z dziewiczym, głębokim na cztery stopy śniegiem, który właściwie nie był śniegiem, tylko krystalicznym pyłem — tak sypkim, że gdy się go kopnęło, przesypanywał się z suchym szelestem na kształt drobnego cukru. Przez następne trzy dni przebrnęli trzydzieści mil w górę Potoku Karpi i przez pasma wzgórz, przedzielone dolinami strumieni spływających na południe, dotarli do rzeki Siwasz. W tej chwili, minawszy Łyse Wzgórze, wdzierali się na wielki dział wód, skąd z biegiem Potoku Jeżozwierza droga wiodła do średniego biegu Mlecznej Rzeki. Blisko źródeł tej rzeki — jak niosła wieść — leżały pokłady czystej miedzi. To był cel ich wyprawy — miedziana góra. Aby się do niej dostać, należało tam, gdzie Mleczna Rzeka z głębokiego wąwozu wypływa w dolinę okrytą gęstym lasem, skrócić w pierwszy potok na prawo i przejść pół miii jego korytem. Wtedy miedziana góra pokaże się sama. Jednooki McCarthy opisał ją bardzo dokładnie. Nie sposób było zbłądzić — chyba, że McCarthy łął.

Po południu zeszli kanionem ze szczytu, minęli Łyse Wzgórze i za ostrym zakrętem wstąpili na szeroki, stromy stok wiodący ku Potokowi Jeżozwierza. Krótki, który szedł na przedzie, nagle stanął. Zawierucha krzyknął na psy i zatrzymał zaprzęg. Pod górę wspinała się gromada ludzi, rozproszona na przestrzeni ćwierci mili.

— To Indianie, Siwasze. Leżą jak na pogrzebie — zauważył Krótki.

— Nie mają psów — dodał Zawierucha.

— Uhum. Dwóch mężczyzn ciągnie sanki.

— A tam jeden upadł, widziałeś? Są ich ze dwie setki. Coś niedobrego się z nimi dzieje, Krótki.

— Patrz, zataczają się jak pijani. Drugi się zwałił.

— To całe plemię. Z dziećmi.

Na widok dwóch mężczyzn gromada Indian dziko zawyła z radości i przyśpieszyła kroku.

- Nielicho sobie golnęli — powiedział Krótki. — Pokotem kładą się w śnieg.
- Spójrz na twarz tego na przedzie. To głód — wcale nie są pijani. Zjedli psy.
- Co robić? Wiać?
- I zostawić sanki i psy? — tonem wymówki spytał Zawierucha.
- Ani chybi wtroją nas, jeśli nie damy nogi. Wyglądają na dostatecznie głodnych.

Hej, stary! Co ci jest? Nie patrz tak na tego psa. Do garnka nie wlezie. Kape wu?

Indianie, którzy kroczyli na czele, podeszli bliżej i otoczyli kołem Krótkiego i Zawieruchę. W nieznanym narzeczu skarżyli się na swój los. Wyglądali niesamowicie. Nie ulegało wątpliwości, że trawi ich głód. Twarze o zapadłych policzkach i skórze naciągniętej na kości niewiele różniły się od czaszek szkieletów. Przybywało ich coraz więcej, cisnęli się wokół Zawieruchy i Krótkiego, aż dzika tłuszczą zwartym pierścieniem otoczyła obu przyjaciół. Wytarte skóry i nędzne futra na sobie pocięli nożami. Zawierucha domyślił się, co ich do tego skłoniło, gdy ujrzał, jak wychudłe dziecko na plecach *squaw* ssie i żuje strzęp brudnego futra. Inne dziecko gryzło uparcie kawałek rzemienia.

— Cofnąć się! Odejść! — ryczał Krótki, wracając do języka angielskiego, gdy już wyczerpał cały swój niewielki zapas indiańskich słów, który na nic się nie zdał.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, chwiejąc się i zataczając na miękkich nogach, napierali na Krótkiego i Zawieruchę. W błędnych z osłabienia oczach płonął głód i szaleństwo. Jakaś kobieta, pojękując, dojrzała za plecami Krótkiego do sanek, padła na nie i szeroko rozwarłszy ramiona wpiła się palcami w worki. Idąc za jej przykładem, dopadł sanek stary Indianin. Ciężko dysząc usiłował drżącymi rękami rozwiązać rzemienie i dobrać się do worków z żywnością. Jakiś młodzieniec z nożem w ręku rzucił się do sanek, ale został odepchnięty przez Zawieruchę. Tłum naparł jeszcze raz, rozpoczęła się walka.

Zawierucha i Krótki zrazu tylko odpychali i odrzucali napastników. Potem rękojeścią bata i pięściami opędzali się przed oszalałą z głodu czeredą. A przez cały czas stojące z tyłu kobiety i dzieci szlochały i lamentowały. Rzemienie na sankach były już w wielu miejscach poprzecinane. Mężczyźni czołgali się na brzuchach i mimo gradu kuksańców i kopniaków usiłowali ściągnąć worki z prowiantem.

Zawierucha i Krótki podnosili ich i odrzucali. Napastnicy byli tak słabi, że wystarczyło lekko pchnąć, aby walili się w śnieg. Żaden z nich nie podniósł jednak ręki na białych, którzy bronili dostępu do sanek.

Ale tylko dzięki temu, że Indianie byli wycieńczeni, Zawierusze i Krótkiemu udało się odeprzeć ich ataki. Po pięciu minutach mur nacierających mężczyzn rozsypał się w zwaly ludzkich ciał na śniegu. Leżący jęczeli, mamrotali, kwilili i chliali, wpatrując się błędnymi oczyma w prowiant, który mógł im ocalić życie, tak chciwie, że aż ślinka ciekła im z ust. A wokół nich bił w niebo lament kobiet i dzieci.

— Cicho! Och, cicho! — ryczał Krótki, zatykając uszy i ciężko dysząc ze zmęczenia.

— Ach, to tak, tak? — krzyknął, i doskoczywszy do Indianina, który podczołgał się na brzuchu do sanek i chciał dźgnąć w gardziel naręcznego psa, kopniakiem wybił mu nóż z ręki.

— To straszne — szepnął Zawierucha.

— Ale się zgrzałem — odparł Krótki. — Co zrobimy z tym całym szpitalem?

W tej chwili podczołgał się do nich jakiś Indianin. Jednym okiem patrzył na Zawieruchę, nie na sanki. Było to spojrzenie człowieka, w którym zdrowy rozsądek przemógł szaleństwo. Krótki w drugim oku Indianina, zamkniętym i podbitym, rozpoznał własną robotę. Siwasz podniósł się na łokciu i przemówił.

— Ja Carluk. Dobry Siwasz. Znam wiele białe. Bardzo głodny. Wszystkie bardzo głodne. Tamte nie znają białe. Ja znam. Teraz będę jadł. Wszystkie będą jedli. Kupimy jeść. Mamy mnóstwo złota. Nikt nie ma żywności. W lecie łosoś nie przyszedł na Mleczną Rzekę. W zimie karibu nie przyszedł. Nie ma żywności. Mówię do ludzi tak: „Wiele białe przyszło

nad Jukon. Białe mają mnóstwo żywności. Białe kochają złoto. Bierzemy złoto. Idziemy nad Jukon. Białe dadzą jeść”. Mnóstwo złota. Ja wiem, białe kochają złoto.

Odpiął od pasa mieszek i kościanymi palcami usiłował go rozwiązać.

— Za dużo robią hałasu! — krzyknął Krótki, nie panując już nad sobą. — Powiedz babom, powiedz dzieciakom, żeby zamknęły gęby.

Carluk odwrócił się i przemówił do lamentujących kobiet. Inni mężczyźni, słysząc, co powiedział, skrzyczeli niewiasty, które pomału zamilkły i uciszyły dzieci. Carluk zostawił mieszek w spokoju i podniósł rozstawione palce obu rąk w górę, po czym powtórzył ten gest wiele razy.

— Tyle ludzi umarło — powiedział.

Zawierucha liczył. Okazało się, że siedemdziesięciu pięciu członków plemienia zmarło z głodu.

— Ja kupię żywność — oświadczył Carluk, gdy wreszcie otwarł mieszek i wydobył z niego kawał ciężkiego kruszcu. Inni poszli za jego przykładem. Z wszystkich stron wyciągnęły się ręce z podobnymi bryłkami.

Krótki wybałuszzył oczy.

— Rany Julek! — zawołał. — Miedź! Zwyczajna, czerwona miedź! A oni myślą, że to złoto!

— To złoto! — z przekonaniem powtórzył Carluk.

— I w miedzi pokładali całą nadzieję ratunku — mruknął Zawierucha. — Popatrz. Ta bryła waży ze czterdzieści funtów. Wzięli z sobą setki funtów miedzi i dźwigali je, choć sami ledwie powłóczyli nogami. Słuchaj, Krótki. Musimy ich nakarmić.

— Fiu! Łatwo powiedzieć. Mamy prowiantu na miesiąc, sześć posiłków dziennie razy trzydzieści, czyli sto osiemdziesiąt porcji. A Indian jest dwie setki, i apetyty ogromnie im się zaostrzyły. Jakim cudem dać im tutaj choćby jeden posiłek?

— Mamy jeszcze żarcie dla psów — odparł Zawierucha.

— Paręset funtów suszonego łososia, to już jest coś. Trzeba to zrobić.

— Mamy przed sobą dwa diablo trudne zadania, nie wiadomo, które trudniejsze.

Jeden z nas musi kopnąć się do Mucluc i wezwać pomoc. Drugi zostanie w tym lazarecie jako pielęgniarz i najprawdopodobniej będzie zjedzony. Pamiętaj, bracie, że wędrowaliśmy tu sześć dni, a droga z powrotem, chociaż bez bagażu, w najlepszym razie potrwa trzy doby.

Zawierucha policzył szybko w pamięci przebyte mile.

— Jutro w nocy będę w Muciuc — oznajmił.

— Dobra jest — ochoczo zgodził się Krótki. — Zostanę i będę zjedzony.

— Biorę po jednej rybce dla każdego psa — powiedział Zawierucha — i jedną rację dla siebie.

— Musisz wziąć, jeśli jutro w nocy chcesz być w Mucluc.

Zawierucha za pośrednictwem Carluka wyłożył Siwaszom swój plan.

— Rozpalcie ognie, wielkie ognie, dużo ognia — zakończył.

— Mnóstwo białe w Muciuc. Białe bardzo dobre. Białe mnóstwo żywności. Za pięć snów wracam z mnóstwo żywność. Ten człowiek nazywa się Krótki. On zostaje tutaj. Cała żywność tu zostaje. Krótki da wam jeść. On wódz — zrozumieli?

Carluk przetłumaczył mowę Zawieruchy. Mężczyźni kiwali głowami i wznosili gardłowe okrzyki na znak, że się zgadzają.

Wszyscy, którzy mogli się jeszcze ruszać, rozeszli się na chwiejnych nogach lub na czworakach po drzewo. Rozpalono długie ogniska na indiańską modłę i całe plemię rozsiadło się przy nich. Krótki w asyście tuzina mężczyzn, z krótką pałką, gotową w każdej chwili trzepnąć po palcach głodnego natręta, zabrał się gorliwie do kucharzenia. Kobiety topiły śnieg we wszystkich naczyniach, jakie tylko udało się zebrać. Najpierw rozdano wszystkim po cienkim plasterku bekonu, a potem po łyżce cukru, żeby nieco stępić ostry głód. Niebawem

na płonących wokół Krótkiego ogniskach gotowała się w całej baterii garnków fasola, a on sam, piorunując okiem — jak mówił — kłusowników, smażył i rozdawał cieniutkie racuchy.

— Zostaję jako wielki kuchmistrz — powiedział Zawierusze na pożegnanie. — A ty leć. Kłusem do Muciuc i galopem z powrotem. Za dwa dni będziesz w Muciuc, nim wrócisz, miną dalsze trzy doby. Jutro zjedzą ostatnią rybę i przez trzy dni nic nie włożą do gęby. Wracaj, Zawierucha. Wracaj prędko.

Choć sanki były lekkie i niosły tylko sześć suszonych łososi, dwa funty zamrożonej fasoli i boczku oraz futrzany śpiwór, Zawierucha posuwał się naprzód wolno. Zamiast jechać na nich i popędzać psy, musiał maszerować przy drążku sterowym. Poza tym miał już za sobą cały dzień pracy. Sam był zmęczony, a psom też nie dostawało sił. Gdy przeprawił się przez dział wód i zostawił za sobą Łyse Wzgórze, zapadł długi polarny zmierzch.

Z góry psy biegły rażniej. Zawierucha często teraz wskakiwał na sanki i przez chwilę dobywał z psów mordercze tempo sześciu mil na godzinę. Nagle zrobiło się ciemno. Zawierucha znalazł się w nieznannej, szerokiej dolinie, której środkiem płynął jakiś bezimienny potok. Zamiast trzymać się łożyska tego strumienia, wijącego się poprzez doliny zakrętami w kształcie końskich podków, Zawierucha, chcąc zyskać na czasie, zaczął ścinać zakręty. Wynik był taki, że gdy znów dotarł do łożyska, musiał po ciemku szukać śladów sanek. Po godzinie daremnych poszukiwań, wiedząc z doświadczenia, że nie ma sensu błądzić po nocy, rozpałił ognisko, dał psom po pół ryby i podzielił na połowę swą własną rację żywności. Opatulony w futro, zasypiając, zdążył jeszcze rozwiązać zagadkę. W ostatniej dolinie, zamiast skrócić drogę, wjechał w odnogę strumienia i oddalił się o milę od szlaku. Był teraz nad rzeczką poniżej miejsca, w którym wraz z Krótkim przecięli dolinę, przeszli przez strumyk i wspięli się na niewysoki grzbiet.

Z pierwszym brzaskiem dnia ruszył na czczo w górę strumienia. Po przebyciu mili znów znalazł się na szlaku. O suchym pysku człowiek i psy przez osiem godzin bez chwili odpoczynku przedzierali się przez całą sieć strumieni i przez niskie działy wód, a w końcu z biegiem Potoku Karpi. O czwartej po południu, gdy już zaczęło się ściemniać, Zawierucha wydostał się na ubity szlak, wiodący łożyskiem Potoku Łosia. Do celu podróży pozostało pięćdziesiąt mil. Zatrzymał psy, rozpałił ognisko, rzucił psom po pół ryby, odgrzał i zjadł swój funt fasoli. Potem skoczył na sanki, krzyknął „Marsz!”, psy mocno szarpnęły i poszły.

— Dalej, pieski! — wołał. — W Mucluc żarcia w bród! Rwać, wilki! Rwać!

W górniczej gospodzie „Annie” minęła północ. W największej izbie było jeszcze pełno gości. Piece huczały i grzały tak, że przy braku wentylacji w izbie panował nieznośny zaduch. Brzęk sztonów i trzaskanie kostek o stół tworzyły monotony akompaniament dla nie mniej jednostajnego dudnienia basów mężczyzn, którzy rozmawiali, siedząc lub stojąc w małych gromadkach. Obsługa wag miała pełne ręce roboty. Złoty piasek był środkiem obiegowym i nawet dolara za kieliszek whisky przy barze trzeba było, płacić, odsypując piasku na szalę.

Ściany izby zbudowane były z nieokorowanych pni, spomiędzy których wycierał uszczelniający je polarny mech. Przez otwarte drzwi w sali tanecznej dobiegała skoczna melodia tańca *Virginia reel*^{*}, wygrywana na fortepianie i skrzypkach. Właśnie odbyło się ciągnięcie chińskiej loterii i najszcześniejszy z graczy, po zainkasowaniu złotego piasku przy wagach, oblewał wygraną z szóstką najbliższych przyjaciół. Przy faraonie i ruletce ruch był duży, ale niegłośny. Cicho było też przy dwóch stolikach, do których zasiedli w otoczeniu

* *Virginia reel* — amerykańska nazwa starego angielskiego tańca ludowego

kibiców pokerzyści. Gdzie indziej z powagą i w skupieniu toczyła się gra w „Czarnego Jacka”. Głośno było tylko przy kostkach. Jakiś gracz z rozmachem rzucał kostką po zielonym polu, nie mogąc trafić na swój numer, który zwodził go już od dłuższego czasu.

— Och! — wykrzykiwał. — Hop, siup, leci czwóreczka! Jedzie karetą w cztery konie! Raz, dwa, trzy, i mamy czwóreczkę! Uwaga, uwaga! Już ją trzymam w ręku!

Cultus George, atletycznej budowy Indianin z Circle City, stał z boku oparty o ścianę. Był Indianinem cywilizowanym, jeśli oczywiście to, że żył tak samo jak biali, kwalifikowało go jako człowieka cywilizowanego. Cultus George czuł się dotknięty do żywego, chociaż zniewaga nie była dla niego niczym nowym. Od wielu lat wykonywał pracę białego człowieka, ramię w ramię z białymi, a nierzadko lepiej od nich. Nosił takie same jak oni portki, ciepłe, wełniane swetry i grube koszule. Mógł się pochwalić równie dobrym zegarkiem, krótkie włosy z przedziałkiem przyczesywał na bok, jadł to samo co oni: bekon, fasolę, mączne potrawy. A jednak kanadyjski rząd odmawiał mu największej przyjemności białych: whisky. Cultus George pieniędzy miał dość. Wytyczał działki, kupował je i sprzedawał. Przyjmował, jak inni, współnika, którego wkład stanowiła żywność, kiedy indziej sam wnosił żywność na poczet udziału. Obecnie był poganiaczem psów i przewoźnikiem, pobierającym dwadzieścia osiem centów od funta towaru przewiezonego w zimie z Sześćdziesiątej Mili do Mucluc, a za bekon, zgodnie z przyjętą taryfą — trzydzieści trzy centy. Jego mieszek pęczniał od złotego piasku. Stać go było na niejedną kolejkę whisky. A jednak nie chciał obsłużyć go żaden barman. Musiał uciekać się do krętałów, tchórzliwych i kosztownych, jeśli chciał się czegoś napić. Tej nocy paliło go większe niż zwykle pragnienie i dotkliwiej odczuwał zniewagę. Biali łaskawie zezwalali mu tracić złoto przy stolach gry, ale za nic w świecie nie mógł dostać napitku przy ich barze.

Virginia reel w sali tańca zakończył się dzikim galopem, który jednak nie zmącił snu trzech znanych pijusów, chrapiących pod fortepianem.

— Para za parą do baru! — zabrzmiał ostatni okrzyk wodzireja, gdy umilkła muzyka. Tancerze wchodzili właśnie przez szerokie drzwi parami do głównej izby gospody — mężczyźni w futrach i mokasynach, kobiety w lekkich i zwiewnych toaletach, jedwabnych pończochach i balowych pantoflach — gdy podwójne drzwi przeciwburzowe rozwarły się nagle i chwiejnym krokiem wszedł Zawierucha Bellew.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu i pomału ucichło. Zawierucha chciał coś powiedzieć, ściągnął rękawice i zaczął zdzierać skorupę lodu, utworzoną przez parę z ust w czasie pięćdziesięciomilowego biegu. Postać chwilę niepewnie, po czym podszedł do baru i oparł się łokciem o ladę.

Tylko uparty gracz, nie odwracając głowy, dalej rzucał kostką i krzyczał swoje: „Hop, siup, leci czwóreczka!” Gdy jednak spojrzął na twarz właściciela stołu, wpatrzoną w Zawieruchę, obejrzał się i kostka uwięzła mu w dłoni.

— Zawierucha, co się stało? — zapytał Matson, właściciel gospody.

Zawierucha zdarł resztę lodowej skorupy wokół ust.

— Tam są psy... ledwie zipią — powiedział ochrypłym głosem. — Niech ktoś wyjdzie i zaopiekuje się nimi, a ja powiem, co się stało.

Krótko i węzłowato przedstawił sytuację. Gracz w kostki zostawił pieniądze na stole, dał spokój „czwóreczce”, która tak długo wodziła go za nos, poszedł do Zawieruchy i odezwał się pierwszy.

— Trzeba coś zrobić. Co proponujesz? Gadaj.

— Powiem, co o tym myślę — zaczął Zawierucha. — Trzeba piorunem naszykować lekkie zaprzęgi. Powiedzmy, sto funtów żywności na każde sanki. Ekwipunek poganiacza i żarcie dla psów, to jeszcze pięćdziesiąt funtów. Ale z takim obciążeniem mogą się pośpieszyć. Powiedzmy, że natychmiast wyślemy pięć takich zaprzęgów — najszybsze psy, z tych, co pożerają szlak. Na nie przetartym śniegu będą prowadzić na zmianę. Muszą odjechać

natychmiast. Zanim tam przybędą, Indianie w najlepszym razie przez trzy dni nie będą mieli co włożyć do gęby. Dalej, jak tylko ruszy pierwsza wyprawa, pojedziemy za nią ciężkimi zaprzęgami. Obliczcie sami. Żeby Indianin mógł maszerować, musimy mu dać co najmniej dwa funty żywności dziennie. Razem — czterysta funtów na dzień. Ze starcami i dziećmi przyprowadzimy ich tutaj najprędzej w ciągu pięciu dni. No więc, co robimy?

— Złożymy się i kupimy żarcie — powiedział gracz w kostki.

— Za żywność mogę zapłacić sam... — odparł niecierpliwie Zawierucha.

— A guzik! — przerwał mu gracz. — To nie twoja kolejka. Złożymy się wszyscy.

Dawaj no który miskę. Zrobi się raz, dwa. To na dobry początek.

Wyciągnął z kieszeni ciężki mieszek i rozwiązał. Na miskę posypał się strumień złotego piasku i złotych bryłek. Stojący obok mężczyzna zaklął, złapał go za rękę, szarpnął i podniósł w górę otwór worka. Na miskę spłynęło już sześć do ośmiu uncji złota.

— Nie bądź świntuchem! — krzyknął inny. — Nie ty jeden masz worek złota. Zostaw miejsce dla mnie.

— Ohoho! — szydził gracz w kostki. — To nie bieg do złota. Czego się, psiakostka, pchasz?

Tłoczyli się i rozpychali łokciami, każdy chciał jak najprędzej wziąć udział w składce. Kiedy już wszyscy dali upust swej ofiarności, Zawierucha zważył w rękach ciężką miskę i wyszczerzył zęby.

— Można będzie karmić za to całe plemię do końca zimy — powiedział. — A teraz psy. Pięć lekkich zaprzęgów, szybkich w nogach.

Zgłoszono tuzin zaprzęgów. Cały obóz, niczym komisja kwalifikacyjna, spierał się, dyskutował, przyjmował i odrzucał zgłoszenia.

— Co? Twoje smoki? — spytał ktoś Długiego Billa Haskella.

— Dobrze ciągną — obruszył się Bill, dotknięty do żywego.

— Ciągną na pewno. Tylko za skarby świata nie przyspieszą kroku. Zbudowane są tak solidnie, że nadają się tylko do ciężkiego ładunku.

Ledwie któryś zaprzęg został wybrany, jego właściciel, w asyście pół tuzina pomocników, wychodził zaprzęgać i szykować się do odjazdu.

Jeden zaprzęg został odrzucony, ponieważ dopiero po południu wrócił zmęczony z drogi. Drugi zaprzęg właściciel postawił do dyspozycji, ale na swoje usprawiedliwienie pokazał obandażowaną kostkę, przez którą sam musiał zostać w domu. Zaprzęg ten wziął Zawierucha, nie słuchając głosów, że jest zmordowany.

Długi Bill Haskell zwrócił uwagę, że wprawdzie zaprzęg Tłustego Olsena jest wyścigowy, ale sam Tłusty Olsen to przecież słoń. Dwieście czterdzieści funtów żywej wagi Tłustego Olsena aż się zatrzęsło z oburzenia. Łzy gniewu stanęły mu w oczach. Zaczął się pieklić i przestał dopiero wtedy, gdy go włączono do ciężkiej artylerii, z czego natychmiast skorzystał gracz w kostki, biorąc w swe ręce lekki zaprzęg Olsena.

Po zatwierdzeniu pięciu lekkich ekip jedni zaprzęgali psy, inni ładowali sanki, ale tylko czterech poganiaczy zadowolilo komitet organizacyjny.

— Zapomnieliście o Cultusie George'! krzyknął ktoś.

— To przecież pierwszej klasy poganiacz, a do tego świeży i wypoczęty.

Wszyscy spojrzeli na Indianina, ale on zachował kamienną twarz i milczał.

— Weźmiesz jeden zaprzęg — powiedział do niego Zawierucha.

Indianin nie odpowiedział. Zrobił się ruch. Zawierucha, twarzą w twarz z Cultusem, znalazł się w środku zwartego pierścienia. Zdał sobie sprawę, że przypada mu rola przedstawiciela kolegów w scenie, jaka się teraz rozegra. Ogarnął go gniew. Nie mieściło się w głowie, że znalazł się człowiek, który obojętnie patrzy, jak inni z takim zapałem deklarują swą pomoc. Nie przyszło mu na myśl, że Indianin trzyma się na uboczu z innych powodów. Dopatrywał się w tym jedynie egoizmu i chęci zysku.

— Weźmiesz zaprzęg — powtórzył.

— Ile dolarów? — zapytał Cultus George.

Z gardeł górników dobył się mimowolny charkot, gniew wykrzywił im usta. Z zaciśniętymi pięściami napierali na winowajcę.

— Zaraz, zaraz! — zawołał Zawierucha. — Słuchaj, George. Nikt za to nie bierze pieniędzy. Ludzie dają wszystko, żeby ocalić dwustu Indian od śmierci głodowej. — Czekaj na odpowiedź.

— Ile? — zapytał Cultus George.

— Czekajcie chłopcy! Słuchajże, George. Jesteś w błędzie. Widziałeś, co inni robią — sypią złotym piaskiem, dają psy i sanki, jeden przez drugiego rwie się na szlak. Z pierwszymi zaprzęgami mogą pojechać tylko najlepsi. Powinieneś być dumny z tego wyboru. Uważamy cię za najlepszego poganiacza. Nie chodzi o to, ile, tylko jak szybko.

— Ile? — zapytał Cultus George.

— Zabić! Łeb mu rozwalić! Dawać smołę i pierze! — dały się słyszeć okrzyki wśród straszliwej wrzawy, jaka wybuchła w izbie.

W samym środku burzy stał niewzruszony Cultus George, a Zawierucha odpychał najbardziej zapalczywych i krzyczał:

— Stać! Kto prowadzi tę sprawę?

Tumult ucichł.

— Przynieście sznur — dodał spokojnym głosem.

Cultus George wzruszył ramionami. Na jego twarzy pojawił się grymas niedowierzania. Znał plemię białych ludzi. Zbyt długo pracował z nimi na szlaku, aby mógł ich nie znać. Zawsze karali człowieka, który złamał prawo. Ale on prawa nie naruszył. Ani nie zabił, ani nie ukradł, ani nie skłamał. Prawo białego człowieka wcale nie zabraniało pobierania zapłaty i robienia interesów. Zawsze postępowali tak sami. On nie uczynił teraz nic innego, tylko to, czego nauczył się od nich. A zresztą jeśli nie jest wart, żeby z nimi pić, to niby dlaczego miałby się razem z nimi nad kimś litować?

Ani Zawierucha, ani nikt z obecnych nie przejrzał myśli Cultusa. Był dla nich samolubnym dzikusiem, tym samym, czym byli oni dla George'a.

Kiedy przyniesiono linkę, Długi Bill Haskell, Tłusty Olsen i gracz w kostki niezgrabnie, rękami drżącymi z gniewu i pośpiechu, założyli Indianinowi pętlę na szyję i przerzucili sznur przez belkę u powały. Przy drugim końcu dyndającej linki stanęło ze dwunastu chłopów, gotowych pociągnąć ją w dół.

Cultus George nie bronił się wcale. Wiedział, co to jest — lipa. Biali są jedyni do zalewania kolejki. A jak kupują, sprzedają i handlują, to mało w tym zwykłego oszustwa?

— Czekajcie! — rozkazał Zawierucha. — Zwiążcie mu ręce. Żeby się nie wspinał po lince.

Jeszcze jedna zgrywa — pomyślał Cultus George i nie bronił się, gdy wiązano mu ręce na plecach.

— Pytam po raz ostatni, George — powiedział Zawierucha. — Weźmiesz zaprzęg?

— Ile? — spytał Cultus George.

Zawierucha, zdumiony, że może zrobić coś podobnego, a równocześnie rozjuszony upartym egoizmem Indianina, dał znak. Nie mniej zdumiony był Cultus George, gdy poczuł że pętla gwałtownie zacisnęła mu się wokół szyi i poderwała w górę. Cały jego upór jak ręką odjął. Na twarzy wisielca pojawiły się szybko po sobie zdziwienie, strach i ból.

Zawierucha niespokojnie obserwował George'a. Sam nigdy jeszcze nie był wieszany i nie miał w tych sprawach żadnego doświadczenia. Ciało George'a rzucało się spazmatycznie, splecione ręce usiłowały zerwać więzy, z gardła dobywało się przykre rzeżenie świadczące, że się dusi. Nagle Zawierucha podniósł rękę.

— Puścić! — rozkazał.

Dał się słyszeć pomruk niezadowolenia ze zbyt krótkiej kary. Ale Cultus George powoli zjechał na podłogę. Oczy wylażyły mu na wierzch, ledwie się trzymał na nogach, zataczał się na wszystkie strony i wciąż szarpał rękami. Zawierucha szybko wetknął palce między sznur a szyję, szarpnął i rozluźnił pętlę. Pierś Cultusa George'a wzdęła się, złapał pierwszy oddech.

— Czy weźmiesz zaprzęg? — spytał Zawierucha.

Cultus George zmagął się z sobą. Nie był tchórzem. Może biali nie posuną się dalej, jeśli więc ustąpi, wyjdzie na dumnia. W tej samej chwili Zawierucha lękał się w głębi duszy, że Indianin się uprze i zostanie powieszony.

— Ile? — spytał Cultus George.

Zawierucha już podniósł rękę, żeby dać znak.

— Jadę — szybko wyrzekł George, zanim linka zdążyła się zacisnąć.

A kiedy ekspedycja ratunkowa dotarła do mnie — opowiadał w „Annie” Krótki — ten sam niesforny Cultus George przybył pierwszy, o trzy godziny wyprzedzając sanki Zawieruchy. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na to, że Zawierucha był drugi. Tak czy inaczej, czas był ostatni, gdy usłyszałem, jak Cultus George drze się na psy, zjeżdżając z góry, bo te szkaradne Siwasze już zjadły mi mokasyny, rękawice, rzemyki i pochwę na nóż, a poniekąd zaczęli z szalonym apetytem spozierać na mnie — byłem lepiej od nich odżywiony, rozumiecie?

NOWE MIASTO TRALLA

Zawierucha i Krótki spotkali się na rogu ulicy, niedaleko szynku „Pod Łosiem”. Na obliczu pierwszego malowało się zadowolenie. Szedł szparkim krokiem. Krótki na odwrot — laził jak półtora nieszczęścia.

— Dokąd to? — zaczepił go Zawierucha.

— Niech mnie kolka ściśnie, jeśli wiem — odparł Krótki zbolalym głosem. — A bardzo bym chciał wiedzieć. Nic mnie nigdzie nie ciągnie. Przez dwie, godziny rznąłem w śmiertelnie nudnego pokera. Żadnych wrażeń, karta nikomu nie szła, zostałem przy swoim. Zagrałem ze Skiffem Mitchellem robra *cribbage* o kolejkę, a teraz tak mi się okrutnie cknę, że spaceruję sobie po mieście i wypatruję jakiej psiej burdy, kłótni albo czego.

— Mam coś lepszego na oku — odparł Zawierucha. — Chodź ze mną.

— Zaraz?

— Rozumie się.

— Dokąd?

— Na drugi brzeg rzeki. Odwiedzić starego Dwighta Sandersona.

— Pierwszy raz o nim słyszę — odrzekł Krótki z kwaśną miną. — Jak żyję, nie słyszałem, żeby ktoś mieszkał za rzeką. Czego on tam szuka? Piątej klepki?

— Sanderson ma coś do sprzedania — roześmiał się Zawierucha.

— Psy? Kopalnię złota? Tytoń? Gumowe buty?

Na każde z pytań Zawierucha potrząsał głową.

— Chodź, to się dowiesz. Chcę coś kupić od niego na handel. Mogę cię przypuścić do spółki.

— Tylko mi nie mów, że to są jajka! — krzyknął Krótki, a twarz wykrzywiła mu się z przerażenia.

— No, chodź. Pozwolę ci zgadywać do dziesięciu razy, po drodze przez rzekę.

U wylotu ulicy zeszli z wysokiego brzegu i znaleźli się na okrytym lodem Jukonie. Naprzeciw, w odległości trzech czwartych miili, wznosiły się nadbrzeżne urwiska, sięgające paruset stóp wysokości. Wiodła ku nim słabo utarta ścieżka, która wiła się między porozbijanymi i poprzewracanymi bryłami lodu. Krótki deptał przyjacielowi po piętach, zachodząc w głowę, co też Dwight Sanderson może mieć do sprzedania.

— Renifera? Kopalnię miedzi, a może cegielnię? To jedno rozwiązanie. Futra niedźwiedzie albo inne? Losy na loterię? Kartoflisko?

— Ciepło, ciepło — zachęcał Zawierucha. — A nawet gorąco.

— Dwa kartofliska? Fabrykę sera? Pole mchu?

— Nieźle, nieźle, Krótki. Całkiem niedaleko.

— Kamieniołom?

— Tak jest tak samo blisko, jak pole mchu i kartoflisko.

— Czekaaj, niech pomyślę. Mam jeszcze jeden punkt.

Mijały minuty.

— Słuchaj. Nie będę sobie łamał głowy. Jeśli rzecz, którą kupujesz, przypomina kartoflisko, pole mchu i kamieniołom, to ja cię przeproszam. A do spółki nie przystąpię, póki tego nie zobaczę i nie pomacam. Co to jest?

— Niebawem ujrzysz karty wyłożone na stół. Widzisz tam w górze dym z komina? To jest dom, w którym mieszka Dwight Sanderson. Jest posiadaczem terenów, na których można założyć całe miasto.

— I co jeszcze posiada?

— Nic więcej — roześmiał się Zawierucha. — Ma jeszcze reumatyzm.

— Stój! — Ręka Krótkiego spadła na ramię przyjaciela i zatrzymała go. — Nie powiesz mi chyba, że kupujesz parcele pod miasto na tym wygwizdowie?

— Za dziesiątym razem zgadłeś. Idziemy.

— Chwileczkę — prosił Krótki. — Spójrz. Same urwiska, cały czas do góry i na dół. Gdzież tu stanie miasto?

— Albo ja Wiem.

— Więc nie kupujesz tego pod zabudowę?

— Dwight Sanderson sprzedaje parcele, aby zbudowano na nich miasto. Chodź.

Wdrapiemy się na tę górę.

Stok był stromy. Wąska ścieżka pięła się zygzakiem wysoko, niczym podniebna drabina Jakuba. Krótki jęczał i stękał na każdym ostrym zakręcie i stromym podejściu.

— I buduj tu miasto! Nie znajdziesz równego kawałka takiej wielkości, żebyś mógł na nim znaczek pocztowy nalepić. Sanderson wybrał zły brzeg. Cały ruch idzie po tamtej stronie rzeki. Spójrz na Dawson. Jest tam miejsca w bród jeszcze dla czterdziestu tysięcy.

Zawierucha, ja wiem, że ty tego nie kupujesz pod miasto. Po kiego diabła to robisz?

— Na handel, rzecz jasna.

— Ale inni nie mają takiego fioła, jak ten staruch Sanderson i ty.

— Może mają innego, mój drogi. Dość na tym, że kupuję te budowlane tereny, wytyczę parcele i będę je sprzedawał szerokim rzeszom zdrowych na umyśle mieszkańców Dawson.

— Fiu! Całe Dawson jeszcze się podśmiewa z nas i tych jajek. Chcesz, żeby mieli nowy powód do śmiechu?

— To na pewno.

— Tylko że to cholernie dużo kosztuje, mój drogi. Pomogłem ci rozśmieszyć całe miasto, ale udział w tej hecy z jajami kosztował mnie prawie dziewięć tysięcy dolarów.

— No, dobrze. Jeśli mi pomożesz, przyrzekam, że odzyskasz co do grosza całą fortunę straconą na jajkach.

— Ach, pomogę chętnie. Niech się ludziska jeszcze trochę ze mnie pośmieją. Co stary Sanderson chce dostać? Parę setek?

— Dziesięć tysięcy. Ale mam nadzieję, że sprzeda mi za pięć.

— Jaka szkoda, że nie jestem pastorem! — głęboko westchnął Krótki.

— Czemu?

— A bobym wygłosił piekielnie kwieciste kazanie na temat, który może ci się obił o uszy, a mianowicie: o głupcu i jego pieniądzech.

— Wejść! — gniewnie wrzasnął Dwight Sanderson, gdy zapukano do drzwi. Siedział w kucki przy kamiennym kominku i tłukł kawę owiniętą w kawał płótna z worka po mące.

— Czego? — zapytał szorstko, sypiąc kawę do garnka, który stał na rozżarzonych węglach.

— Chcemy pomówić o interesach — odparł Zawierucha. — Jeśli się nie mylę, to pan ma tereny pod budowę miasta. Ile pan za nie chce?

— Dziesięć tysięcy dolarów — padła odpowiedź. — Słyszeliście, śmieJCie się i wynocha! Drzwi są tam. Cześć!

— Ale ja nie ma ochoty na żarty. Znam mnóstwo rzeczy znacznie zabawniejszych od wspinaczki na te pańskie turnie. Chcę kupić tereny pod zabudowę.

— Kupić pan chcesz, tak? No, cóż, miło mi słyszeć głos rozsądku. — Sanderson podszedł i usiadł naprzeciw swych gości. Oparł się rękami o stół i raz po raz rzucał bystre spojrzenia z stronę garnka z kawą. — Powiedziałem panu swoją cenę i nie wstydzę się powtórzyć. Dziesięć tysięcy. Możesz pan się śmiać albo kupić, wszystko jedno.

Aby okazać swą obojętność, bębnił sękatymi palcami po stole i zaczął, nie spuszczając z oka garnka, podśpiewywać monotonnym głosem: tra-la-la, tra-la-li, tra-la-la.

— Panie Sanderson — odezwał się Zawierucha. — Tereny nie są warte dziesięciu tysięcy. Można za nie żądać tak samo dziesięć, jak i sto tysięcy. Ale jeśli nie są warte stu tysięcy, o czym pan dobrze wie, to dziesięć centów też byłoby za dużo.

Sanderson bębnił palcami i nucił swoje tra-la-la, tra-la-li aż do chwili, gdy kawa się zagotowała. Wówczas strącił fusy odrobiną zimnej wody, postawił garnek na skraju gorącego paleniska i wrócił na swoje miejsce.

— A ile pan daje? — zapytał.

— Pięć tysięcy.

Krótki jęknął.

Przez jakiś czas słychać było tylko bębnienie i tralalanie.

— Nie jesteś pan durniem — nagle oznajmił Sanderson Zawierusze. — Powiedział pan, że jeśli tereny nie są warte stu tysięcy, to nie są warte dziesięciu centów. A jednak dajesz pan pięć tysięcy. To znaczy, że mogę dostać i sto.

— Nie dostaniesz pan nawet dwudziestu centów — zaperzył się Zawierucha. — Choćbyś tu siedział do chwili, gdy się rozsypiesz w próchno.

— Dostanę od ciebie.

— Nie, ja nie dam.

— No, to będę siedział, aż się rozsypię w próchno — odparł Sanderson tonem przesadzającym sprawę.

Przestał zwracać uwagę na gości i zaczął się krzątać, jakby był sam w domu. Odgrzął garnek fasoli, podsmażył pajdę chleba, nakrył do stołu na jedną osobę i zabrał się do jedzenia.

— Nie, dziękuję — burknął Krótki. — Nie jesteśmy głodni. Jedliśmy w domu tuż przed wyjściem.

— Proszę pokazać papiery — powiedział wreszcie Zawierucha.

Sanderson pogrzebał pod poduszką swego wyra i wyciągnął plik dokumentów.

— Papiery są takie, że mucha nie siada — zapewnił. — Ten długi, z wielkimi pieczęciami, przyszedł prosto z Ottawy. Terytorialne władze nie miały tu nic do gadania. Sam kanadyjski rząd odpalił mi prawo własności terenów pod moje miasto.

— Ileś pan sprzedał parcel przez te dwa lata? — spytał Krótki.

— Nie pański interes — zgromił go Sanderson. — Właściciel terenów osadniczych może mieszkać na nich sam, jeśli mu tak się podoba. Żadne prawo tego nie zabrania.

— Dam pięć tysięcy — oświadczył Zawierucha.

Sanderson potrząsnął głową.

— Nie wiem, który ma większego hyzia — skarżył się Krótki. — Słuchaj, wyjdziemy na chwilę. Coś ci powiem.

Zawierucha uległ namowom współnika.

— Czy ci nie przyszło do łepety — zaczął Krótki, gdy stanęli na śniegu za drzwiami — że na prawo i lewo od tego zbrukowanego miejsca jest do diabła i trochę bezpańskich urwisk, które możesz wziąć sobie i wytyczyć kołkami?

— Nie nadają mi się.

— Czemu?

— Dziwi cię, dlaczego kupuję akurat te grunty, skoro jest tyle bezpańskiej ziemi?

— No, pewnie — przytaknął Krótki.

— O to właśnie chodzi — triumfował Zawierucha. — Jeśli dziwi to ciebie, zadziwi również innych. I zaraz tu przylecą. Twoje zdziwienie dowodzi, że moje rachuby oparte są na psychologicznych przesłankach. Wytnę całemu Dawson taką sztukę, że odechce im się śmiać z tamtych jajek. Chodźmy do środka.

— Cześć! — zawołał Sanderson, gdy weszli z powrotem.

— Myślałem, że już was moje oczy nie zobaczą.

— Więc jakie jest pańskie ostatnie słowo? — spytał Zawierucha.

— Dwadzieścia tysięcy.

— Dam dziesięć.

— Niech będzie. Tyle właśnie chciałem od początku. Kiedy wybuli pan forszę?

— Jutro, w Banku Północno-Zachodnim. Ale stawiam dwa warunki. Po pierwsze, jak pan odbierze te dziesięć tysięcy, wywedruje pan do Czterdziestej Mili i zostanie tam do końca zimy.

— Nic trudnego. Co jeszcze?

— Wypłacę panu gotówką dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a pan mi potem udzieli rabatu w wysokości piętnastu tysięcy.

— Ze mną jak z dzieckiem. — Tu Sanderson zwrócił się do Krótkiego. — Ludzie mówili, że mam bzika, gdym się osiedlił w tym miejscu, gdzie ma powstać nowe miasto — kpił w żywe oczy. — Ale mój fioł był wart dziesięciu tysięcy, prawda?

— W Klondike roi się od pomyleńców — odparł Krótki.

— Trafi się czasem ślepej kurze ziarno, prawda?

Na nic więcej Krótki się nie zdobył.

Na drugi dzień nastąpiła formalna cesja należących do Dwighta Sandersona terenów, „które odtąd będą się zwały terenami przyszłego miasta Tra-La” — jak na żądanie Zawieruchy stwierdzono w umowie. Tego samego ranka kasjer Banku Północno-Zachodniego odważył złotego piasku Zawieruchy za dwadzieścia pięć tysięcy. Gromada przygodnych świadków bacznie obserwowała szale i dobrze zapamiętała, ile było złotego piasku i kto go otrzymał.

W górniczej osadzie wystarczy jedno podejrzanе poruszenie, aby ludzie wietrzyli tajemne odkrycie złota. Różne domysły wzbudzić może nawet zwyczajna wyprawa na łosie albo nocny spacer, podyktowany chęcią obejrzenia zorzy polarnej. Toteż kiedy dowiedziano się, że nie byle kto, tylko sam Bellew Zawierucha zapłacił dwadzieścia pięć tysięcy dolarów staremu Dwightowi Sandersonowi, całe Dawson ciekawe było, za co Bellew zapłacił. Cóż takiego Sanderson, przymierający głodem na pustkowiu, mógł mieć, co byłoby warte tylu pieniędzy? Wszyscy gorączkowo roztrząsali to zagadnienie.

Koło południa powszechnie już było wiadomo, że kilkudziesięciu poszukiwaczy złota przygotowało lekki ekwipunek marszowy i zamelinowało w najdogodniejszych miejscach — po szynkach przy ulicy Głównej. Gdziekolwiek się Zawierucha ruszył, śledziły go dziesiątki par oczu.

O tym, jak dalece poważnie go traktowano, świadczył fakt, że nikt ze znajomych nie ośmielił się spytać go o transakcję zawartą z Sandersonem. Krótki był pod podobnym dozorem i odnoszono się do niego z równie przyjazną dyskrecją.

— Czuję się, jakbym kogoś zamordował albo dostał ospy, tak mi depczą po piętach i unikają rozmowy ze mną — zwierzył się Krótki Zawierusze, gdy się spotkali przed „Jelenim Rogiem”. — Popatrz, drugą stroną ulicy idzie Bill Saltman. Umiera z ochoty spojrzenia w naszą stronę, ale wbił oczy w ziemię. Myślałby kto, żeśmy przestali dla niego istnieć. Wiesz co? Założę się o kolację, że jeśli teraz nagle skęcimy na rogu, jakbyśmy się gdzieś wybierali, a na następnym rogu zawrócimy, to wpadniemy na niego. Będzie leciał za nami na złamanie karku.

Spróbowali tej sztuczki i rzeczywiście, gdy skręcili na drugim rogu, natknęli się na Saltmana, który sadił za nimi długim, marszowym krokiem.

— Serwus, Bill! — powitał go Zawierucha. — Dokąd to?

— Serwus. Na spacer — odparł Saltman. — Idę sobie na spacer. Piękna pogoda, co?

Kiedy Krótki karmił wieczorem psy, czuł najwyraźniej, że z tuzin par oczu świdruje otaczające ciemności i patrzy na niego. A gdy nie spuścił psów na noc jak zwykle, lecz uwiązał je krótko, doskonale zdawał sobie sprawę, że raz jeszcze szarpnął nerwami całego Dawson.

Zawierucha, zgodnie z planem, zjadł kolację w mieście, po czym zapragnął nieco się rozerwać. Gdziekolwiek się zjawił, budził ogólne zainteresowanie, a umyślnie często zmieniał lokal. Szynki wypełniały się po jego przybyciu, pustoszały, gdy wyszedł. Jeśli kupił stos fiszek przy sennej ruletce, w ciągu pięciu minut zbierała się przy stole cała paczka graczy. Zemścił się nieco na Lucille Arral: wstał i wybiegł z sali Wielkiej Opery właśnie, gdy wyszła na scenę, by zaśpiewać swą najpopularniejszą piosenkę. Nie minęły trzy minuty, a trzy czwarte publiczności wymknęło się z widowni w pogoni za nim.

O pierwszej w nocy Zawierucha przeszedł niezwykle ożywioną ulicą Główną pod górkę do swej chaty. Gdy przystanął po drodze, usłyszał za sobą chrzęst śniegu pod mokasynami.

Przez godzinę w chacie było ciemno. Potem Zawierucha zapalił świeczkę. Gdy minął czas potrzebny na ubranie się, wyszedł z Krótkim na dwór i zaczęli zaprzęgać psy. Przez otwarte drzwi padło na nich światło. Usłyszeli, że niedaleko ktoś cicho gwizdnął. Rozległy się dalsze gwizdy, coraz niżej.

— Słuchaj — chichotał Zawierucha. — Rozstawili czaty, podają wiadomość z ust do ust i informują miasto. Założę się, że w tej chwili czterdziestu chłopów roluje koce i wskakuje w spodnie.

— Głupi ludek — zaśmiał się Krótki. — Sam widzisz, że po prostu leżą w sidła. Dzisiaj frajer, który pracuje własnymi rękami, jest... jasna rzecz, frajerem. Na świecie aż się przelewa od durniów, którzy proszą się, żeby ich oskubać z forsy. Zanim zjedziemy z górki, chciałbym ci oświadczyć, że — jeśli się nie rozmyśliłeś — przystępuję do tego interesu. Sanki były naładowane lekko. Zabrali tylko śpiwory i żywność. Nieduży zwój stalowego kabla dyskretnie wyzierał spod worka z prowiantem, a na samym spodzie sanek leżał źle ukryty żelazny łom. Krótki, już w rękawicach, pogłaskał zwój kabla i jeszcze raz dotknął ręką łomu.

Jak najciszej zjechali z pagórka w dolinę i ulicą Główną podążyli w kierunku północnym, w stronę tartaku, oddalając się od centrum miasta. Po drodze nie spotkali żywej duszy, a jednak gdy skręcili, za nimi, w mroku przetartym mdłym blaskiem gwiazd, rozległ się gwizd. Minęli tartak i szpital. Żwawym kłusem przejechali jeszcze z ćwierć mili, po czym nawrócili i tą samą drogą podążyli w stronę miasta. Ledwie zrobili sto jardów, omal nie przejechali pięciu mężczyzn, biegnących ostrym kłusem. Wszyscy piechurzy uginali się nieco pod lekkim ekwipunkiem górniczym. Jeden z nich zatrzymał przodownika Zawieruchy, inni otoczyli sanki.

— Widzieliście sanki, jadące w tamtą stronę?

— Nie — odparł Zawierucha. — To ty, Bill?

— A, psiakrew! — krzyknął Bill Saltman szczerze zdziwiony. — Zawierucha!

— Co wy tu robicie po nocy? — dopytywał się Zawierucha. — Na spacer?

Zanim Bill Saltman zdążył odpowiedzieć, nadbiegli jeszcze dwaj mężczyźni i dołączyli do gromadki. Przybywali dalsi biegacze, a chrzęst śniegu zapowiadał, że zbliża się wielu innych.

— To wszystko twoi przyjaciele? — zapytał Zawierucha.

— Dokąd ta gonitwa?

Saltman nie odpowiedział, tylko zapalił fajkę. Sztuczka była aż nadto przejrzysta: chciał przy świetle zapalki przyjrzeć się sankom. Zawierucha zauważył, że wszystkie oczy wpatrzyły się w zwój kabla i żelazny łom. Zapałka zgasła.

— Nie, tylko chodzą różne słuchy, rozmaicie ludzie gadają — wymamrotał Saltman, ważąc każde słowo.

— Mógłbyś Krótkiego i mnie dopuścić do tajemnicy — nalegał Zawierucha.

Ktoś z tyłu parsknął śmiechem.

— A wy dokąd się wybraliście? — spytał Saltman.

— A ty kto jesteś? — odparł Zawierucha. — Obywatelski komitet bezpieczeństwa?

— Spytałem z prostej ciekawości, z prostej ciekawości — bronił się Saltman.

— Żebyś taki zdrow był. My też z prostej ciekawości — odezwał się w mroku czyjś głos.

— Chciałbym wiedzieć — zauważył Krótki — kto tu najbardziej pachnie durniem.

Wszyscy roześmieli się nerwowo.

— No, Krótki, jedziemy — powiedział Zawierucha i krzyknął na psy.

Tłum pomaszzerował za nimi.

— A możecie zabłądzili? — kpił Krótki. — Gdyśmy was spotkali, toście gdzieś szli, a teraz wracacie, choć nigdzie nie byliście. Może zgubiliście mapę?

— Idź do diabła! — uprzejmie odparł Saltman. — Chodzimy, gdzie nam się podoba. Podróżujemy bez map.

Sanki, z Zawieruchą na czele i Krótkim przy drążku sterowym, eskortowane przez sześćdziesięciu piechurów dźwigających plecaki na grzbietach, przedelfilowały ulicą Główną.

Była trzecia nad ranem.

W pół godziny później znaleźli się na górcie. Przed drzwiami chaty wyprzęgli psy. Sześćdziesięciu piechurów asystowało przy tym z ponurymi minami.

— Dobranoc, chłopcy! — krzyknął Zawierucha i zamknął drzwi.

W pięć minut później zgasił świecę, lecz po upływie pół godziny wykradli się cichcem na podwórko i jęli po ciemku zaprzęgać psy.

— Czołem, Zawierucha! — powiedział Saltman, zbliżając się do nich na tyle, że ujrzeli jego sylwetkę.

— Widzę Bill, że się ciebie nie pozbędziemy — wesoło odparł Zawierucha. — Gdzie twoi przyjaciele?

— Poszli na jednego. Zostawili mnie tu, żebym miał oko na was, no to stoję i patrzę. Powiedz, Zawierucha, co w trawie piszczy? Nie pozbędziesz się nas, więc może byś przypuścił do tajemnicy? Wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Dobrze wiesz.

— Są takie sprawy, do których można dopuścić przyjaciół — odparł wymijająco Zawierucha — i bywają takie, do których nie można. Widzisz, Bill, nasza sprawa należy do tej drugiej kategorii. Lepiej idź spać. Dobrej nocy życzę.

— Mowij nie ma o dobrej nocy. Ty jeszcze nas nie znasz. My jesteśmy twarde chłopaki z lasu.

Zawierucha westchnął.

— No cóż, Bill, skoro się tak upierasz, niech ci będzie. Jedziemy, Krótki, nie ma na co czekać.

Gdy sanki ruszyły, Saltman gwizdnął przeraźliwie i podążył za nimi. Odpowiedziały mu gwizdy czujek u stóp pagórka i w dolinie. Krótki szedł przy drążku sterowym.

Zawierucha i Saltman maszerowali razem.

— Słuchaj, Bill — odezwał się Zawierucha. — Coś ci zaproponuję. Chciałbyś sam przystąpić do tego interesu?

Saltman nie zawahał się ani trochę.

— I wystawić do wiatru całą paczkę? Nie, mój panie. Przystąpimy wszyscy jak jeden mąż.

— A ty będziesz pierwszy! — krzyknął Zawierucha. Dосkoczył, objął Saltmana w pól i zwałił go w głęboki śnieg obok ścieżki.

Krótki krzyknął na psy i pognął sankami na południe, szlakiem prowadzącym za miasto, między chatami, z rzadka rozrzuconymi wśród wzgórz. Zawierucha i Saltman, zwarci w uścisku, tarzali się po śniegu. Choć Zawierucha był w świetnej formie, Saltman ważył o pięćdziesiąt funtów więcej do niego, a na różnicę złożyły się mięśnie stężałe od pracy na szlaku. Nic więc dziwnego, że Saltman raz po raz brał górę nad przeciwnikiem i kładł go na obie łopatki. Zawierucha leżał wtedy potulnie i odpoczywał. Ale ilekroć zwycięzca chciał go zostawić i odejść, Zawierucha łapał go, przyciągał do siebie i znów brali się za bary.

— Nieżył z ciebie zapaśnik — przyznał Saltman po dziesięciu minutach. Ciężko dysząc, siedział okrakiem na piersiach Zawieruchy. — Ale kładę cię na łopatki, ile razy chcę.

— Po to właśnie tu jestem — odparł zdyszany Zawierucha. — Jak ci się zdaje, daleko Krótki zajechał przez ten czas?

Saltman zaczął się rozpaczliwie wyrywać, ale nic nie wskórał. Ledwie się podniósł, Zawierucha złapał go za nogę w kostce i Saltman znów runął jak długi. Z dołu dały się słyszeć niespokojne, pytające pogwizdywania. Saltman usiadł i odpowiedział przeraźliwym gwizdem. W tej chwili Zawierucha wziął go w kleszcze, powalił na plecy, usiadł okrakiem na piersiach, kolanami przydusił muskularne łapska, a rękami przycisnął jego ramiona do śniegu. W takiej pozycji ujrzeni ich przyjaciele Saltmana. Zawierucha roześmiał się i wstał.

— Dobranoc, chłopcy — powiedział, i zaczął schodzić z górki. Sześćdziesięciu wściekłych, gotowych na wszystko poszukiwaczy złota deptało mu po piętach.

Za tartakiem i szpitalem skręcił na północ. Poszedł ścieżką na rzece, obok urwisk u stóp Łosiowego Wzgórza. Okrążywszy indiańską wioskę, dotarł do ujścia Potoku Łosia. Nagle stanął i odwrócił się do idącej za nim gromady.

— Zmordowaliście mnie — warknął tak szczerze, jakby naprawdę był zły.

— Przymusu z naszej strony chyba nie było — uprzejmie mruknął Saltman.

— Och nie, skądże znowu! — warknął Zawierucha w sposób jeszcze bardziej naturalny. Przecisnął się między nimi i ruszył z powrotem do Dawson. Po drodze dwukrotnie próbował przeprowić się na drugi brzeg przez lodowe zatory, ale za każdym razem cały orszak tak śmiało pchał się za nim, że musiał zrezygnować i wrócić na dawsoński brzeg. Przemaszerował ulicą Główną, przeszedł po lodzie rzekę Klondike, wkroczył do Klondike City i ruszył z powrotem do Dawson. Szarzał świt, gdy o godzinie ósmej przyprowadził strudzoną gromadę na śniadanie do restauracji Slavovitcha, gdzie rozgorzała walka o stoliki.

— Dobranoc, chłopcy — rzekł Zawierucha po zapłaceniu rachunku. — Dobranoc, chłopcy — powtórzył, skręcając pod górkę.

W jasny dzień nie musieli deptać mu po piętach. Przystanęli więc i odprowadzili go wzrokiem aż do drzwi chaty.

Przez dwa dni Zawierucha włóczył się po mieście, stale pod czujnym nadzorem. Krótki wraz z psami i sankami przepadł bez wieści. Nie widzieli go ani ci, którzy podróżowali w górę lub z biegiem Jukonu, ani przybysze z Bonanzy, Eldorado i Klondike. Pozostał jednak Zawierucha, który prędzej czy później będzie na pewno próbował nawiązać ze współnikami kontakt. Nie spuszczano go z oka. Wieczorem drugiego dnia nie wyszedł z domu. O dziesiątej zgasił lampę i nastawił budzik na drugą rano. Warta pod domem usłyszała brzęczenie budzika, toteż gdy w pół godziny później Zawierucha wymknął się z chaty, czekało na niego już nie sześćdziesięciu chłopów, ale co najmniej trzy setki. Płomienna zorza polarna oświetlała im drogę. Zawierucha na czele potężnego orszaku szedł do miasta i wstąpił do szynku „Pod Jelenim Rogiem”. W knajpie zaroiło się natychmiast od gości. Przez cztery długie godziny niespokojny, podniecony tłum pił przy barze i obserwował Zawieruchę,

grającego w *cribbage* ze swym starym przyjacielem Breckiem. Krótco po szóste rano Zawierucha z ponurą i wściekłą miną, nie patrząc na nikogo i nikogo nie poznając, wyszedł z szynku na ulicę Główną. Za nim trzystu chłopów kroczyło w nienajlepiej wyrównanych szeregach i wykrzykiwało chórem: „Lewa! Prawa! Słoma! Siano! Raz, dwa, trzy, cztery!”

— Dobranoc, chłopcy — syknął Zawierucha, przystając na wysokim brzegu Jukonu w miejscu, gdzie stroma ścieżka wiodła w dół. — Teraz zjem śniadanie i idę spać.

Trzystu ludzi krzyknęło, że nie zostawią go samego. Wszyscy pomaszzerowali za nim przez zamarzną rzekę, ścieżką prowadzącą prosto do Tra La. O siódmej rano Zawierucha prowadził swą kohortę zygzowatą ścieżką wspinającą się stromym zboczem ku chacie Dwighta Sandersona. Przez szyby z przetłuszczonego papieru widać było światło świecy, z komina wił się dym. Krótki otworzył drzwi na oścież.

— Chodź, Zawierucha — powiedział. — Śniadanie gotowe. Czy to wszystko twoi koledzy?

Zawierucha odwrócił się na progu.

— No, to dobranoc, chłopcy. Zadowoleni z wycieczki?

— Chwileczkę, Zawierucha! — zawołał złamanym głosem Bill Saltman. — Chcę z tobą pomówić.

— Śmiało! — odkrzyknął Zawierucha.

— Za coś staremu Sandersonowi zapłacił dwadzieścia pięć tysięcy? Może odpowiesz na to pytanie?

— Bill, zrobiłeś mi przykrość — odparł Zawierucha. — Przybyłem tutaj, do swej, że tak powiem, wiejskiej rezydencji, i właśnie kiedy pragnę w ciszy i spokoju zjeść śniadanie, ty wraz z całą twoją bandą chcecie mnie brać na spytki. Co komu z wiejskiej rezydencji, jeśli nie znajdzie w niej ciszy i spokoju?

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— I nie odpowiem, Bill. To jest sprawa wyłącznie między mną a Dwightem Sandersonem. Są jeszcze pytania?

— W takim razie może mi powiesz, po coś miał wtedy na sankach łom i zwój kabla.

— Pilnuj swego zasmarkanego nosa, Bill.

Drzwi się zamknęły. Zawiedziony tłum począł szemrać i rozbił się na grupki.

— Słuchaj, Saltman — powiedział ktoś. — Zdaje mi się, żeś miał nas gdzieś zaprowadzić.

— Nigdy w życiu kłótliwym tonem odparł Saltman. — Powiedziałem, że Zawierucha was zaprowadzi.

— I to ma być tutaj?

— Wiem tyle samo co wy, a wszyscy wiemy, że Zawierucha coś kręci. Bo i za cóż zapłacił Sandersonowi dwadzieścia pięć tysięcy? Że nie za te dziadowskie wyboje, to pewne i jasne jak słońce.

— Cóż więc mamy zrobić? — zapytał jakiś żalony głos.

— Ja idę na śniadanie — wesoło oznajmił Charley Dzika Woda. — Tym razem wystrychnąłeś nas na dudków, Bill.

— Mówię wam, że to nie ja — bronił się Salhrian. — To Zawierucha. A dwadzieścia pięć tysięcy za co dał?

O wpół do dziewiątej, gdy już się zrobiło całkiem jasno, Krótki ostrożnie uchylił drzwi i wyrżał.

— Psiakostka — krzyknął. — Wszyscy wrócili do Dawson. A już myślałem, że rozbiją tu obóz.

— Nie bój się. Wrócą tu chyłkiem — uspokoił go Zawierucha. — Albo ja nic nie kapuję, albo zanim się uwiniemy, zobaczysz tu pół Dawson. Musisz mi pomóc. Czeka nas masa roboty.

W godzinę później oglądali wyniki ciężkiej pracy: w kącie chaty stał kołowrót z liną, obiegającą dwa walce z pni.

Zawierucha kręcił korbą bez większego wysiłku, lina obracała się, skrzypiąc.

— A teraz, Krótki, wyjdiesz na dwór i powiesz mi, coś słyszał.

Krótki, przystawiwszy ucho do zamkniętych drzwi, usłyszał wszystkie odgłosy, jakie wydaje kołowrót dźwigający ciężar, i nawet złapał się na tym, że zaczął obliczać głębokość szybu. Potem nastąpiła chwila ciszy. Krótki oczyma duszy ujrzał wiadro kołyszące się tuż przy wale, po czym usłyszał, jak lina odwija się szybko, aż głucho stuknięcie oznajmiło, że wiadro nagle stanęło na krawędzi studni. Pchnął drzwi i rozpromieniony wpadł do chaty.

— O mało sam się me nabrałem! — zawołał. — Co dalej?

Dalej trzeba było dwanaście razy obrócić sankami, żeby przywieźć odpowiednią ilość wielkich kamieni. Reszta niezwykle pracowitego dnia upłynęła im wśród rozmaitych innych przygotowań.

— Wieczorem zabierzesz psy do Dawson — instruował Zawierucha Krótkiego po kolacji. — Zostawisz je u Brecka, który się nimi zaopiekuje. Będziesz śledzony, poproś więc Brecka, żeby poszedł do Towarzystwa i kupił cały zapas dynamitu — mają na składzie zaledwie paręset funtów. Każ Breckowi zamówić u kowala pół tuzina świrdrów górniczych do kruszenia skał. Opisz mu dokładnie nasze tereny, aby mógł jutro zarejestrować je u Komisarza Pokładów Złota. Wreszcie, o dziesiątej wyjdiesz na ulicę Główną i nadstawisz ucha.

O godzinie dziesiątej wieczór Krótki, świadom, że wszyscy na niego patrzą, paradował ulicą Główną z nad stawionymi uszami. W pewnej chwili usłyszał słaby, daleki wybuch. W trzydzieści sekund później nastąpił drugi wybuch, dostatecznie głośny, aby usłyszeli go inni przechodnie. A potem zagrzmiał trzeci wybuch, tak gwałtowny, że szyby zabrzęczały i ludzie wybiegli z domów na ulicę.

— Pięknie podskoczyli! — obwieścił Krótki zdyszonym głosem, gdy w godzinę później przybył do chaty na wzgórzach Tra La. Złapał Zawieruchę za rękę. — Szkoda, żeś tego nie widział. Czyś kopnął kiedy w mrowisko? Tak wyglądało Dawson. Gdy biegłem tutaj, na Głównej ulicy był straszny tłok i szum. Jutro całe Dawson wyroi się na Tra La. Niektórzy przekradają się tu już teraz, albo nie znam duszy górnika. Skończyłem.

Krótki powyciągał mech spomiędzy pni, aby można było przez szczeliny wzyierać z chałupy na wszystkie strony. Potem zgasił świeczkę.

— Odjazd — szepnął w pół godziny później. Zawierucha zaczął wolno obracać korbą kołowrotu. Po paru minutach przestał kręcić, podniósł ocynkowane wiadro pełne ziemi i uderzał nim o kupę kamieni, tak, że chrobotąło, brzęczało i zgrzytało. Potem zapalił papierosa, osłaniając dłońmi płomyk zapalnika.

— Trzech już jest — szepnął Krótki. — Żebyś ich widział! Gdy wiadro zgrzytnęło, aż podskoczyli. Teraz jeden próbuje zapuścić żurawia przez okno.

— Trzeba to robić regularnie — szeptał Zawierucha. — Będziemy ciągnąć wiadro co piętnaście minut. A tymczasem...

Potrójnie złożonym płótnem z worka owinął dłuto i uderzył nim o kamień.

— Pięknie! Pięknie! — zachwycił się Krótki. Na palcach odszedł od szczeliny. — Stuknęli się głowami. Prawie że widziałem, jak się naradzają.

Od tej chwili aż do czwartej rano co kwadrans wiadro niby szło w górę na kołowrocie, który kręcił się w kółko, skrzypiał i niczego nie ciągnął. Potem goście poszli do domu, a Zawierucha i Krótki do łóżek.

Gdy zrobiło się jasno, Krótki obejrzał ślady mokasynów.

— Wielki Bill Saltman był z nimi — orzekł. — Spójrz na rozmiar stopy!

Zawierucha popatrzył na rzekę.

— Przygotuj się na przyjęcie gości. Dwaj już idą po lodzie.

— Fiu! — gwizdnął Krótki. — Poczekaj, aż Breck o dziewiątej zarejestruje naszą serię działek. Wówczas dwa tysiące narodu przejdzie Jukon.

— I każdy maminsynek będzie się darł, że odkrył „żyłą matkę” — śmiał się Zawierucha. — Nareszcie zostało znalezione źródło złotych bogactw Klondike.

Krótki wdrapał się na szczyt skalnego urwiska i okiem znawcy spoglądał na pole, które wytyczyli żerdkami.

— Ani chybi, wygląda na prawdziwą żyłę — powiedział.

— Ekspert mógłby oznaczyć, jak pokład biegnie pod śniegiem. Każdy się na to nabierze. Czy widzisz, jak się tam skala obsunęła i obnażyła podziemną warstwę? Bujda, ale kto w nią nie uwierzy?

Kiedy dwaj goście, których Zawierucha ujrzał na rzece, wspięli się w górę krętą ścieżyną, zostali drzwi chaty zamknięte. Bill Saltman, który prowadził, podszedł cicho do drzwi, nastawił ucha i dał znak Dzikiej Wodzie, żeby się zbliżył. Ze środka dobiegało skrzypienie i pojękiwanie kołowrotu, dźwigającego ciężki ładunek. Potem ucichło na chwilę i usłyszeli, jak wał się odkręca, aż wiadro uderzyło dnem o kamień. W ciągu godziny usłyszeli cztery razy te same odgłosy. Dzika Woda zastukał do drzwi. Z wnętrza doleciały ich jakieś stłumione hałasy, potem cisza i znów tajemnicze szmery. Po pięciu minutach Zawierucha, ciężko dysząc, uchylił nieznacznie drzwi i wyrztał przez szparę. Na jego twarzy i koszuli dostrzegli pył skalny. Przywitał ich z podejrzaną serdecznością.

— Poczekajcie chwilę — dodał. — Zaraz wyjdę.

Wkładając rękawice, prześlizgnął się przez lekko uchylone drzwi i stanął przed nimi. Jednym bystrym spojrzeniem ogarnęli koszulę Zawieruchy, przysypaną na plecach pyłem skalnym i zabrudzone na kolanach spodnie, najwyraźniej pośpiesznie i nie dość dokładnie oczyszczone szczotką.

— Pora trochę za wczesna na wizytę — zagaił Zawierucha.

— Cóż was sprowadza na tę stronę rzeki? Na polowanie idziecie?

— Wiemy wszystko, mój drogi — odparł konfidencyjnym tonem Dzika Woda. — Ale ci się udało! Znalazłeś coś tutaj.

— Jeśli znów szukasz jajek... — zaczął Zawierucha.

— Ach, dałbyś spokój. Chcemy pomówić z tobą o interesach.

— To znaczy: chcesz kupić parcele — mówił szybko Zawierucha. — Są tu parcelki, że buzi dać, ale na razie nie możemy sprzedawać. Miasto nie zostało jeszcze rozplanowane. Przyjdź, mój miły, w przyszłym tygodniu. Jeśli chcesz tu zamieszkać, a pragniesz ciszy i spokoju, to pokażę ci jeden bardzo gustowny kawałek. Do przyszłego tygodnia projekty na pewno będą gotowe. Bądźcie zdrowi. Wybaczcie, że nie proszę do domu, ale Krótki..., sami go zresztą znacie. Ciekawy człowiek. Powiada, że przybył tu odetchnąć w ciszy i spokoju. Teraz śpi. Nie obudziłbym go za skarby świata.

Mówiąc to, serdecznie ścisnął im prawice. Obracał językiem, raz po raz podawał rękę, aż przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi.

Spojrzeni po sobie i znacząco pokiwali głowami.

— Widziałeś kolana jego portek? — ochryplym szeptem spytał Saltman.

— No pewnie. I plecy. Spuszczał się do szybu i łaził na czworakach.

Mówiąc to, Dzika Woda powiódł wzrokiem po przysypanym śniegiem wąwozie. Nagle wpadło mu w oko coś tak niezwykłego, że aż gwizdnął.

— Bill, spójrz no. Tam, widzisz? Toć to próbna jama! Popatrz na jej obydwie brzegi — zobaczysz ślady na śniegu. Jeśli w obie strony nie biegnie złota skała, to ja się na tym nie znam. To złota żyła w skalnej szczelinie, szkoda gadać.

— I patrz, jaka duża! — zawołał Saltman. — Założę się, że byle czego tu nie znaleźli.

— Spójrz tylko na stok. Patrz, jak się załamują urwiska. Przez cały stok biegnie złota żyła.

— A ty spójrz trochę dalej. Na rzekę i ścieżkę — wskazał palcem Saltman. — Wygląda na to, że całe Dawson tu sypie.

Dzika Woda popatrzył. Ścieżka czerniała się od ludzi po drugi brzeg Jukonu, z którego spływał nieprzerwany potok ludzki.

— Ha! Muszę rzucić okiem na tę złotą jamę, zanim oni tu przywalą — powiedział Dzika Woda i zwawo skoczył w górę wąwozu.

W tej chwili otworzyły się drzwi chaty i wyszli obaj jej mieszkańcy.

— Hej — krzyknął Zawierucha. — Gdzie idziesz?

— Wybrać działkę! — odkrzyknął Dzika Woda. — Spójrz na rzekę. Całe Dawson leci kupować działki, więc chcemy wybrać sobie coś, zanim tu będą. Prawda, Bill?

— Jasne — potwierdził Saltman. — Ma tu powstać eleganckie przedmieście Dawson i, jak widzę, każdy by tu chciał zamieszkać.

— W dzielnicy, do której zmierzasz, nie sprzedajemy parceli — odparł Zawierucha.

— Na sprzedaż są parcele na prawo i z tyłu, na szczytach urwisk. Sektor biegnący od rzeki przez szczyt wzgórz jest zarezerwowany. Wobec czego proszę wrócić.

— Ale myśmy wybrali sobie to miejsce — zaoponował Saltman.

— Nie da rady — ostro uciął Zawierucha.

— Ale na spacer tam pójść nikt nam chyba nie zabroni? — upierał się Saltman.

— Stanowczo zabraniam. Twoje spacerowanie zaczyna być nudne. Jazda z powrotem!

— Było nie było, idziemy na spacer — uparł się Saltman.

— Chodź, Dzika Woda.

— Uprzedzam, że lezicie w szkodę! — ostrzegł Zawierucha.

— Eee tam, po prostu na spacer — wesolo odparł Saltman i odwróciwszy się plecami do Zawieruchy, zrobił parę kroków.

— Ej! Stać, Bill, bo sito z ciebie będzie! — zagrział Krótki, mierząc do mego z dwóch Coltów, kaliber 44. — Zrób jeszcze jeden krok, to ci wywiercę jedenaście dziur w obrzydliwym cielsku, psiakrew! Rozumiesz?

Saltman stanął zmieszany.

— Widocznie zrozumiał — szepnął Krótki do Zawieruchy. — Ale jeśli pójdzie dalej, będę w głupiej sytuacji. Przecież nie mogę strzelać. Co robić?

Sam Saltman przyszedł mu z pomocą.

— Krótki, bądźże rozsądny — powiedział tonem prośby.

— Chodź tutaj, to ci przemówię do rozsądku — odparł Krótki.

Przemawiali sobie jeszcze do rozsądku, gdy czoło pochodu wynurzyło się z krętej ścieżki i zbliżyło do nich.

— Nie można mówić, że ktoś wlaź w szkodę, jeśli wszedł na tereny osadnicze, bo chce nabyć kilka parcelek — tłumaczył Dzika Woda, a Krótki zbijał jego argumenty:

— Ale osadnicze tereny mogą być własnością prywatną i właśnie ten kawałek ziemi jest prywatną własnością, o to chodzi. Mówię ci, że te grunty nie są na sprzedaż.

— Teraz musimy się szybko uwinąć — szepnął Zawierucha do Krótkiego. — Bo jak nam się wymkną z rąk...

— Wielki śmiałek z ciebie, jeśli ci się zdaje, że ich powstrzymasz — odparł Krótki szeptem. — Jest już dwa tysiące narodu i wciąż przybywa. W każdej chwili mogą przerwać linię.

Linia biegła blisko skraju wąwozu. Powstała w ten sposób, że Krótki zatrzymał w tym miejscu pierwszą falę najeźdźców. Wraz z tłumem przybył patrol Północno-Zachodniej Policji Konnej w sile sześciu ludzi, pod komendą porucznika. Zawierucha rozmawiał z nim półgłosem.

— Ludzie wciąż walą z Dawson — mówił. — Niezadługo będzie ich tutaj pięć tysięcy. Należy się obawiać, że się rzucają na działki. Dziś rano działki zostały zarejestrowane i nikt nie ma prawa ich zajmować.

— Dobra jest — odparł porucznik. — Zaraz zrobię zbiórkę. Nie możemy dopuścić do zamieszek i nie dopuścimy. Ale nie zawadziłoby, gdybyś pan do nich przemówił.

— Koledzy! To jakaś pomyłka — zaczął gromkim głosem Zawierucha. — Nie możemy na razie sprzedawać parcel. Ulice nie są jeszcze wytyczone. Ale w przyszłym tygodniu nastąpi uroczyste otwarcie targów.

Przerwała mu burza okrzyków, wyrażających niecierpliwość i oburzenie.

— Nie chcemy żadnych parcel! — krzyczał jakiś młody górnik. — Nie potrzeba nam tego, co jest na wierzchu. Przyszliśmy po to, co się kryje pod ziemią.

— Nie wiemy, co się kryje pod ziemią — odparł Zawierucha. — Wiemy natomiast z całą pewnością że na wierzchu mamy piękne tereny osiedleńcze.

— Właśnie — dodał Krótki. — Wspaniały krajobraz i absolutna cisza. Amatorzy samotności będą tu gnali całymi tabunami. To miejsce stanie się najgęściej zaludnionym pustkowiem nad Jukonem.

Znów dały się słyszeć niecierpliwe okrzyki. Saltman, po rozmowie z tymi, którzy przybyli ostatni, wystąpił naprzód.

— Przyszliśmy tutaj — zaczął — aby wytyczyć działki. Wiemy, coście zrobili. Zarejestrowaliście pięć złotych działek, jedną przy drugiej — oto one! Biegną przez tereny osadnicze wzdłuż stoku i kanionem. Aleście przechytrzyli. Dwa wpisy są fałszywe. Kto to jest Seth Bierce? Nikt o nim nie słyszał. A drugą działkę zapisaliście na imię Harry'ego Maxwella. Nie ma go tutaj. Mieszka w Seattle. Wyjechał tam zeszłej jesieni. Dwie działki są więc do zajęcia.

— A jeśli mam upoważnienie od Maxwella? — spytał Zawierucha.

— Nie masz — odparł Saltman. — Gdybyś miał, tobyś pokazał. A więc zajmujemy te działki. Naprzód, przyjaciele!

Saltman przekroczył już linię graniczną i odwrócił się, aby wezwać tłum do pójścia w jego ślady, gdy nagle zagrzmiał głos porucznika, który powstrzymał napór masy ludzkiej.

— Stać! Nie wolno, dobrze wiecie!

— Jak to nie wolno? — spytał Saltman. — Prawo mówi, że w razie oszukańczego zajęcia działki można ją zająć na nowo, tak czy nie?

— Słusznie, Bill! Nie daj się! — wołał tłum, stojąc po bezpiecznej stronie linii demarkacyjnej.

— Jest takie prawo, czy nie? — nacierał Saltman na porucznika, nie tracąc animuszu.

— Prawo może być takie — twardo odparł oficer — ale ja nie dopuszczę, by pięć tysięcy narodu rzuciło się na dwie działki. Doszłoby do grubej awantury, a my jesteśmy tu po to, aby nie dopuścić do zakłócenia porządku. Tutaj, w tej chwili, na tym miejscu, Północno-Zachodnia Policja Konna reprezentuje prawo. Kto pierwszy przekroczy tę linię, będzie zastrzelony. Saltman, cofnąć się!

Saltman, acz niechętnie, usłuchał. Ale w tłumie rozlokowanym gdzie popadło, w znacznej części na urwistych zboczach, dało się zauważyć poruszenie, które nie wróżyło nic dobrego. Zawierucha zadrzał na ten widok. Wystąpił naprzód.

— Koledzy! Zagrajmy w otwarte karty. Jeśli koniecznie chcecie kupić parcele budowlane, sprzedam je wam po sto dolarów, a kiedy miasto zostanie rozplanowane, wylosujecie parcele. — Podniesioną ręką uciszył falę niezadowolenia, jaka przebiegła przez tłum. — Niech nikt się nie msza. Bo inaczej setki ludzi zlecą z urwisk, zepchnięte przez tłum. Sytuacja jest groźna.

— Wszystko jedno, całej ziemi pod siebie nie zgarniesz! — krzyknął ktoś z tłumu. — My nie chcemy żadnych parcel. My chcemy zająć działki.

— Ale są tylko dwie działki — tłumaczył Zawierucha. — Co będzie z wami wszystkimi, gdy dwóch spośród was je zajmie?

Otarł czoło rękawem koszuli. Inny głos krzyknął z tłumu:

— To dopuść nas wszystkich do spółki! Podzielimy się równo!

Nikt spośród tych, którzy potężnym rykiem poparli ostatnią propozycję, nie wiedział, że padła z ust Brecka. A właśnie z Brekiem Zawierucha zmówił się, że wystąpi, gdy Zawierucha da mu znak: otrze czoło rękawem.

— Nie pchaj się sam do koryta i dopuść nas do udziału! — wołał dalej Breck. — Podzielimy się wszystkimi parcelami, nie wyłączając praw górniczych.

— Kiedy zapewniam was, że tu nie chodzi o żadne prawa górnicze — bronił się Zawierucha.

— Tym bardziej nie należy ich wyłączać. A my chcemy zaryzykować.

— Koledzy, chcecie mnie zmusić — odparł Zawierucha. — Wolałbym, żebyście zostali na tamtym brzegu rzeki.

Potężny ryk tłumu zmusił go do wyrażenia zgody.

Ale Saltman i inni z pierwszego szeregu zaczęli protestować.

— Wielki Saltman i Dzika Woda — obwieścił wszem wobec Zawierucha — nie zgadzają się, żebyście wszyscy byli dopuszczeni do spółki. Kto tu ryje pod wami?

W ten sposób Saltman i Dzika Woda stracili sympatię tłumu.

— Jak to będzie? - spytał Zawierucha. — Krótki i ja powinniśmy dostać większość akcji. Myśmy odkryli tereny osiedleńcze.

— Racja! — ozwał się chór okrzyków. — To się należy!

— Trzy piąte dla nas — zaproponował Zawierucha. — A koledzy dostaną dwie piąte. I zapłacicie za akcje.

— Dziesięć centów za dolara! — ktoś krzyknął.

— Tak, to starczy na początek. Pokryjecie dwie piąte kapitału akcyjnego, a na razie wpłacicie po dziesięć dolarów za każdą akcję opiewającą na sto. Na nic więcej nie mógłbym się zgodzić. Jest was tutaj około pięciu tysięcy, weźmiecie więc pięć tysięcy akcji — Zawierucha liczył głośno. — Razem akcji będzie dwanaście tysięcy pięćset, z czego otrzymujecie dwie piąte. Tym samym kapitał akcyjny Towarzystwa Budowy Miasta Tra La wyniesie 1 250 000 dolarów i podzielony będzie na 12 500 akcji wartości nominalnej po 100 dolarów, z czego koledzy wykupią 5000 akcji, płacąc zaliczkowo 10 dolarów za akcję. Mało mnie obchodzi, czy wy się zgadzacie na te warunki, czy nie. A wszystkich was wzywam na świadków, że przystałem na ten interes tylko pod przymusem.

Wszyscy byli pewni, że złapali Zawieruchę na gorącym uczynku oszukańczego zajęcia dwóch działek. W tym przekonaniu wyłoniono komitet, który ustalił z grubsza zasady, na jakich ma być oparte Towarzystwo Budowy Miasta Tra La. Wniosek, aby akcje sprzedawać na drugi dzień w Dawson, komitet odrzucił, obawiano się bowiem, że wszyscy mieszkańcy Dawson, którzy nie brali udziału w gonitwie do Tra La, też będą chcieli kupować akcje towarzystwa. Wobec czego komitet, przy ognisku rozpalonym na lodzie u stóp wzgórza, wydawał każdemu pokwitowanie na sumę dziesięciu dolarów, należycie odważoną w złotym piasku na jednej z dwudziestu czterech wag, które w tym celu przyniesiono z Dawson.

Było już ciemno, gdy komitet zakończył prace i Tra La opustoszało. Zostali tylko Zawierucha i Krótki. Jedli kolację w chacie i chichotali, przeglądając listę akcjonariuszy — czterech tysięcy ośmiuset siedemdziesięciu czterech jak obszył. Spozierali też na worki ze złotym piaskiem wartości 49 740 dolarów.

— Ale to jeszcze nie wszystko — zauważył Krótki.

— Zaraz tu będzie — z przekonaniem odparł Zawierucha.

— To urodzony gracz. Gdy Breck szepnie mu parę słów do ucha, nawet atak serca go nie powstrzyma.

Nie minęła godzina, a dało się słyszeć stukanie do drzwi i wszedł Dzika Woda w towarzystwie Billa Saltmana. Pożądliwym wzrokiem ogarnęli izbę. Oczy ich spoczęły na kołowrocie, starannie ukrytym pod kocami.

— Wyobraźmy sobie, że chciałbym kupić jeszcze 1200 akcji — perorował Dzika Woda w pół godziny później. — Razem z tamtymi 5000, które sprzedane zostały dziś, byłoby raptem 6200 akcji. A tobie i Krótkiemu zostałyby 6300. I zachowalibyście większość.

— Ale na co ci tyle parcel? — spytał Krótki.

— Sam wiesz lepiej ode mnie — odparł Dzika Woda. — Mówiąc między nami — rzucił od niechcienia okiem na kołowrót udrapowany kocami — miasto Tra La jest wcale pięknie położone.

— Ale Bill też chce trochę dokupić — burkliwym tonem wtrącił Zawierucha. — Krótko mówiąc, nie mamy ochoty pozbywać się więcej niż 5000 akcji.

— Ile byś chciał włożyć w ten interes? — spytał Dzika Woda Saltmana.

— Pięć tysięcy. Tyle mi się udało zebrać.

— Słuchaj, Dzika Woda — podjął Zawierucha tym samym burkliwym i niechętnym tonem. — Gdybym cię nie znał tak dobrze, tobym ci nawet jednej głupiej akcji nie sprzedał. Krótki i ja możemy ostatecznie odpalić wam jeszcze pięćset akcji, ale będą was kosztowały po pięćdziesiąt dolarów sztuka. To jest nasze ostatnie słowo; jeśli wam nie odpowiada — dobranoc! Bill może wziąć setkę, a tobie zostanie czterysta.

Na drugi dzień Dawson zatrzęśło się ze śmiechu. Zaczęło się to wcześniej, z pierwszym blaskiem dnia, kiedy Zawierucha podszedł do tablicy ogłoszeń Alaskańskiego Towarzystwa Handlowego i przybił na niej afisz. Ludzie zbierali się i chichocąc czytali mu przez ramię, zanim jeszcze wbił ostatnią pluskiewkę. Po chwili setki ludzi tłoczyło się wokół tablicy, nie mogąc się do niej dopchać. Tłum wyłonił z siebie przez akklamację lektora, po czym przez cały dzień wywoływano kogoś, aby czytał głośno obwieszczenie Zawieruchy. Wielu było takich, którzy stojąc w śniegu po kilka razy wysłuchiwali tekstu obwieszczenia, aby nic nie uronić z jego soczystej treści. A brzmiało to obwieszczenie, jak następuje:

Towarzystwo Akcyjne Budowy Miasta Tra La ogłasza swój bilans na murze. Jest to jego pierwszy bilans i ostatni.

Przychody i rozchody

Za 4874 akcje po \$ 10,00 \$	\$ 48.740,00
Dwightowi Sandersonowi za tereny pod budowę miasta Tra La	\$ 10.000,00
Wydatki różne, jak to: dynamit, świdry, kołowrót, opłata za rejestrację itp.	\$ 1.000,00
Wypłacono na rzecz Szpitala Miasta Dawson	\$ 37.740,00
Razem	\$ 48.740,00

Każdy akcjonariusz, który nie zgadza się złożyć na rzecz Szpitala Miasta Dawson ofiary w wysokości 10 dolarów, może swoje 10 dolarów otrzymać z powrotem, jeśli zwróci się osobiście w tej sprawie do Charleya Dzikiej Wody, a gdyby to zawiodło, z wszelką pewnością otrzyma je na żądanie skierowane do Bellew Zawieruchy.

Od Billa Saltmana za 100 akcji sprzedanych mu osobno po \$ 50	\$ 5.000,00
Od Charleya Dzikiej Wody za 400 akcji sprzedanych mu osobno po \$ 50	\$ 20.000,00
Razem	\$ 25.000,00

Billowi Saltmanowi w uznaniu zasług, jakie położył, organizując z własnej inicjatywy wyprawę na Tra La	\$ 5.000,00
Wypłacono na rzecz Szpitala Miasta Dawson	\$ 3.000,00
Bellew Zawierusze i Jackowi Krótkiemu — tytułem odszkodowania za straty poniesione na handlu jajami oraz tytułem nawiazki za straty moralne	\$ 17.000,00
Razem	\$ 25.000,00

Pozostało akcji 7.126. Akcje te, przedstawiające wartość \$ 00,00, znajdują się w posiadaniu Bellew Zawieruchy i Jacka Krótkiego i będą na żądanie wydane bezpłatnie każdemu mieszkańcowi miasta Dawson, który zapragnie osiedlić się z dala od ludzi w cichym mieście Tra La.

U w a g a: Gwarantuje się niniejszym po wieczne czasy ciszę i samotność w mieście Tra La.

Prezes
(—) Bellew Zawierucha

Sekretarz
(—) Jack Krótki

TAJNIKI KOBIECEGO SERCA

Zawierucha odwrócił parujące mokasyny, które suszyły się na kijach przy obozowym ognisku.

— Jutro cały dzień będziemy tu siedzieć i szyć psom mokasyny — odezwał się wreszcie. — Ta lodowa skorupa do cna zedrze im łapy.

— Uważam, że jednak trzeba iść dalej — zaprotestował Krótki. — Nie wystarczy nam prowiantu na powrót. Jeżeli nie trafimy na ślad karibu albo „białych Indian”, i to prędko, będziemy jedli własne psy, z chorymi łapami i całą resztą. Ale sam powiedz, kto widział tych białych Indian? Puste gadanie. Jakim cudem Indianin może być biały? Słuchaj: musimy jutro puścić się dalej. W tych stronach nie ma ani na lekarstwo zwierzyny. Sam wiesz, że od tygodnia nie natrafiliśmy na ślad nawet królika. Trzeba wydostać się z tego pustkowia w takie strony, gdzie żywe mięso hasa po polach.

— Psiska pobiegą znacznie lepiej, gdy odpoczną dzień i dostaną mokasyny na łapy — tłumaczył Zawierucha. — Gdyby ci się udało wleźć na jakąś górkę, to zobaczysz, co się za nią kryje. Tylko patrzeć, jak wejdziemy w krainę falistych równin, o której mówił nam La Perle.

— Fiu! La Perle przewędrował tędy dziesięć lat temu i miał takiego kręcka z głodu, że mogły mu się przywidzieć różne rzeczy. Sam mówił, że nigdy żadnych białych Indian nie widział. To Anton bąbał mu o nich. Anton, który wyciągnął pedały dwa lata przed naszym przybyciem na Północ. Ale pójdę jutro na zwiady. Może ustrzelę łosia. A teraz spać, jak uważasz?

Ranek Zawierucha spędził w obozie. Szył psom mokasyny i naprawiał uprząż. W południe ugotował obiad na dwóch, zjadł swoją część i czekał na powrót Krótkiego. W godzinę później przypiął rakiety śnieżne i poszedł śladem kolegi. Droga wiodła łożyskiem potoku, a potem wąskim kanionem, z którego Zawierucha wyszedł nagle na pastwisko łosi. Ale na śniegu, który tu leżał od jesieni, nie widać było żadnego tropu zwierzyny. Siady raket Krótkiego prowadziły przez polanę i łagodnym zboczem pagórka. Na szczycie wzniesienia Zawierucha przystanął. Ślady biegingy w dół. Milę dalej widać było jodły rosnące nad potokiem. Nie ulegało wątpliwości, że łożyskiem tego potoku Krótki poszedł dalej.

Zawierucha spojrzął na zegarek. Pomyślał o tym, że się ściemnia, a psy zostały same w obozie. Z ciężkim sercem zrezygnował z dalszych poszukiwań. Nim jednak wrócił, przyjrzał się dobrze okolicy. Na całej długości wschodniego horyzontu wrzynały się w niego niczym zęby piły śnieżne szczyty Gór Skalistych. Wszystkie pasma potężnego masywu górskiego biegingy w kierunku północno-zachodnim, zagradzając drogę do krainy, o której opowiadał La Perle. Wyglądało to tak, jakby góry zawzięły się na wędrowca, zmierzającego na wschód, i chciały go odrzucić w stronę Jukonu. Zawierucha pytał się w duchu, ilu podróżnych zawitało tutaj przed nimi i cofnęło się na widok groźnych szczytów górskich. La Perle nie dał się odepchnąć, ale przeszedł Góry Skaliste od strony wschodniej.

Do północy Zawierucha podsyczał olbrzymi ogień, aby Krótki mógł go zobaczyć z daleka. Nad ranem zwinął obóz, zaprzągnął psy i z pierwszym brzaskiem dnia ruszył śladem Krótkiego. Gdy wjechał w wąskie gardło kanionu, przodownik nastroszył uszy i zaskowyczał. Z przeciwnej strony szło sześciu Indian. Nie mieli psów, na plecach nieśli bardzo lekki

ekwipunek marszowy. Otoczyli Zawieruchę, dając mu od razu kilka powodów do zdziwienia. To, że go szukali, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Ze mówili narzeczem zupełnie mu nie znanym, też szybko wyszło na jaw. Dalej, nie byli to biali Indianie, choć wzrostem i budową przewyższali swych pobratymców z doliny Jukonu. Pięciu uzbrojonych było w muszkiety o długich lufach, jakie sprzedawało Towarzystwo Zatoki Hudsona, a szósty dzierżył w ręku winchestera, w którym Zawierucha rozpoznał broń Krótkiego.

Nie tracąc czasu, Indianie wzięli Zawieruchę do niewoli. Broni nie miał, więc się nie opierał. Bagaż z sanek podzielili między sobą, futrzane śpiwory Krótkiego i Zawieruchy wpakowali na plecy jeńcowi. Z psów zdjęli uprząż, a gdy protestował, jeden z Indian na migi wyjaśnił mu, że szlak jest za ciężki na sanki. Widząc, że nie ma innej rady, Zawierucha ukrył sanki, wbijając je na sztorc w śnieg na brzegu strumienia i pomaszerował pod strażą Indian. Szli na północ, ku kępie jodeł, którą Zawierucha ujrzał poprzedniego dnia po południu. Dwanaście mil przebyli łożyskiem potoku. W miejscu, gdzie strumień skręcał na zachód, rozstali się z nim i wąskim jego dopływem poszli w kierunku wschodnim.

Pierwszą noc spędzili w obozie, w którym niewątpliwie jacyś ludzie mieszkali przez parę dni przed nimi. W kryjówkach znaleźli zapasy suszonego łososia i mięsa konserwowanego na sposób indiański, które zabrali ze sobą. Z obozu prowadziły dalej liczne ślady rakiet śnieżnych. Pozostawili je — jak się Zawierucha domyślił — ci, którzy pojмали Krótkiego. Nim zapadł zmrok, udało mu się rozpoznać ślady przyjaciela — jego rakiety były węższe niż Indian. Zapytał o to na migi swych konwojentów. Kiwali głowami potwierdzająco i wskazywali na północ.

W ciągu następnych dni stale wskazywali na północ, a szlak, wijąc się i kręcąc wśród chaosu niebotycznych szczytów, też wytrwale dążył na północ. Raz po raz pośród nagiej pustki śnieżnej wydawało się, że droga jest zagrodzona, a jednak szlak zawsze tak się kręcił i zwijał, że znajdował niskie działy wód, omijając strzeliste, niedostępne łańcuchy górskie. Im wyżej się wznosili, tym głębsze zaspasy zalegały szlak. Nie zdejmowali rakiet z nóg. Na dobitkę Indianie byli młodzi i posuwali się naprzód lekko i żwawo. Zawierucha nie mógł się oprzeć uczuciu dumy, że bez trudu dotrzymuje im kroku. Młodzieńcy zaprawiali się do trudów szlaku i posługiwali rakietami od dziecka, ale Zawierucha był w tak świetnej formie, że górską przeprawę znosił nie gorzej od nich.

Po sześciu dniach dotarli do najwyższej przełęczy i przeprawili się przez nią. Choć nie sięgała otaczających ją szczytów, biegła na zawrotnych wysokościach i nie dałoby się jej przebyć załadowanymi sankami. Przez pięć następnych dni krętym szlakiem schodzili coraz niżej, aż wreszcie weszli w otwartą, lekko falującą wzgórzami krainę, którą przed dziesięciu laty odnalazł La Perle. Zawierucha poznał ją od pierwszego wejrzenia. Dzień był mroźny, termometr wskazywał czterdzieści stopni poniżej zera, powietrze było tak przejrzyste, że wzrok sięgał na odległość stu mil. Przed oczami Zawieruchy roztaczała się olbrzymia, falista równina. Na wschodzie wznosiły swe niebotyczne, śnieżne szańce Góry Skaliste. Na południu i zachodzie ciągnęły się poszarpane łańcuchy skalistych szczytów, przez które niedawno się przeprawili. Tutaj, w olbrzymiej dolinie pośród gór, leżała kraina, którą przewędrował kiedyś La Perle — teraz okryta śniegiem, ale na pewno w innej porze roku bogata w zwierzynę, a latem uśmiechnięta, zieleniejąca lasami, okryta kwieciami.

Koło południa, idąc z biegiem szerokiego potoku, minęli wierzby, tonące w śnieżnych zaspach i nagie osiki, przeszli równinę gęsto porośłą lasem i dotarli do wielkiego, niedawno opuszczonego obozu. Gdy przechodzili koło niego, Zawierucha oszacował ilość wygasłych ognisk na czterysta do pięciuset, z czego wywnioskował, że w obozie koczowało parę tysięcy ludzi. Szlak był tak świeży i tak ubity, że zdjęli rakiety i w samych mokasynach żwawym krokiem pomaszerowali dalej. Pojawiły się tropy zwierzyny, było ich coraz więcej. Nie brakowało również wilczych i rysich śladów. W pewnej chwili jeden z Indian z radosnym okrzykiem wskazał na rozległą polanę, usianą wypolerowanymi przez kły drapieźników

czerepami karibu, stratowaną i zrytą, jakby dwie armie stoczyły tu walkę. Zawierucha domyślił się, że po ostatnim opadzie śnieżnym myśliwi wyprawili tu wielką rzeź karibu.

Nastał długi zmierzch, ale Indianie nie kwapili się z rozbiciem obozu. Wśród gęstniejącego mroku wciąż parli naprzód, aż na niebie zamigotały wielkie gwiazdy, których blask przyćmiewała zielonkawa mgła tętniącej zorzy polarnej. Psy Zawieruchy pierwsze dosłyszały odgłosy obozu. Nastawiły uszu i cicho, tęsknie zaskowyczały. A potem do ludzkich uszu dobiegły z dala niewyraźne odgłosy, wcale jednak niepodobne do kojącego szumu dalekich ech. Był to dziki pisk, przeraźliwa wrzawa, którą przeszywały jeszcze bardziej dojmujące głosy — przeciągłe wycie ogromnej zgrai wilczurów, skowyt trwogi i bólu, posepny, beznadziejny, wyzywający. Indianie przyspieszyli kroku. Nogi po dwunastu godzinach marszu poderwały się jeszcze raz. Indianie to biegli, to szybko dreptali. Gdy wynurzyli się z mroku jodłowego lasu, oślepił ich nagle blask licznych ognisk, ogłuszyła wrzawa. Leżał przed nimi olbrzymi obóz.

Przedzierali się krętą dróżką przez myśliwskie obozowisko, a potężny zgiełk wzbierał jak fala na ich powitanie i przetaczał się za nimi: krzyki, pozdrowienia, pytania, odpowiedzi, wymiana docinków, warkot rozjuszonych wilczurów, które niczym kudłate bomby spadały na obce psy Zawieruchy, wyzwiska bab, śmiech, dziecięcy płacz, kwilenie niemowląt, jęki obudzonych ze snu chorych, cały piekielny zgiełk obozu pierwotnych, dzikich ludzi. Oddziałek Zawieruchy pałkami i kolbami odpędzał napastników od jego psów, które szczyrzyły kły, warczały i przerażone liczebnością nieprzyjaciół, kryły się między nogami swych obrońców, jeżąc sierść i stąpając na sztywnych nogach.

Zatrzymali się na udeptanym śniegu, gdzie przy ognisku siedział w kucki Krótki wraz z dwoma młodymi Indianami, piekąc piastry mięsa karibu. Trzej inni indiańscy młodzieńcy, którzy leżeli okryci futrami na posłaniu z jodłowych gałązek, podnieśli się teraz i usiedli.

Krótki wykrzywił gębę w dobrze znanym Zawierusze uśmiechu.

— Kiedy cię capnęli? — spytał.

— Na drugi dzień po twoim odejściu.

— Hm — odparł Krótki, a w oczach zatańczyły mu wesołe iskierki. — Owszem, powodzi mi się świetnie, serdeczne dzięki za pamięć. To jest obóz kawalerów. — Szerokim gestem wskazał na otaczające go wspaniałości: ognisko, posłania z gałązek jedliny ułożone na śniegu, wigwamy ze skór karibu i osłony od wiatru, uplecione z gałązek jodły i łóz wierzby.

— A tu masz kawalerów. — Tym razem ręka Krótkiego wskazała na młodzieńców.

Dobyl przy tym z siebie parę gardłowych dźwięków w ich narzeczu, a oni widocznie zrozumieli, bo oczy im się zaświeciły i zęby błysnęły uśmiechem. — Radzi są, że cię poznali. Siadaj i susz mokasyny, a ja się zakręcę kolo kolacji. Nie najgorzej szwargoczę z nimi, co? Ty też musisz zabrać się do nauki, bo wygląda mi na to, że zabawimy wśród nich czas dłuższy. Jest tu jeszcze jeden biały. Dał się złapać sześć lat temu, nad Wielkim Jeziorem Niewolniczym. Danny McCan się zowie. Ożenił się ze *squaw*. Ma już dwoje dzieci, ale da nogę, jeśli tylko nadarzy się okazja. Widzisz małe ognisko na prawo? Tam właśnie mieszka.

Najwidoczniej Zawierucha miał mieszkać pośród kawalerów, bo konwojenci zostawili go tutaj wraz z psami i poszli w głąb obozowiska. Podczas, gdy suszył mokasyny i pochłaniał gorące piastry mięsa, Krótki kucharzył i obracał jęzorem.

— Nie ma co, zdrowo wdepnęliśmy, możesz mi wierzyć, Zawierucha. Trzeba będzie na głowie stawać, żeby się stąd wydostać. To są prawdziwe, czystej wody indiańskie dzikusy. Biali nie są, ale mają białego wodza. Gada, jakby gorące kluchy miał w gębie, ale jeżeli nie jest czystej krwi Szkotem, to w ogóle nie, ma Szkotów na świecie. To jest mąż nad mężczyznami, sam najgłówniejszy wódz tego całego tałatajstwa. Wszyscy go słuchają. Zechciej wbić to sobie w głowę od samego początku. Danny McCan już sześć lat próbuje stąd wiać. Niezły z niego gość, ale słaby duch w nim się telepie. Wie, którędy można by uciec. Zwietrzył to na wyprawach łowieckich; trzeba iść na zachód od drogi, którą myśmy tu przyszli. McCan nie

miał odwagi ryzykować w pojedynkę. We trzech dałoby się zrobić. Brodacz jest równy gość, tylko jednej klepki mu brakuje.

— Co za brodacz? — spytał Zawierucha, robiąc krótką przerwę w pałaszowaniu gorących płatów mięsa.

— Najważniejszy facet — Szkot. Przyjmie cię jutro i bardzo wyraźnie da ci do zrozumienia, że jesteś tylko nędznym robakiem na jego włościach. Wbij sobie w pałkę, że cała ta ziemia należy do niego, że nikt jej nie zbadał, nic o niej nie wiadomo, że brodacz jest tu udzielnym panem. Już on ci o tym nie pozwoli zapomnieć. Posiada jakieś dwadzieścia tysięcy mil kwadratowych terenów łowieckich. To są biali Indianie, on i dziewczę. Fiu! Nie patrz tak na mnie. Musisz ją najpierw zobaczyć. Jest na co popatrzeć. Biała jak jej tatuś — córka brodacza. A karibu! Sam widziałem. Sto tysięcy żywych kawałków świeżego mięsa biega po polach, a dziesięć tysięcy wilków i dzikich kotów goni za nimi, żywiąc się maruderami i resztkami. Stada wędrują teraz na wschód. Za parę dni pójdziemy ich śladem. Zjadamy psy, a czego się nie zje, to się wędzi i zaprawia, żeby było na wiosnę, zanim pokażą się łososie. Słuchaj, ten brodacz zna się na karibu i łososiu jak nikt na świecie, możesz mi wierzyć.

Rankiem kawalerowie, siedząc w kucki, piekli mięso nad ogniskiem, a co upiekli, to zjadali. Zawierucha spojrział w górę i zobaczył małego, szczupłego mężczyznę, odzianego w skóry jak Indianin, lecz niewątpliwie białego. Mężczyzna ów kroczył przed psim zaprzęgiem, a za sankami maszerował orszak złożony z tuzina Indian. Zawierucha złamał kość, ssał dymiący szpik i przyglądał się swemu gospodarzowi. Krzaczasta broda i żółtawosiwe włosy, okopcone przy obozowym ognisku, okrywały twarz, jednak przeświecały wychudłe, niemal trupio blade policzki. Zawierucha dostrzegł rozwarłe nozdrza i szeroką, wypukłą pierś, co świadczyło, że chudość jest oznaką zdrowia.

— Witam — odezwał się brodacz. Zdjął rękawicę i wyciągnął dłoń do Zawieruchy. — Nazywam się Snass.

— Bellew — odparł Zawierucha, patrząc w przenikliwe, czarne oczy tamtego.

— Widzę, że jest co jeść.

Zawierucha kiwnął głową i wrócił do swojej kości. Szorstka szkocka wymowa dziwnie miło zabrzmiała mu w uszach.

— Niewybredne jedzenie. Ale rzadko tu się głoduje. A pokarm jest bardziej naturalny niż miejskie mięso, wyhodowane przez ludzi. — Odwrócił się gniewnie, lecz zapanował nad sobą i rzucił przez ramię: — Jeszcze się zobaczymy, panie Bellew. Karibu wędrują na wschód, muszę więc wyprzedzić pochód i wybrać miejsce na obóz. Jutro wszyscy ruszycie w drogę.

Tego samego ranka Zawierucha wybrał się na spacer. Mieszkańcy obozu oddawali się swym prostym, codziennym zajęciom. Właśnie wrócił wielki oddział myśliwych. Mężczyźni rozchodzili się do swoich ognisk. Kobiety i dzieci bądź odprowadzały psy wraz z próżnymi toboganami*, bądź pomagały psom ciągnąć sanki, wyładowane świeżym i już zmarzniętym mięsem, zdobytym na łowach. Był mroźny dzień przedwiośnia i cała ta scena z życia pierwotnego ludu rozgrywała się przy temperaturze trzydziestu stopni poniżej zera. Nie widać było zwyczajnej, tkanej odzieży. Wszyscy nosili futra lub miękko wyprawione skóry. Przechodzili chłopcy z łukami w rękach i z kołczanami pełnymi strzał o kościanych grotach. Wielu miało za pasem lub w pochwie wiszącej u szyi noże do rycia w kości czy kamieniu. Pochylone nad ogniskami niewiasty wędziły mięso, a na ich plecach bachory rozglądały się okrągłymi ze zdziwienia oczami i ssały kawałki łoju. Psy, blisko spokrewnione z wilkami, jeżyły się na widok Zawieruchy i niuchały zapach przybysza, z którego obecnością w obozie musiały się pogodzić pod groźbą krótkiej pałki.

* *Tobogan* — długie niskie sanki z cienkich desek, o płaskim dnie i zagiętym w górę przodzie.

W samym sercu obozu płonęło samotne ognisko, należące niewątpliwie do Snassa. Siedziba wodza, choć tymczasowa, urządzona była bardzo starannie. Wielki stos skór i ekwipunku leżał na wysokim pomoście, aby nie mogły go dostać psy. Duże płótno brezentowe tworzyło coś na kształt namiotu, pod którego osłoną mieściła się sypialnia i jadalnia wodza. Obok wznosił się namiot z jedwabnego materiału, z rodzaju tych, w jakich lubują się eksploratorzy i bogaci łowcy grubego zwierza. Zawierucha nigdy przedtem nie widział takiego namiotu, podszedł więc bliżej. Stał jeszcze i przyglądał się, gdy zasłony u wejścia rozchyliły się i z namiotu wyszła młoda kobieta. Ruchy jej były tak szybkie i pojawiła się tak niespodziewanie, że zrobiła na nim wrażenie zjawy nie z tego świata.

Ubrana była w futro, ale tak wspaniałe i tak pięknie uszyte, że Zawierucha zupełnie stracił głowę. *Parka* i odrzucony w tył kaptur były z jakiegoś dziwnego, niezwykle jasnego, srebrnego futra. Trzewiki na podszwach ze skóry morsa uszyte były ze srebrnych, rysich łapek. Długie rękawice, frędzle u kolan i najrozmaitsze inne futrzane ozdoby stroju srebrzyły się migotliwie w mroźnym powietrzu, a ponad owym falującym srebrem, na szczupłej, delikatnej szyi opierała się jasna główka o różowych policzkach, niebieskich oczach, uszach jak muszelki i jasnokasztanowatych włosach, w których błyszczały kryształki szronu. Wszystko to Zawierucha ujrzał jak we śnie. Ochłonawszy, sięgnął ręką do czapki. W tej chwili, zdziwienie w oczach dziewczyny zmieniło się w uśmiech. Ściągnęła rękawicę i wyciągnęła do niego dłoń.

— Miło mi pana poznać — powiedziała cicho i z wielką powagą. W jej głosie, srebrzystym jak futra, które miała na sobie, zabrzmiał dziwny, rozkoszny akcent. Dla uszu Zawieruchy, przywykłych do ochrypłych głosów obozowych niewiast, była to wielka niespodzianka.

Wyjąkał parę nieskładnych frazesów, jakie zdołał sobie przypomnieć z czasów, gdy wiódł życie światowe.

— Cieszę się, że pana poznałam — mówiła, szukając słów i marszcząc twarz w uśmiechu. — Strasznie przepraszam za mój język angielski. Nie jest dobry — zapewniała z poważną miną. — Mój ojciec, on jest Szkotem. Moja matka, ona nie żyje. Była Francuzką, Angielką, a po trochu Indianką także. Jej ojciec był wielkim człowiekiem w Towarzystwie Zatoki Hudsona. Brr! Ale zimno! — Włożyła rękawice i natarła sobie uszy, które z różowych zrobiły się białe. — Chodźmy do ogniska, porozmawiamy. Nazywam się Labiskwee. A panu jak?

Tak Zawierucha zawarł znajomość z Labiskwee, córką Snassa.

W ciągu następnych dni, kiedy cały obóz posuwał się śladem karibu, Zawierucha zebrał mnóstwo wiadomości. Byli to prawdziwi dzicy Indianie, ci sami, których spotkał i którym umknął przed wielu laty Anton. Znajdowali się teraz blisko zachodniej granicy swoich terenów. Latem zapuszczali się daleko na północ, aż po tundrę na brzegu Oceanu Lodowatego, a na wschód — po rzekę Luskwa. Jaką rzekę Indianie tak nazywali, tego Zawierucha nie mógł dojść. Nie wiedziała Labiskwee, nie wiedział McCan. Snass na czele oddziału doborowych myśliwych docierał czasem na wschód od Gór Skalistych, aż za krainę jezior i rzekę Mackenzie, do Barren Grounds. Właśnie podczas ostatniej wyprawy w tamte strony znaleźli namiot z jedwabiu, w którym teraz mieszkała Labiskwee.

— Należał do ekspedycji Millicenta i Adbury’ego — powiedział Zawierusze Snass.

— Ach! Pamiętam. Wyprawili się na woły piżmowe. Ekspedycja ratunkowa nie odnalazła ich śladów.

— A ja ich odnalazłem. Martwych.

— Świat dotąd nic o nich nie wie. Żadna wieść nie doszła.

— Stąd żadna wieść nie dochodzi — uprzejmie zapewnił Snass.

— To znaczy, że gdyby odnalazł ich pan żywych...

Snass kiwnął głową.

— Żyliby ze mną i z moim ludem.

— Anton jednak uszedł — atakował Zawierucha.

— Nie pamiętam tego nazwiska. Kiedy to było?

— Czternaście, piętnaście lat temu.

— Popatrz, popatrz, jednak się wykaraskał. A wie pan, że nieraz myślałem sobie, co też z nim się stało. Nazywaliśmy go Długi Ząb. To był kawał chłopa, na pewno!

— La Perle przewędrował tedy przed dziesięciu laty.

Snass potrząsnął głową.

— Odnalazł ślady pańskich obozów. To było w lecie.

— A to możliwe — odparł Snass. — W lecie zapuszczamy się setki mil na północ.

Wszystkie jednak wysiłki Zawieruchy, aby się dowiedzieć czegoś o życiu Snassa, zanim przybył do dzikiego kraju na północy, spaliły na panewce. Był to niewątpliwie człowiek wykształcony, ale od wielu lat nie miał w rękach ani książki, ani gazety. Co się zdarzyło w świecie przez ten czas, nie wiedział i nie miał najmniejszej ochoty wiedzieć. Słyszał o górnikach nad Jukonem i odkryciu złota w Klondike, lecz poszukiwacze złota nie zapędzili się nigdy do tej krainy. Świat poza granicami jego państwa nie istniał dla niego. Nie chciał o nim słyszeć.

Od Labiskwee też nie mógł niczego się dowiedzieć o przeszłości Snassa. Urodziła się tutaj, w łowieckiej krainie. Miała sześć lat, gdy umarła jej matka. Była to piękna kobieta — jedyna biała, jaką Labiskwee widziała w swym życiu. Powiedziała to z nutą tęsknoty, podobnie, jak na tysiąc sposobów dawała mu do zrozumienia, że wie o istnieniu wielkiego świata, do którego wrota zatrzaskał jej ojciec. Ale kryła się z tym, bo od dawna wiedziała, że każda wzmianka o szerokim świecie wprawia ojca w pasję.

Od Danny McCana nie można było dowiedzieć się niczego. Nie znośił przygód. Dzikie życie uważał za okropność, a spędził w ten sposób już dziesięć lat. Przemocą wcielony po pijanemu w San Francisco do załogi statku wielorybniczego, wraz z trzema towarzyszami uciekł, gdy przybili do Przylądka Barrow. Dwóch zmarło, trzeci porzucił go podczas straszliwej przeprawy lądem na południe. Przez dwa lata żył wśród Eskimosów, zanim odważył się zaryzykować jeszcze raz marsz na południe. Był już o parę dni drogi do faktorii Towarzystwa Zatoki Hudsona, gdy zagarnął go oddział młodych myśliwych Snassa. Był to mały człeczyna, głupiec, oczy miał kaprawe, a marzył o jednym — o powrocie do San Francisco i o tym tylko można było z nim mówić.

— Pan jest pierwszym inteligentnym człowiekiem, jakiego tu dostaliśmy — takim komplementem poczęstował Snass pewnego wieczoru przy ognisku Zawieruchę. — Pomijając starego Czterookiego. Tak go nazywali Indianie. Był krótkowidzem i nosił okulary. Profesor zoologii. Umarł przed rokiem. Moja młodzież ujęła go, gdy się odłączył od wyprawy nad górną Porcupine i zbłądził. Inteligentny człowiek, o tak. A przy tym głuptak. Miał jedną słabość — wciąż się gubił. Ale znał się na geologii i obróbce metali. Nad Luskwą jest węgiel. Mamy tam parę założonych przez niego całkiem przyzwoitych kuźni. Naprawiał nam strzelby i przyuczył do tego młodych myśliwych. Umarł w zeszłym roku, bardzo go nam brak. Co się stało? Zbłądził, rzecz prosta, i zamarzył o milę od obozu.

Tego samego wieczoru Snass powiedział do Zawieruchy:

— Najlepiej by pan zrobił, gdyby wybrał sobie żonę i założył własne ognisko.

Wygodniej by się panu żyło niż z tymi młokosami. Panińskie ognie — wie pan, to jest takie dziewicze święto — zapala się dopiero w lecie, gdy przyplynie łosoś, ale mogę wyznaczyć święto wcześniej, jeśli pan sobie tego życzy.

Zawierucha śmiał się i potrząsał głową.

— Pamiętaj — łagodnie upomniął go Snass na zakończenie rozmowy — że jednemu tylko Antonowi udało się stąd wydostać. Był to szczęściarz, wielki szczęściarz.

— Jeśli nawiejemy, trzeba będzie dobrze naciągać pedały — powiedział z ponurą miną Krótki.

— Cały ten kraj to jedna wielka pułapka — przyświadczył mu Zawierucha.

Ze szczytu samotnego, nagiego wzgórza spoglądali na śnieżne królestwo Snassa, od wschodu, zachodu i południa odgródzone od reszty świata wysokimi szczytami i splątanymi górskimi masywami. Falista równina biegła na północ, zdawałoby się, bez końca, wiedzieli jednak, że i w tym kierunku pół tuzina łańcuchów górskich tarasuje drogę.

— O tej porze roku — powiedział wieczorem Snass do Zawieruchy — mógłbym wysłać pogoń nawet trzy dni po waszej ucieczce. Siadów po sobie nie zatrzenie. Anton uciekł, gdy stajął śnieg. Moi młodzieńcy potrafią gonić nie gorzej niż najlepsi biali biegacze, a poza tym torowalibyście im drogę. Kiedy zaś śnieg zniknie, postaram się, żebyście nie mieli takiej okazji, jaka trafiła się Antonowi. Ale tu dobrze się żyje i szybko zapomina o świecie. Do tej pory nie mogę się nadziwić, jak łatwo człowiek obywa się bez świata.

— Ten Danny McCan okropnie mnie martwi — zwierzał się Zawierusze Krótki. — Piechur z niego słabosilny. Ale klnie się, że zna drogę na zachód. Trzeba więc jednak z nim się dogadać.

— Wszyscy trzej jesteśmy w tej samej sytuacji — oparł Zawierucha.

— Właśnie, że nie. Tylko patrzeć, jak ci się to zwali na głowę.

— Co się zwali? O czym ty mówisz?

— Toś nic nie słyszał?

Zawierucha potrząsnął głową.

— Kawalerowie mi mówili. Sami dopiero co się dowiedzieli. To będzie dziś wieczór, na wiele miesięcy przed terminem. Zona Danny'ego im powiedziała — Krótki przerwał, aby spotęgować wrażenie. — A ja się dowiedziałem od kawalerów. Dziś wieczór będą zapalone panięskie ognie. To wszystko. Jak ci się to podoba?

— Nic nie kapuję, Krótki.

— Czego znów nie kapujesz? Przecież to jasne jak słońce i proste jak drut. Jedno dziewczę ma się ku tobie i dziewczę to rozpali ognisko, a na imię mu jest Labiskwee. Oho! Patrzyłem, jak cię pożera wzrokiem, kiedyś nie widział. Nigdy nie paliła ogniska. Nie chciała wyjść za Indianina. A kiedy teraz rozpala ognisko, to się wie, że ma na oku mojego starego przyjaciela, biednego Zawieruchę. Ej! Posłuchaj no!

Trzy staruchy zatrzymały się w pół drogi między obozem kawalerów a siedzibą McCana. Najstarsza z nich zaczęła coś recytować skrzekliwym falsetem.

Zawierucha dosłyszał imiona, ale nie wszystko zrozumiał, Krótki więc przetłumaczył mu, smętnie się przy tym uśmiechając.

— Labiskwee, córka Snassa, Wielkiego Wodza, rozpali dziś pierwszy swój panięski ogień. Maka, córka Owitsa, Postrachu Wilków...

Trzy staruchy wyrecytowały imiona kilkunastu dziewcząt, po czym podreptały dalej, żeby obwieścić nowinę przy innych ogniskach i w ten sposób spełnić swą rolę heroldów. Kawalerowie, którzy poprzysięgli sobie — jak to młodzi ludzie — że się nawet nie odezwą do dziewcząt, nie okazywali najmniejszego zainteresowania zbliżającym się obrzędem. Aby dobitnie okazać swą wzdargę, zaczęli się szykować do niezwłocznego wymarszu na wyprawę nakazaną przez Snassa, na którą mieli się wybrać dopiero następnego dnia. Snass bowiem na podstawie meldunków myśliwych doszedł do wniosku, że stado, które ścigają, nie jest dosyć liczne, i postanowił podzielić swe siły. Kawalerowie otrzymali zadanie przeprowadzenia zwiadu na północy oraz zachodzie i wytopienia drugiej części wielkiego stada.

Zmartwiony planami Labiskwee, Zawierucha oznajmił, że chce się przyłączyć do kawalerów. Przedtem jednak porozumiał się z Krótkim i McCanem.

— Będiesz tam na trzeci dzień — powiedział Krótki. — My tymczasem postaramy się o prowiant i psy.

— Ale pamiętaj — uprzedził go Zawierucha. — Gdybyśmy się tam nie spotkali, masz walić dalej, aż do Jukonu. Umowa stoi. Ale jak ci się uda, to w lecie wrócisz po mnie. McCan, od swego ogniska, wskazał im oczami skalistą górę w miejscu, gdzie wysoki łańcuch na zachodzie wrzynał się w równinę.

— To tam — powiedział. — Od strony południowej mały strumień. Wejdziemy jego łożyskiem. Trzeciego dnia spotkasz się tam z nami. Potem pójdziemy dalej. Gdziekolwiek dojdiesz do tego strumienia, spotkasz nas, albo trafisz na nasze ślady.

Trzeciego dnia jednak Zawierucha nie nadarzyła się okazja. Kawalerowie zmienili kierunek zwiadów. Kiedy więc Krótki i McCan pili się z psami łożyskiem strumienia, Zawierucha o sześćdziesiąt mil na północo-zachód tropił wraz ze swymi kawalerami ślad drugiego stada karibu. W parę dni później, pośród szarej śnieżnej zadymki, wrócili do obozu. *Squaw*, która lamentowała u ogniska, doskoczyła do Zawieruchy. Patrzyła nań oczami nieprzytomnymi od nienawiści. Chrapliwym głosem lżyła go, wskazując obu rękami na okrytą futrem nieruchomą postać, leżącą do tej pory na sankach, które przywiozły ją do obozu.

Co się stało, Zawierucha mógł się tylko domyślić. Toteż gdy podszedł do ogniska McCana, był przygotowany na nową porcję obelg. Tymczasem ujrzał McCana w jego własnej osobie, żującego zawzięcie kawał mięsa karibu.

— Nie mam wojowniczego usposobienia — płaczliwie tłumaczył się McCan. — Ale Krótki nawiał. Chociaż oni go jeszcze gonią. Bił się jak szatan. Złapią go na pewno. Nie ma żadnych widoków. Dwom zuchom zdrowo przysolił, ale się wylizają. Trzeciemu przedziurawił pierś na wylot.

— Wiem — odparł Zawierucha. — Właśnie spotkałem wdowę.

— Stary Snass chce cię zobaczyć — dodał McCan. — Wydał rozkaz, żebyś, jak tylko wrócisz, przyszedł do niego. Ja pary z ust nie puściłem. Ty też nic nie wiesz. Pamiętaj! Krótki poszedł ze mną, bo sam chciał.

Przy ognisku Snassa Zawierucha spotkał Labiskwee. Spojrzała na niego oczami, w których tyle było słodyczy i tkliwości, że się na dobre przestraszył.

— Cieszę się, że pan nie próbował ucieczki — powiedziała.

— Widzi pan, ja... — Zawahała się, ale nie spuściła oczu. Jaśniały blaskiem, który nie budził żadnych wątpliwości. — Zapaliłam ogień dla pana. Jest mi pan miłszy nad wszystko w świecie. Miłszy niż mój ojciec. To bardzo dziwne.

Zawierucha nikt jeszcze się nie oświadczył i dlatego nie wiedział, co się w takim wypadku robi. Co gorsza, nie były to oświadczyń. Labiskwee nawet nie pytała o zgodę. Zaczęła szczebiotać, zrzucając z serca słodki ciężar miłości, a on zmagał się z sobą, nie mogąc zdobyć się na to, by zranić jej serce wyznaniem prawdy. Na samym początku można było jeszcze wszystko zażegnać.

Ale właśnie z śnieżycy wynurzył się Snass i podszedł do ogniska. Zawierucha niczego już nie mógł wyjaśnić.

— Dobry wieczór — burknął opryskliwie Snass. — Pański kolega narobił sosu. Cieszę się, że pan jest rozsądniejszy.

— Może zechce mi pan powiedzieć, co się stało — żywo odparł Zawierucha.

Zza poźółkłej brody błysnęły białe zęby, wcale nie przyjaźnie.

— Owszem, powiem panu. Pański kolega zabił jednego z moich ludzi. Ten zasmarkany fafel, McCan, stchórzył po pierwszym strzale. Nigdy już więcej nie będzie uciekał... Moi łowcy ścigają pańskiego kolegę i już oni dostaną go w ręce. Nigdy nie zobaczy doliny Jukonu. A pan odtąd będziesz spał przy moim ognisku. Koniec wypraw z młodymi łowcami. Sam będę miał oko na pana.

Przy ognisku Snassa Zawierucha znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Widywał teraz Labiskwee częściej niż dawniej. Była tak urocza i niewinna, że jej jawna miłość przerażała

Zawieruchę. Patrzyła na niego zakochanymi oczyma, każde jej spojrzenie było pieśczętą. Sto razy zbierał się powiedzieć jej o Joy Gastell i sto razy przyznawał w duchu, że jest tchórzem.

— Posłuchaj — mówił McCan. — Wiosna idzie, jest odwilż, gołoledź okryła śnieg. Można by śmiało wybrać się w drogę, gdyby nie wiosenne burze w górach. Wiem coś o tym. Z nikim innym, ale z tobą bym uciekł.

— Nie umiesz uciekać — odparł Zawierucha. — Żadnemu mężczyźnie nie dotrzymasz kroku. Kręgosłup masz miękki jak podgrzany szpik. Gdybym chciał wiać, zrobię to sam. Ale świat coraz mniej mnie nęci i nigdy chyba stąd nie ucieknę. Mięso karibu bardzo mi smakuje, lato niedaleko i będziemy jedli łososia.

A Snass mówił tak:

— Twój kolega nie żyje. Nie padł z ręki moich myśliwych. Znaleźli jego zwłoki. Zamarzył w górach podczas pierwszej burzy wiosennej. Nikt stąd nie ucieknie.

Labiskwee zaś mówiła tak:

— Patrzę na ciebie i widzę troskę w twoich oczach i na twym obliczu. Och, dobrze znam tę twarz. Masz małą szramę na karku, poniżej ucha. *Gdy* jesteś wesół, podnoszą ci się kąty ust. A kiedy nękają cię smutne myśli, kąty opadają. Czy świat jest taki dobry, że tęsknisz za nim?

Westchnęła i potrząsnęła głową.

— Gdybyś tu został na zawsze, to umierając, jeszcze odczuwałbyś głód świata, prawda? Czy chcesz uciec i wrócić do białych ludzi?

Zawierucha zaniemówił, ale wyczytała odpowiedź w kątach jego ust.

Milczeli. Labiskwee najwidoczniej zmagala się z sobą, a Zawierucha przeklinał w duchu swą niewytłumaczalną słabość, która nie pozwalała mu wyznać, że trawi go głód świata i że jest jeszcze inna kobieta.

Labiskwee znowu westchnęła.

— Doskonale. Kocham cię bardziej, niż boję się gniewu ojca, a jest to gniew straszniejszy od górskiej burzy. Powiedziałaś mi, czym jest miłość. Oto masz dowód mego uczucia. Pomogę ci uciec i wrócić do świata.

Zawierucha ocknął się i leżał cicho, bez ruchu. Małe, ciepłe palce dotknęły jego policzka, delikatnie przesunęły się niżej i przylgnęły do warg. Potem futro owiane mrozem połaskotało go po twarzy i ktoś szepnął mu do ucha jedno słowo: „Chodź”. Usiadł ostrożnie i nasłuchiwał. Setki obozowych wilczurów zawodziło swą nocną pieśń, ale na tym tle wyraźnie słyszał z bliska lekki, regularny oddech Snassa.

Labiskwee pociągnęła go delikatnie za rękaw. Zrozumiał, że chce, aby poszedł za nią. Wziął mokasyny i skarpety i wyczołgał się na śnieg. Gdy znaleźli się poza kręgiem blasku dogasającego ogniska, pokazała mu na migi, żeby włożył mokasyny. Usłuchał, a ona wróciła do namiotu, w którym spał Snass.

Dochodziła godzina pierwsza nad ranem. Noc była ciepła, nie więcej niż dziesięć stopni poniżej zera. Labiskwee wróciła i poprowadziła go ciemnymi uliczkami uspionego obozu. Chociaż starali się iść jak najciszej, śnieg skrzypiał im pod nogami, ale chrzęst mokasynów głużyło wycie psów, które tak się zapamiętały, że żaden nie warknął na przechodzącą parę.

— Teraz możemy pomówić — odezwała się Labiskwee, gdy ostatnie ognisko zostało pół mili za nimi.

Odwróciła się do niego i dopiero teraz zobaczył w świetle gwiazd, że dźwiga jego rakiety, strzelbę, dwie ładownice i futrzany śpiwór.

— O niczym nie zapomniałam — mówiła, uśmiechając się radośnie. — Przez dwa dni gromadziłam zapasy w kryjówce. Jest tam mięso, a nawet mąka, Są narty, najlepsze przy

gołoledzi, a gdy zaczną grzęznąć w śniegu, rakiety utrzymają nas na powierzchni. O, umiem maszerować po śniegu i będziemy szli szybko.

Zawierusze odebrało mowę. Wystarczającym powodem do zdumienia było, że Labiskwee przygotowała jego ucieczkę, ale że sama się z nim wybierze, tego nigdy by się nie spodziewał. Zupełnie zbity z tropu, delikatnie odbierał jej po kawałku bagaż, jaki dźwigała. Objął ją ramieniem i mocno przycisnął do siebie. Obraz jasnego światła, dalekich słonecznych krajów zakotłosał się w jego pamięci i począł rozwiewać.

— Wracamy, Labiskwee — powiedział. — Zostaniesz moją żoną i po wszystkie dni będziemy żyli z ludem Karibu.

— Nie! Nie! — potrząsnęła głową. — Wiele myślałam. Najdzie cię głód świata i długimi nocami będzie ci żari serce. Wszyscy mężczyźni stamtąd tęsknią za światem. Przebijemy się przez śnieżne góry na południe.

— Musimy wrócić — nalegał.

— Idziemy dalej, do kryjówki — odparła stanowczo. — Trzy mile stąd. Chodź. Nie ruszył się z miejsca, walcząc z pokusą powiedzenia jej o kobiecie za górami, na południu. — Bardzo źle zrobiłbyś, gdybyś wrócił. Ja... ja jestem tylko dzikuską i boję się świata. Ale jeszcze bardziej lękam się o ciebie. Słuchaj, kocham cię nad wszystko w świecie. Więcej niż samą siebie. Język indiański nie ma na to słów. I angielski nie ma. W moim sercu jest tyle myśli o tobie, ile gwiazd na niebie, i takich jasnych — żaden język tego nie wypowie. Jakże mogłabym to wyrazić!

Zawierucha nie opierał się więcej. Poprzedniego dnia śnieg odtajał z wierzchu, lecz w nocy porządnie przymarzył — pędzili na nartach po twardej skorupie lodu.

— Tutaj, w tym lasku jest kryjówka — powiedziała Labiskwee.

Nagle chwyciła go za ramię, wzdrygnąwszy się ze zdziwienia. Płomień małego ogniska wesoło tańczył, a przy ognisku siedział w kucki McCan.

— Wiedziałem, że będziesz uciekał beze mnie — tłumaczył się McCan, a świdrujące oczka błyszczały mu chytrze. — Więc miałem dziewczynę na oku, a gdym zobaczył, że ukrywa narty i prowiant, już byłem w domu. Przyniosłem własne narty, rakiety i żywność. Ognisko? Ależ nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Obóz śpi i chrapie, a ja tu marzę, czekając na was. Czy zaraz wyruszamy w drogę?

— McCan, jesteś psem! — syknęła Labiskwee. W oczach jej płonął dziki gniew. — Wiem, co knujesz. Obudzisz obóz, jeśli cię nie weźmiemy. Doskonale. Musimy cię wziąć. Ale znasz mego ojca. Ja jestem taka sama. Będziesz pracował na równi z nami. I będziesz słuchał. A jeśli popełnisz jakie świństwo, to pożałujesz, żeś się zabrał z nami.

McCan spojrział na nią. W jego świńskich oczkach nienawiść mieszała się ze służalczością. Labiskwee popatrzyła na Zawieruchę i gniew w jej oczach natychmiast stopniał.

— Czy dobrze mu powiedziałam? — spytała.

Świt zastał ich wśród podgórszych wzniesień, których pasmo biegło między falistą równiną a górami. McCan napomknął o śniadaniu, ale nic nie wskórał. Postanowili zjeść dopiero po południu, gdy odtaje powłoka lodowa i trzeba się będzie zatrzymać.

Wzgórza zaczęły się piętrzyć. Szli zamarznętym łożyskiem potoku, zapuszczając się w coraz głębsze kaniony. Oznaki wiosny pojawiały się rzadziej, chociaż w jednym kanionie trafili na strumień, który przerwał się w paru miejscach i toczył spienione wody, a dwa razy ujrzeli kępy karłowatych wierzb z kiełkującymi pączkami.

Labiskwee podzieliła się z Zawieruchą swą znajomością terenu i przedstawiła plan zmylenia pogoni. Są tylko dwa przejścia przez góry: jedno na zachód, drugie na południe. Snass wysłał natychmiast młodych myśliwych, aby pilnowali obu tych dróg. Ale jest jeszcze irina droga na południe. Co prawda, nie prowadzi ona na drugą stronę, lecz w pół drogi, pośród wysokich gór skręca na zachód, przecina trzy działy wód i dołącza do szlaku

wiodącego na południe. Kiedy pogoń nie znajdzie śladów na szlaku południowym, zawróci w przekonaniu, że uciekinierzy wybrali zachodni, i nikomu nie przyjdzie do głowy, że zapuścili się na trudniejszy i dłuższy szlak okrężny.

Labiskwee obejrzała się na McCana, który szedł z tyłu.

— On je — powiedziała po cichu do Zawieruchy. — Niedobrze.

Zawierucha odwrócił się. Irlandczyk wyciągał z kieszeni sadło karibu i żuł je po kryjomu.

— Jeść wolno tylko w czasie posiłków, McCan — ostrzegł.

— W górach nie ma zwierzyny, trzeba więc od samego początku dzielić żywność na równe racje.

Koło godziny pierwszej lód tak odtajał, że narty się zapadały, a przed drugą nie można się było utrzymać nawet na raketach. Rozbili obóz i zjedli śniadanie. Zawierucha sprawdził, ile mają ze sobą żywności. Okazało się, że na zapasy McCana nie ma co liczyć. Tyle napchał srebrnych lisów na dno worka, że niewiele miejsca zostało na mięso.

— Nie wiedziałem, że tyle tego jest — tłumaczył. — Pakowałem się po ciemku. Ale za te skórki można dostać masę pieniędzy. Amunicji mamy dość i możemy polować, ile dusza zapragnie.

— Wilki cię będą jadły, ile dusza zapragnie — powiedział z rezygnacją Zawierucha, a Labiskwee błysnęła gniewnie oczyma.

Obliczyli we dwójkę, że jeśli będą zaciskali pasa, prowiant-u wystarczy im na miesiąc. Zawierucha, ulegając Labiskwee, która energicznie dopominała się o swoją porcję bagażu, podzielił zawartość worków na trzy części.

Na drugi dzień dotarli łożyskiem strumienia do szerokiej kotliny. Lód już się pod nimi załamywał, gdy weszli wreszcie na twardszy grunt zbocza.

— Gdybyśmy spóźnili się o dziesięć minut, nie przeszlibyśmy już tej kotliny — powiedział Zawierucha, kiedy zatrzymali się na nagim szczycie góry, żeby trochę odsapnąć.

— Jesteśmy teraz tysiąc stóp wyżej.

Labiskwee bez słowa pokazała palcem otwartą przestrzeń w dole. Na samym jej środku, między drzewami, posuwało się z wolna pięć plamek, jedna za drugą, w znacznych odstępach.

— Młodzi myśliwi — powiedziała.

— Grzęzną po pas — dodał Zawierucha. — Dziś w żaden sposób nie staną na twardym gruncie zbocza. Mamy dobre parę godzin przewagi. Jazda, McCan. Żywo! Póki można iść, nie będziemy jedli.

McCan kwękał, ale nie miał już sadła karibu w kieszeni, pomaszerował więc za nimi, uparcie trzymając się w tyle.

Weszli w wyżej położoną dolinę, gdzie lód zaczął się kruszyć dopiero o trzeciej. Ale zdążyli w tym czasie dotrzeć do cienia rzucanego przez górę, w którym lód zamarzał z powrotem. Przystanęli, wyciągnęli sadło z zapasów McCana i jedli w marszu. Zamarznięty tłuszcz kruszył się im w ustach i trochę uspokoił głód, ściskający żołądki.

Po długim zmierzchu pod zachmurzonym niebem zapadła czarna noc. Rozbili obóz w lasku karłowatych jodeł. McCan szlochał bezradnie. Całodzienny marsz wyczerpał go zupełnie, a na domiar złego, mimo, że przez dziesięć lat spędzonych w polarnej krainie mógł się czegoś nauczyć, jadł po drodze śnieg i teraz boleśnie piekły i paliły go usta. Siedział w kucki przy ogniu i jęczał, podczas gdy tamci przygotowywali nocleg. Labiskwee była niestrudzona. Zawierucha podziwiał jej wytrzymałość, moralny hart i siłę fizyczną. Jej wesołość była najzupełniej naturalna. Śmiała się wciąż i uśmiechała do niego, a ilekroć ich ręce się spotykały, nie cofała ręki, lecz przytulała ją do jego dłoni. Ale wystarczyło jej spojrzeć na McCana, aby w oczach pojawił się lodowaty blask gniewu, a twarz tężała od bezlitosnej nienawiści.

W nocy zerwał się wiatr i zaczął sypać śnieg. Przez cały dzień przebijali się na oślep wśród śnieżnej zadymki. Nie dostrzegli, że ich szlak skręca w łożysko strumienia i przez przełęcz prowadzi na zachód. Poszli prosto. Przez dwa następne dni błądzili, przeprawiając się przez różne działy wód. W ciągu tych dwóch dni zostawili wiosnę daleko za sobą i wkroczyli do królestwa zimy.

— Młodzi myśliwi zgubili nasz ślad, może więc jeden dzień byśmy odpoczęli? błagał McCan.

Mowy jednak nie mogło być o odpoczynku. Zawierucha i Labiskwee zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Zbłądzili w wysokich górach, a nie widzieli zwierzyny, ani nawet jej śladu. Dzień po dniu walczyli z układem terenu, który z żelazną konsekwencją wpędzał ich coraz głębiej w labirynt kanionów i dolin, rzadko prowadzących na zachód. Gdy raz się znaleźli w takim kanionie, musieli brnąć dalej bez względu na to, dokąd prowadzi, bo oblodzone urwiska i wysokie góry po obu stronach były zupełnie niedostępne. Straszliwy wysiłek i mróz zżerały ich energię. Mimo to ograniczyli swe racjeienne.

Pewnej nocy Zawieruchę obudziły odgłosy walki. Z miejsca, gdzie spał McCan, dobiegało dyszenie i rżenie. Zawierucha kopnął ognisko. Buchnął płomień i w jego blasku ujrzął, że Labiskwee dusi obiema rękami McCana, zmuszając go do wyplucia kawałka na pół pogryzionego mięsa. Na oczach Zawieruchy Labiskwee sięgnęła do biodra i w jej ręce błysnął nóż wyciągnięty z pochwy.

— Labiskwee! — krzyknął Zawierucha.

Ręka zawahała się.

— Nie wolno — powiedział, podchodząc do niej.

Dziewczyna trzęsła się z gniewu, ale jej ręka, po krótkim wahaniu, opadła pomału na biodro. Jakby z obawy, że nie wytrzyma, podeszła do ognia i dorzuciła drzewa. McCan usiadł. Popłakując i warcząc, przerażony i wściekły bełkotał coś na swoje usprawiedliwienie.

— Skąd wzięłeś mięso? spytał Zawierucha.

— Obszukaj go — powiedziała Labiskwee.

Były to pierwsze jej słowa. Wypowiedziała je głosem drżącym z gniewu, którego nie mogła opanować.

McCan próbował się bronić, ale Zawierucha wziął go w żelazny uścisk, zrewidował i odebrał kawałek mięsa. Gwałtowny okrzyk Labiskwee odwrócił jego uwagę od McCana. Dostarczyła do worka Irlandczyka i zaczęła go rozwiązywać. Wysypał się mech, gałązki jedliny, kawałki kory i inne śmieci, które zajęły miejsce mięsa i wypchały worek, aby nie było widać, że mu ubyło cięzaru.

Labiskwee znów sięgnęła do biodra i rzuciła się na winowajcę. Ale Zawierucha złapał ją i w jego ramionach uspokoiła się, łkając z bezsilnej złości.

— Nie o mięso chodzi — dyszała ciężko. — O ciebie, twoje życie. To pies! On zjadł ciebie, zjadł ciebie!

— A jednak będziemy żyli — pocieszał ją Zawierucha. — Odtąd poniesie mąkę. Surowej nie będzie żał, a gdyby to zrobił, ja sam go zabiję, bo zjadłby twoje i moje życie. Przycisnął ją mocniej. — Zabijać to męska rzecz. Kobiety nie zabijają.

— Przestałbyś mnie kochać, gdybym zabiła tego psa? — spytała zdziwiona.

— Kochałbym, ale nie tak mocno — brzmiała dyplomatyczna odpowiedź.

Westchnęła z rezygnacją.

— Dobrze — powiedziała. — Nie zabiję go.

Młodzi ludzie nie ustawali w pościgu. Sprzyjało im niesłychane szczęście, dzięki czemu odnaleźli przysypany przez śnieżycę ślad i mocno się go trzymali. Gdy padał śnieg, Zawierucha i Labiskwee wybierali najbardziej nieprawdopodobne ścieżki, skręcali na wschód, kiedy otwierała się droga na południe lub zachód, omijali niską przełęcz, by się piąć

na wysoką. Było im wszystko jedno, bo i tak zblądzili. A jednak nie mogli odzepić się od młodych myśliwych. Czasem zyskiwali parę dni, po czym młodzi Indianie znów pokazywali się za nimi. Po burzy śniegowej, która zacierała wszelkie ślady, pogoń rozbiegała się niczym stado wilków i ten, który odnalazł ślad, rozpałał ognisko, zwołując w ten sposób towarzyszy. Zawierucha stracił rachubę czasu, poplątały mu się dni, noce, burze i postoje. Przez olbrzymie, szalone piekło cierpień i męki pan razem z Labiskwee naprzód, a McCan włókł się jakoś za nimi. Wokół nich piętrzyły się olbrzymie szczyty, bezlitośnie i ostro rysujące się w lodowatym błękicie. Schodzili w dół ciemnymi kanionami wśród urwisk tak stromych, że nawet śnieg się na nich nie utrzymywał, przecinali okryte lodem doliny nad zawrotnymi przepaściami, na których dnie leżały zamrożone jeziora. Raz w nocy, między jedną burzą a drugą, oświetlił niebo daleki wulkan. Nigdy potem nie widzieli czegoś podobnego, może było to przywidzenie.

Lód okrywała kilkujardowa warstwa śniegu, zamarzała i znów przysypywał ją śnieg. W kanionach były miejsca, gdzie zasyły miały setki stóp głębokości, przepawali się też przez nieduże lodowce w wąskich korytach skalnych, których wichry wymiótły śnieg do czysta. Jak nieme widma pełzali pod górę, stawiając czoła nawisłym zwałom śniegu, nocą grzmot toczącej się lawiny zrywał ich z ciężkiego snu. Powyżej strefy lasów rozbijali obozy bez ogniska. Zamrożone mięso odgrzewali wtedy ciepłem własnych ciał. Labiskwee ani na chwilę nie przestała być sobą. Nic nie mąciło jej radości — chmurzyła się tylko, ilekroć wypadało jej spojrzeć na McCana. Ani śmiertelne znużenie, ani mróz nie zdołały ostudzić jej miłości.

Jak kot pilnowała podziału skąpych racji żywnościowych. Zawierucha widział, że Labiskwee żałuje McCanowi każdego przełkniętego kęsa. Raz sama wzięła się do podziału racji. Zawierucha dowiedział się o tym, gdy usłyszał wymowne i namiętne protesty McCana. Nie tylko jemu, ale i sobie wydzielala mniejsze niż Zawierusze porcje. Odtąd Zawierucha dzielił mięso sam. Raz przez całą noc sypał śnieg, a rano mała lawina zniosła ich jakieś sto jardów niżej. Omal się nie podusili, lecz nie odnieśli obrażeń. McCan wylazł spod śniegu bez worka, w którym niósł cały ich zapas mąki. Druga, większa lawina zabrała worek bezpowrotnie. Był to nieszczęśliwy przypadek i McCan nic tu nie był winien, ale odtąd Labiskwee nie spojrzała na niego więcej. Zawierucha wiedział, że bała się, aby jej nie poniosło.

Był ranek, wokół nieruchoma cisza, nad nimi czysty błękit nieba, śnieg skrzył się w słońcu. Droga wiodła pod górę szeroki, długim, oblodzonym zboczem. Szli wolno — Strudzone widma pośród martwego świata. Najmniejszy wietrzyk nie ożywiał zastygłej, mroźnej ciszy. Dalekie szczyty, którymi zębiły się w odległości jakiś stu mil Góry Skaliste, widzieli tak wyraźnie, jakby było do nich nie dal niż pięć mil.

— Coś musi się stać — szepnęła Labiskwee. — Czy tego nie czujesz? Tu, tam, wszędzie. Wszystko takie dziwne.

— Czuję dreszcz, ale nie z zimna odparł Zawierucha.

— I nie z głodu.

— W głowie i w sercu powiedziała z przejęciem. — Ja też mam dreszcze.

W piętnaście minut później przystanęli, żeby odetchnąć.

— Nie widzę już dalekich szczytów — powiedział Zawierucha.

— Powietrze robi się gęste i ciężkie — odparła Labiskwee.

— Trudno oddychać.

— Tam trzy słońca! — ochryplym głosem wybełkotał McCan. Zatoczył się i oparł na kijku od nart, żeby nie upaść.

Po obu stronach słońca pokazały się dwa jego sobowtóry.

— Już jest ich pięć — liczyła Labiskwee.

Patrzyli, i coraz to nowe słońca pojawiały im się przed oczami.

— Wielki Boże! Słońce na niebie tyle, że nie zliczysz! — krzyknął przerażony McCan. Rzeczywiście, na ich oczach pół nieboskłonu płonęło osłepiającym blaskiem coraz to nowych słońc.

Nagle McCan wydał przeraźliwy krzyk zdziwienia i bólu.

— Gryzie! — zawołał i znów dziko wrzasnął.

Potem krzyknęła Labiskwee, a Zawierucha poczuł, że coś kłuje go w policzek, zimne i parzące jak kwas. Przypomniało mu się, jak kiedyś, gdy kąpał się w morzu, po- kłuła go jadowita meduza. Wrażenie było tak podobne, że odruchowo potarł policzek, chcąc usunąć natrętne nitki.

Dał się słyszeć odgłos strzału, dziwnie stłumiony. Daleko u stóp góry stali na nartach młodzi myśliwi i strzelali jeden za drugim.

— Rozsypmy się! — rzucił rozkaz Zawierucha. — I w górę! Do szczytu niedaleko. Są o ćwierć mili niżej. Schodząc po tamtej stronie zyskamy dwie mile przewagi.

Kłuci i kāsani przez niewidzialne igły, szeroko rozstąpili się po śniegu i parli pod górę. Dziwnie przygłuszone odgłosy strzałów brzmiały im w uszach.

— Bogu dziękować — dysząc powiedział Zawierucha do Labiskwee — że mają cztery muszkiety, a tylko jednego winchestera. Poza tym wszystkie te słońca nie pozwalają im dobrze celować. Całkiem zgłupieli. Nie zbliżyli się do nas nawet o sto stóp.

— To dowód, jak się rozgniewał mój ojciec. Mają rozkaz nas zabić.

— Dziwne — odparł Zawierucha. — Twój głos dolatuje mnie jakby z daleka.

— Zakryj usta! — krzyknęła nagle Labiskwee. — I nic nie mów. Już wiem, co to jest. Zakryj usta rękawem i milcz.

McCan upadł pierwszy i podniósł się z wielkim trudem. Potem wszyscy troje padali raz po raz, nim wreszcie znaleźli się na szczycie. Mięśnie odmawiały im posłuszeństwa. Nie wiedzieli dlaczego, czuli tylko, że ogarnia ich odrętwienie i ociężałość. Na szczycie obejrzeni się i zobaczyli, jak młodzi myśliwi zataczają się i przewracają na zboczu góry.

— Nigdy tu nie dojdą — powiedziała Labiskwee. — To biała śmierć. Słyszałam o niej, choć nigdy nie widziałam. Nasi starcy opowiadali. Zaraz przyjdzie mgła, niepodobna do żadnej mgły, jaką widziałeś. Mało jest takich, którzy ją zobaczyli i uszu z życiem.

McCan zaczął ciężko dyszeć i dusić się.

— Nie odślaniaj ust — rozkazał Zawierucha.

Wszystko zalał osłepiający blask. Zawierucha spojrzął na słońca. Błyszczały okryte mgłą. W powietrzu pełno było drobnutkich iskier. Bliskie szczyty utonęły w dziwnej mgle. Młodych myśliwych, zawzięcie pnących się w górę, pochłaniał biały obłok.

McCan przycupnął na nartach. Usta i oczy zakrył rękami.

— Wstawaj, jedziemy — rozkazał Zawierucha.

— Nie mogę się ruszyć — jęczał McCan, kuląc się i chwiejąc. Zawierucha wolno podszedł do niego. Ogromnym wysiłkiem woli zmusił do ruchu ociężałe i drętwe ciało. Zauważył, że nic nie mąci mu myśli, że doznał tylko fizycznego porażenia.

— Zostaw go — chrapliwym głosem powiedziała Labiskwee. Ale Zawierucha się uparł. Postawił McCana na nogi i zwrócił twarzą w stronę drugiego stoku, którym mieli zjechać. Potem pchnął go. McCan, hamując i sterując kijkiem, dał nura w skrzącą diamentowym pyłem mgłę i zniknął im z oczu.

Zawierucha spojrzął na Labiskwee. Uśmiechała się, choć ledwie stała na nogach. Dał jej głową znak, by zjeżdżała, ale podeszła do niego i razem, o dziesięć stóp od siebie, puścili się w dół, w gęsty deszczyk szpilek zimnego ognia.

Zawierucha hamował, ile mógł, ale ciężar ciała poniósł go naprzód. Pędził sam długim szlakiem z szaloną szybkością. Zwolnił dopiero, gdy znalazł się na okrytym lodem płaskowzgórzu. Przyhamował, dogoniła go Labiskwee. Jechali obok siebie, coraz wolniej, aż zupełnie stracili szybkość. Ogarnęła ich jeszcze większa drętwota. Mimo rozpaczliwych

wysiłek woli poruszali się teraz niezwykle wolno. Minęli McCana. Znow siedział skulony na nartach. Przejżdżając, Zawierucha stuknął go kijem i podniósł na nogi.

— Teraz musimy się zatrzymać — z trudem wyszeptała Labiskwee. — Inaczej umrzemy. Trzeba się nakryć, tak mówili starcy.

Tak się śpieszyła, że nawet nie odwiązała rzemyków od worka, tylko ucięła. Zawierucha zrobił to samo. Po raz ostatni spojrzeli na ognistą mgłę śmierci i fałszywe słońca. Okryli się futrami i mocno przytulili do siebie. Ktoś potknął się na nich i upadł. Usłyszeli ciche kwilenie i bluźnierstwa, które przerwał ostry atak kaszlu. Wiedzieli, że to McCan. Przyciskał się do nich i okrywał futrem.

Potem sami zaczęli się dusić od szarpiącego płuca suchego, spazmatycznego kaszlu, nie dającego się powstrzymać. Oboje poczuli, że ogarnia ich gorączka. Ataki kaszlu były coraz częstsze i gwałtowniejsze. Trwało to kilka godzin, aż pod wieczór nastąpiło przesilenie i ataki zelżały. Wyczerpani, między jednym a drugim napadem kaszlu zapadali w drzemkę. McCan jednak kaszlał coraz gorzej. Jęczał i krzyczał okropnie, najwidoczniej w malignie. W pierwszej chwili Zawierucha chciał odrzucić futro na bok, ale Labiskwee przycisnęła się mocno i nie wypuściła go z objęć.

— Nie — prosiła. — Nie odkrywaj się, to grozi śmiercią. Wtul twarz w moją *parka*, oddychaj spokojnie i nic nie mów — patrz, tak jak ja.

Drzemali pod futrami. Nawroty słabnącego kaszlu budziły ich wzajemnie. Minęła chyba północ, gdy McCan zakaszał po raz ostatni. Potem wydawał już tylko ciche, bezustanne, zwierzęce jęki.

Zawierucha obudził się. Usta Labiskwee spoczywały na jego wargach. Leżał w jej ramionach, głowę opierał na jej piersiach. Głos Labiskwee był radosny jak zwykle, nic już go nie tłumilo.

— Już dzień — powiedziała, uchylając futra. — Przeżyliśmy to, przestaliśmy kaszleć. Spójrzmy na świat, choć mogłabym tak leżeć do końca życia. Ostatnia godzina była słodka.

— Nie słyszę McCana — odparł Zawierucha. — Co się stało z naszą młodzieżą, że nas tu nie znaleźli?

Odrzucił futra. Zobaczył na niebie jedno, normalne słońce. Dał łagodny wietrzyk. Jeszcze mroźny, zapowiadał nadchodzące ciepłe dni. Cały świat odzyskał naturalny wygląd. McCan leżał na plecach. Nie myta, ogorzała od obozowego ogniska twarz zamarzała na kamień. Widok ten wcale nie wzruszył Labiskwee.

— Spójrz! — zawołała. — Zięba! To dobry znak!

Pogoni nie było widać. Albo padli z tamtej strony góry, albo wrócili do domu. Żywności było tak mało, że nawet w setnej części nie zaspokoili apetytów. W ciągu następnych dni szli dalej przez górskie pustkowia, żądza życia pomału w nich gasła, wędrówka zamieniała się jakby w sen. Czasem Zawierucha, ocknąwszy się nagle, zdawał sobie sprawę, że gapi się na bezkresne, nienawistne śnieżne turnie, i jeszcze brzmiało mu w uszach to, co bełkotał przed chwilą. Zdawało mu się, że minęły wieki i znow budziła go własna paplanina. Labiskwee prawie przez cały czas była nieprzytomna. Poruszali się automatycznie, wiedzeni instynktem. Wciąż parli na zachód i wciąż śnieżne szczyty i niedostępne łańcuchy zagradzały im drogę, odrzucały ich na północ lub południe.

— Nie ma drogi na południe — mówiła Labiskwee. — Starcy wiedzą. Na zachód, tylko na zachód.

Pogoń im już nie groziła, lecz ścigał ich głód.

Pewnego dnia zrobiło się zimno. Zaczął padać gęsty śnieg, a raczej kryształki lodu, drobne jak piasek. Sypał dzień i noc, przez trzy dni. Trzeba było poczekać, aż wiosenne słońce zlepi tę kaszkę, a mróz ją zetnie. Leżeli więc pod futrami, odpoczywali i z tego powody mniej jedli. Wydzielali sobie tak małe porcje żywności, że nie kołły głodowych katuszy, nekających żołądki, a jeszcze bardziej mózgi.

Smak maleńkiego kawałka mięsa w ustach sprawił Labiskwee w tak szalone podniecenie, że piszcząc i mlaskając językiem, z krótkimi, nieludzkimi okrzykami radości rzuciła się na drugą porcję i wepchnęła ją do ust. I wówczas Zawierucha ujrzał coś niesłychanego. Zacinawszy zęby na kawałku mięsa, dziewczyna oprzytomniała. Wypluła go i rozgniewana uderzyła się pięścią w usta, jak by to była ich wina.

Zawierucha zobaczył w ciągu następnych dni wiele innych jeszcze dziwnych rzeczy. Długo padał śnieg, a potem nadleciała wichura i przyniosła chmurę suchych kryształków lodu, podobną do chmury piasku na pustyni w czasie burzy. Przez całą noc szalała wichura, dzień wstał jasny, wietrzny. Zawierusze oczy zaszyły łzami, kręciło się w głowie. Patrzył i zdawało mu się, że to przywidzenie lub sen. Naokoło wznosiły się turnie, wysokie i niskie, jak samotne warty potężnych tytanów i całe ich grupy, jakby się zeszły na naradę. Ze szczytu każdej turni spływała chorągiew śniegu, powiewała na wietrze, falowała, kładła się na lazurowym niebie, mleczna i zwiewna ciągnęła się całymi milami, mieniła światłem i cieniem, błyskała w słońcu srebrem.

— Snie, Labiskwee — powiedział. — Czy ty też śniesz w moim śnie?

— To nie sen — odparła. — Mówili mi o tym starcy. Teraz powieją ciepłe wiatry. Będziemy żyli, dojdziemy na zachód.

Zawierucha zastrzelił ziębę, podzielili się zdobyczą. Kiedy indziej, w dolinie, gdzie wierzyby stojące w śniegu puszczały pierwsze pączki, upolował królika. Potem trafiła mu się chuda, biała łasiczka. I to było wszystko, choć widzieli jeszcze na wysokości pół miii kluczek dzikich kaczek sterujących na zachód, w stronę Jukonu.

— Niżej, w dolinach, już lato — powiedziała Labiskwee.

— Tylko patrzeć, jak przyjdzie tutaj.

Policzki jej zapadły, oczy za to zrobiły się jeszcze jaśniejsze i większe. Kiedy patrzyła na Zawieruchę, twarz jej nabierała jakiegoś osobliwego, niezemskiego piękna.

Dni były dłuższe, śnieg zaczął topnieć. Za dnia lód tajał, w nocy zamarał na nowo. Szli od wczesnego ranka do nocy. W południe musieli przez kilka godzin odpoczywać, gdyż roztajała powłoka lodowa nie wytrzymała ich ciężaru. Gdy Zawieruchę oślepił śnieg, Labiskwee holowała go na rzemieniu, którym otaczała się w pasie. A potem role się zmieniały. Wygłodzeni, ledwie przytomni, przedzierali się przez budzącą się do życia krainę, w której byli jedynymi żywymi istotami.

Chociaż śmiertelnie znużony, Zawierucha lękał się snu, tak okropne i tak smutne ukazywały mu się widziadła, gdy o szarym zmierzchu zasypiał w tej szalonej krainie. Zawsze śniło mu się jedzenie i stale złośliwy władca snów odejmował mu je od ust. Brał udział w gargantuicznych ucztach, podczas których tłumy biesiadników zjadały niezliczoną ilość wołów, upieczonych w całości — z rozżarzonych pieców wyciągali dymiące sztuki i ostrym nożem wycinali ogromne kawały mięsa. Stał z otwartą gębą i patrzył w górę, na długie rzędy indyków, które sprzedawali kupcy w białych fartuchach. Wszyscy je kupowali, tylko on nie mógł — stał z rozdziawionymi ustami, przykuty do bruku, jakby był z ołowiu. I znów był chłopcem, siedział z łyżką w ręce na bardzo wysokim krześle i nie mógł sięgnąć do wielkich mis z mlekiem i chlebem. Po górskich pastwiskach uganiał się za płochliwymi krówkami, chcąc ukraść im trochę mleka, męczył się okrutnie i strasznie długo, wszystko na próżno. W cuchnących lochach walczył ze szczurami o odpadki jedzenia. Nie było pokarmu, którego by nie pożył w swym szaleństwie. Błąkał się po olbrzymich stajniach, gdzie odpasione konie stały w przegrodach ciągnących się całymi milami, szukał i nie mógł znaleźć żłobów z otrębami.

Raz tylko sen go nie oszukał. Umierając z głodu jako rozbitek czy też marynarz wysadzony na bezludnej wyspie, walczył z wielką falą Pacyfiku, odrywając od skały małże, a potem zaniósł je na plażę, gdzie pełno było suchych wodorostów wyrzuconych przez wiosenne przyptywy. Rozpalił ognisko z wodorostów i położył w gorącym popiele swą

drogocenną zdobycz. Patrzył, jak muszelki dymią i rozchylają się, ukazując mięso, różowe jak łosoś. Wiedział, że maż się upiekl. Tym razem był sam i żaden intruz nie mógł mu odjąć jedzenia od ust. Nareszcie sen go nie omami. Będzie jadł. A jednak nie był tego zupełnie pewien i bał się, że sen pryśnie. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy poczuł w ustach rozkoszny smak gorącego mięsa. Wbił w nie zęby. Zdarzył się cud! Był tym tak wstrząśnięty, że się obudził. Było ciemno, leżał na plecach, usłyszał własne piski i radosne chrząkania. Poruszał szczękami, zęby gryzły mięso. Leżąc bez ruchu poczuł, że czyjeś paluszki dotykają jego warg i wkładają mu do ust maleńki kawałek mięsa. Rozgniewał się, ale bardziej zmartwiło Labiskwee to, że nie chciał jeść. Szlochając, zasnęła w jego ramionach. Zawierucha długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o nieodgadnionych tajemnicach kobiecego serca.

Nadeszła chwila, gdy wyczerpały się resztki żywności. Wysokie szczyty cofnęły się, a działy wód obniżyły, otwierała się obiecująco droga na zachód. Ale skończyły się i zapasy sił. Pewnego wieczoru zasnęli głodni, a rano nie mogli już wstać. Zawierucha stanął jakoś na słabych nogach, upadł i na czworakach próbował rozpać ogień. Labiskwee była tak wyczerpana, że mimo rozpaczliwych wysiłków nie zdołała się podnieść. Zawierucha upadł kolo niej, słabo uśmiechając się na myśl, że trudził się całkiem niepotrzebnie. Po cóż ognisko, skoro nie ma nic do gotowania, a dzień jest ciepły? Łagodny wietrzyk wzdychał pośród jodeł i zewsząd dobiegało melodyjne ciurkanie strumyków, ukrytych pod tającym śniegiem.

Labiskwee leżała bez ruchu. Zawierusze chwilami zdawato się, że przestała żyć, tak nikły był jej oddech. Po południu obudziło go poświstywanie wiewiórki. Ciągnąc za sobą ciężką strzelbę, powlókł się po rozmokłym śniegu. Czołgał się na czworakach, wstawał i padał jak długi. Gniewnie prychała, wymykała się bez zbytniego pośpiechu i okrutnie go dręczyła. Nie mógł się zdobyć na szybki strzał, a wiewiórka kręciła się bez przerwy. Raz po raz walił się w błoto i płakał z bezsilności. Były chwile, że tłący w nim płomyk życia przygasał i ogarniał go mrok. Stracił przytomność. Nie wiedział, jak długo to trwało. Gdy się ocknął, drżał z wieczornego chłodu, a mokra odzież przywarła do świeżej skorupy lodu. Wiewiórka zniknęła. Straszliwym wysiłkiem doczołgał się do Labiskwee. Był tak doszczętnie wycieńczony, że przez całą noc leżał jak martwy i sny już go nie dręczyły.

Słońce stało na niebie i ta sama wiewiórka świstała pośród drzew, gdy poczuł na policzku dotknięcie ręki Labiskwee i ocknął się.

— Połóż mi rękę na sercu, mój miły — powiedziała. Głos jej był wyraźny, ale słaby i bardzo daleki. — W moim sercu jest miłość i ty trzymasz ją w dłoni.

Minęła długa chwila, zanim Labiskwee znów się odezwała.

— Pamiętaj, nie ma drogi na południe. Lud Karibu dobrze o tym wie. Na zachód... jest droga... już blisko..., ty dojdiesz.

Zawierucha zapadł w odrętwienie na skraju śmierci. Labiskwee ocuciła go znowu.

— Pocałuj mnie w usta — wyszeptwała. — Tak umrę.

— Umrzemy razem.

— Nie.

Ledwie dostrzegalnym ruchem dłoni nakazała mu, żeby nic nie mówił. Głos jej był tak słabutki, że ledwie słyszał. Namacała kaptur swej parka, wyciągnęła mieszek i włożyła mu w rękę.

— A teraz pocałuj mnie, mój miły. Twoje usta na moich ustach, twoja ręka na moim sercu.

W długim pocałunku znów ogarnął go mrok, a kiedy ocknął się, wiedział, że został sam, i wiedział, że umiera. Doznał uczucia smutnej ulgi. Poczuł, że trzyma rękę na woreczku. Uśmiechnął się w duchu ze swej ciekawości i pociągnął za sznurek. Z woreczka wysypało się

trochę żywności. Poznał dobrze każdy kawałek, który Labiskwee sama sobie ukradła: okruchy placków schowane, zanim jeszcze McCan zgubił worek z mąką, nadgryzione kawałki mięsa karibu, grudki sadła, udo królika, tylną nogę białej łasiczki i kawałek przedniej, naznaczone zębami Labiskwee, skrzydełko zięby — żalosne szczątki, ślady tragicznych wyrzeczeń, śmiertelnych katuszy, kaski, które straszliwemu głodowi wykradała niewiarygodna miłość.

Zawierucha śmiał się szaleńczo i rozrzucał to wszystko po zamarzającym śniegu, aż znów ogarnął go czarny mrok.

Śniło mu się, że Jukon wysechł. Szedł łożyskiem pośród zamulonych kałuży i skał poszarpanych przez lody. Zbierał wielkie, złote samородki. Coraz trudniej było mu je dźwigać, aż nagle odkrył, że są jadalne. Zaczął je łapczywie pożerać. Właściwie z jakiego powodu ludzie tak wysoko ceniliby złoto, gdyby nie nadawało się do jedzenia?

Następnego dnia obudziło go słońce. W głowie zrobiło mu się dziwnie jasno, w oczach przestało się mącić, ustały tak dobrze znane dreszcze, nękające wszystkie członki. Miał wrażenie, że śpiewa w nim każde włókno ciała, jakby wstąpiła weń wiosna. Ogarnęło go radosne uczucie powrotu do życia. Odwrócił się, żeby obudzić Labiskwee, spojrzał na nią i wszystko sobie przypomniał. Poszukał wzrokiem żywności, którą rozrzucił po śniegu. Zniknęła. Zrozumiał, że to właśnie było złoto ze snu w gorączce. We śnie przyjął od Labiskwee ofiarę życia, które oddała mu wraz ze swym sercem.

Dziwiąc się, że ma tyle sił, zawłókł owinięte w futro ciało Labiskwee pod odtajałe nadbrzeżne urwisko, podkopał ziemię siekierą. Posypał się piasek.

Przez trzy dni, nic już nie jedząc, przedzierał się na zachód. Trzeciego dnia padł pod samotną jodłą nad rzeką wolną od lodu. Domyślał się, że to Klondike. Zanim ogarnął go mrok, zdążył jeszcze zdjąć z pleców worek, posłać pożegnalny uśmiech światu i zawiązać się w futro.

Obudziły go senne ptasie głosy. Zapadł zmierzch. Ponad jego głową na gałęziach jedliny siedziały ptarmigany*. Głód pchnął go do działania, ale było to działanie niezwykle powolne. Minęło pięć minut, zanim zdołał podnieść strzelbę do ramienia, a drugie pięć, zanim — leżąc na plecach i celując prosto w górę — odważył się pociągnąć za cyngiel. Wyraźnie chybił. Żaden ptak nie spadł, ale też żaden nie odleciał. Trzepały tylko skrzydłami i kokosiły się bezmyślnie i ospale. Drugi strzał zmarnował, bo mimo woli drgnął, gdy pociągnął za cyngiel. Bolało go ramię. Choć tego nie pamiętał, zapewne w ciągu ostatnich trzech dni gdzieś upadł i nadwreżył rękę.

I znów żaden ptarmigan nie odfrunął. Złożył we czworo futro, wepchnął między prawe ramię a bok. Oparłszy kolbę na futrze, strzelił jeszcze raz. Spadł jeden ptak. Chwycił go łapczywie, by się przekonać, że mięso się rozleciało. Kula dużego kalibru pozostawiła tylko masę zlepionych krwią piór. Ale ptarmigany siedziały dalej na drzewie. Trzeba strzelać w głowę, albo nic z tego nie będzie — postanowił. Strzelał więc w ptasie łebki. Raz po raz ładował magazyn. Chybiał i trafiał, a głupie ptarmigany, którym nie chciało się uciekać, posypały się na niego jak grad. Było ich na drzewie dziewięć. Gdy obciął kulą głowę ostatniemu, rozciągnął się na ziemi, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Pierwszego zjadł na surowo. Potem odpoczywał i spał, wchłaniając w siebie życie, które zabrał ptarmiganowi. Obudził się w ciemności, był głodny i na tyle silny, że mógł rozpalić ognisko. Do świtu piekł ptaki i jadł, krusząc kostki na mąkę zębami, które tak długo nie miały nic do roboty. Znów zasnął, obudził się następnej nocy i spał do rana.

* Ptarmigan - Pardwa górską (*Lagopus muta*)

Ze zdumieniem ujrzał, że świeży stos drzewa trzaska ogniem i okopcony garnek z kawą dymi na skraju ogniska. Obok niego, tak blisko, że mógł go dotknąć ręką, siedział Krótki, palił skręta i bacznie mu się przyglądał. Wargi Krótkiego drgnęły, ale widocznie coś go chwyciło za gardło, a pierś wezbrała stłumionym szlochem. Zawierucha sięgnął po papierosa, zaciągnął się głęboko, raz, drugi i trzeci.

— Bardzo długo nie paliłem — powiedział wreszcie cichym, spokojnym głosem. — Bardzo długo.

— I nie jadłeś, co widać po tobie — burkliwie dodał Krótki. Zawierucha skinął głową i wskazał ręką na pióra ptarmiganów wokół siebie.

— Ale ostatnio podjadłem — odparł. — Wiesz co, chętnie napiłbym się kawy. Zapomniałem, jaki ma smak. I zjadłbym racuchów i kawałek bekonu.

— A fasolki? — kusił Krótki.

— Boskie jedzenie. Znów jestem głodny.

Podczas gdy jeden kucharzył, a drugi jadł, opowiedzieli sobie pokrótce, co się zdarzyło w czasie ich rozłąki.

— Lody ruszyły na Klondike — kończył swe opowiadanie Krótki — i nie pozostawało nam nic innego, jak czekać, żeby spłynęły kry. Dwie łodzie z bosakami, oprócz mnie sześciu chłopca — znasz ich wszystkich, morowe chłopaki — i wszystko, co trzeba na drogę. No i walimy naprzód, pchamy łodzie, ciągniemy, niesiemy. Ale przy wodospadach ugrzęźli na dobry tydzień. Zostawiłem ich, gdy taszczyli łódki po skałach na brzegu. Bo coś mi szepnęło, że trzeba sypać dalej. Więc wypycham worek żarciem i maszeruję. Wiedziałem, że znajdę cię ledwie zipiącego. Posiedzimy tu parę dni, odpoczniemy i podjemy.

Zawierucha potrząsnął głową.

— Co! Szkoda, że nie możesz się zobaczyć! — zawołał Krótki.

Rzeczywiście. Zawierucha nie wyglądał pięknie. Przez zarost wyzierała czarna i purpurowa skóra policzków, przeżarta przez mróz, okryta strupami. Policzki tak zapadły, że pod brodą i wąsami widać było pod napiętą skórą rzędy zębów. Na czole i wokół wpadniętych oczu skóra była naciągnięta jak na bębnie, a wystrzępioną brodę, która powinna być złocista, osmalił płomień i okopcił dym obozowego ogniska.

— Wszystko jedno, pakuj bagaż — powiedział Zawierucha.

— Toć jesteś słaby jak niemowlak. Gdzie ci się tak śpieszy?

— Słuchaj, Krótki. Śpieszy mi się do tego, co jest najważniejsze w całym Klondike. Nie mam czasu. I tyle. To ważniejsze niż złote jeziora, złote góry, niż przygoda, pożeranie mięsa, łowy na niedźwiedzia.

Krótki siedział z wybałuszonymi oczami.

— W imię Ojca i Syna! Co to jest? — spytał ochrypłym głosem. — A może po prostu dostałeś bzika?

— Nie, wiem, co mówię. Widocznie człowiek musi przestać jeść, żeby mu się otwały oczy. Wiedziałem rzeczy, o których mi się nawet nie śniło. Teraz wiem, co znaczy słowo: kobieta. I jest kobieta, którą muszę natychmiast zobaczyć.

— Fiu! Bez wróżenia wiem, jak jej na imię. Wszyscy poszli spuszczać jezioro Niespodzianka, ale Joy Gastell została. Nie rusza się z Dawson i czeka, ciekawa, czy wrócę z tobą. A jeżeli nie, przysięgła, że sprzeda wszystko, wynajmie armię strzelców, pójdzie do krainy Karibu i wypruje bebechy ze starego Snassa i całej jego bandy. Teraz, gdybyś mógł na chwilę powstrzymać swoje rumaki, to spakowałbym bagaż i razem ruszylibyśmy w drogę.

KONIEC

SPIS RZECZY

Rozdział pierwszy.....	3
SMAK MIĘSA	
Rozdział drugi.....	15
MIĘSO	
Rozdział trzeci	28
BIEG DO SQUAW CREEK	
Rozdział czwarty	39
SNY KRÓTKIEGO	
Rozdział piąty	46
CZŁOWIEK NA DRUGIM BRZEGU	
Rozdział szósty	56
GONITWA O NUMER TRZECI	
Rozdział siódmy	65
NIEDUŻY CARSON	
Rozdział ósmy	74
KRACH NA RYNKU JAJCZARSKIM	
Rozdział dziewiąty	86
JAK WIESZANO CULTUSA GEORGE'A	
Rozdział dziesiąty.....	94
NOWE MIASTO TRAILA	
Rozdział jedenasty	109
TAJNIKI KOBIECEGO SERCA	